KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 12/146 1959



• « La Culture » • Revue mensuelle •

F. GROSS: **REWOLUCJA KLASOWA AMERYKI**

L. MITKIEWICZ: **CZY BYŁ MOŻLIWY FRONT ANTYNIEMIECKI?**

"KULTURA" - QUARTERLY DIGEST (4)

SPIS RZECZY

KULTURA

zkice • Opowiadania • Sprawozdania

ARYŻ Grudzień – Décembre 1959



NSTYTUT LITERACKI

Redakcja «Kultury»
składa serdeczne życzenia
Świąteczne i Noworoczne
swoim czytelnikom i przyjaciołom.

DALSZE WPŁATY NA DOM " KULTURY "

Mierosław Wierzbicki, Elmhurst, N.Y. (USA) po raz trzeci	2.500 fr.
Karol Jabłoński, London Ont. (Kanada)	1.000 ,,
Piotr Czeczotko, Bridgeport, Conn. (USA)	1.000 ,,
Kazimierz Netzel, Barcelona (Hiszpania) ponownie	900 ,,

DZIĘKUJEMY

◆

NA " SECRED POLICE FOUND "

Wacław Iwaniuk, Toronto, Ont. (Kanada)	6.000 fr.

◆

Następny zeszyt ,,Kultury'' będzie jak zwykle podwójny za miesiące styczeń-luty 1960.

◆

Zawiadamiamy naszych czytelników w Argentynie, że od czerwca rb. cena ,,Kultury'' wzrosła do 55 pesos za egz. pojedyńczy i że prenumerata półroczna wynosi obecnie 330 pesos.

Imprimé en France

Notatnik nieśpiesznego przechodnia (1)

(Z DZIENNIKA PODRÓŻY)

Podróżujący do Niemiec musi ciągle kontrolować swe wrażenia. Zwłaszcza ktoś, kto jak ja jeździł tam przez przeszło pół wieku, musi wciąż stawiać sobie pytanie, czy obraz, jaki wyniósł z podróży poprzedniej, nie zasłania mu tego, co mógłby zobaczyć obecnie. Mówię warunkowo ,,mógłby'', bo szybkie przyswajanie sobie rzeczywistego stanu rzeczy wymaga spełnienia dwóch wykluczających się na pozór warunków: wymaga mianowicie uprzedniej znajomości przedmiotu i świeżości percepcji, to jest zdolności oglądania tegoż przedmiotu jako czegoś nowego i nieznanego.

Krytyczny stosunek do własnych obserwacji jest w danym wypadku tym trudniejszy, że jest wysiłkiem samotnym. Europejczycy są na ogół konserwatywni, niechętnie przyjmują do wiadomości rzeczy nowe. Widzą siebie i innych takimi, jakimi byli przed pół wiekiem. Są nadal gotowi do robienia demonstracji floty przed portami sąsiadów, do wysyłania korpusów ekspedycyjnych jak w czasach Mahdiego i powstania Boxerów, dziwiąc się potem, że poczynania ich nie odnoszą oczekiwanych skutków. Zobaczyć ich takimi, jakimi są rzeczywiście, można tylko na przekór im samym.

Aby ocenić nowość dzisiejszych Niemiec, najlepiej być może trzymać się rzeczy najprostszych, tego co każdy musi spostrzegać przechodząc ulicą. Z lat dziecinnych przypominam sobie, na przykład, letni Berlin z 1903-1907 z przechadzającymi się pod lipami oficerami. Nosili wówczas czapki z czerwonym otokiem i granatowe, długie do kolan surduty, w których połach, utrudniając chodzenie, pętały się pałasze w blaszanych pochwach. Obok nich przechadzały się damy, straszliwie ściśnięte w pasie fiszbinami gorsetów, z wystającą z tyłu ,,turniurą''. Patrząc na dzisiejsze sylwetki pań, trudno sobie

wyobrazić takie kobiece kształty. Ruch przechodniów był dziwnie powolny. Rzadkie dorożki jechały drobnym truchtem; podkowy szczękały miarowo po asfalcie. Wszyscy, zdawało się, mieli czas do namysłu, nic nie robiono w pośpiechu.

Wielu zapewne pamięta jeszcze tę epokę, ale nikt nie może jej sobie wyobrazić od wewnątrz, nie potrafi przez chwilę nawet czuć się jak ci powoli stąpający panowie i zasznurowane w gorsety panie. Postacie te można opisać już tylko od zewnątrz, jak postacie *ancien régime*'u.

Niemal równie daleka wydaje się dziś Republika Wejmarska, w której mężczyźni nosili długie do kostek, obcisłe płaszcze, porcja paskudnej kawy z dwoma miniaturowymi kawałkami cukru kosztowała dwa biliony czyli dwa tysiące miliardów marek, a za sto dolarów można było kupić kamienicę. Trudno już sobie wyobrazić myśli, uczucia i odruchy ówczesnych Niemców. Niedawno znajomi przysłali mi mój własny opis Berlina z 1923-1924. Czytałem go ze zdumieniem, nie poznając siebie w autorze tego tekstu.

Potem przyszły rentenmarki i lata ponurego oczekiwania rzeczy, które od dawna już wydawały się nieuniknione. Jeżeli Niemcy przypominają sobie czasami ten okres, wspomnieniom ich towarzyszy przykre uczucie niepewności i lęku: byle tylko nie doszło znów do podobnych sytuacji.

Wszyscy dorośli pamiętają natomiast doskonale okres Trzeciej Rzeszy i często zapewne wracają doń myślą. Pamiętam go i ja. Sztandary, sztandary, mundury, buty, krzepa straszliwa, dyscyplina, licytacja egzaltowanych uczuć i pomysłów. Takie rzeczy trwają zawsze zbyt długo, ale tylko ograniczoną ilość lat, których nawet sam Napoleon Bonaparte, mistrz propagandy, nie potrafił przedłużyć. Co myślą ludzie, gdy przypominają sobie jak krzyczeli „Heil Hitler" lub oglądają siebie na starych fotografiach z tych czasów? Przypuszczam, że pytają z niedowierzaniem: czy to ja? Szczęśliwy, kogo wówczas nie fotografowano zbyt często, i kto niczego pozostającego w pamięci nie dokonał. Rivarol pisał po upadku Napoleona: *C'est un terrible avantage que de n'avoir rien fait.* Słowa te, pisane podczas Restauracji, odnoszą się równie dobrze do Niemiec dzisiejszych.

Z krótkiego pobytu w Trzeciej Rzeszy w 1936-1937 wyniosłem wrażenie, że Niemcy liczący w 1933 powyżej trzydziestu lat lub mający już żony i dzieci odnosili się do nowego reżymu z obawą i niechęcią. Entuzjazm ogarnął przede wszystkim młodzież. Różnice te stały się potem mniej widoczne, na skutek powszechnej mobilizacji, tego okropnego spadku po Rewolucji Francuskiej. Po katastrofie Trzeciej Rzeszy starszym, pamiętającym inne czasy, łatwiej było zapewne rozpocząć nowe życie. Trudniejsza sprawa była z pokoleniem, które wyszło z Hitlerjugend. W pierwszych latach często zadawałem sobie pytanie, jak Niemcy wchłoną pozostałe po hekatombie resztki

tej młodzieży. Jesienią 1945 widziałem całe gromady dwudziestoletnich chłopców, obdartych i wynędzniałych, wędrujących z miejsca na miejsce i nocujących na cementowej podłodze bunkrów, jak gdyby wojna trwała nadal. Uparci, milczący, zamknięci w swej ponurej fantasmagorii, wspominali między sobą półgłosem ostatnie przewagi oręża niemieckiego, w których uczestniczyli. Niejeden z nich miał zapewne na sumieniu czyny okropne, kaleczące moralnie. Wyobrażałem sobie, że wejście ich do nowego życia zostanie poprzedzone jakimś oczyszczeniem się wewnętrznym, że jedni spotkają Sonię, jak Raskolnikow, drudzy przejrzą po długich rozmowach z wierzącym kwakrem, jak Captain Singleton. Myliłem się zapewne całkowicie. Trudno jest wyobrazić sobie życie wewnętrzne kogoś zupełnie od nas innego. Przekonanie, że wszyscy ludzie są do siebie podobni, powstało być może z naszego braku wyobraźni. Dziś przypuszczam, że resorbcja dawnej Hitlerjugend odbyła się zupełnie inaczej, bez powtórnego czytania Ewangelii, po prostu na skutek całkowitej przemiany życia codziennego.

Nigdy nie słyszałem, aby jakaś doktryna została obalona przez argumenty i upadła pod ciosami krytyki. Po prostu przestawano się nią interesować, mówiono o rzeczach aktualniejszych. Tak znikły doktryny i postawy myślowe, które przez długi czas uchodziły za charakterystyczne dla Niemców. Zmiótł je *das deutsche Arbeitswunder*. Nowe miasta, nowe dzielnice, nowe warsztaty pracy, miliony samochodów, wystawy sklepów wypełnione towarami aż do sufitu, wzrastający wciąż poziom życia — takie rzeczy kształtują na nowo ludzi, którzy je, zaczynając niemal od zera, zrobili. Mój dom, moje mieszkanie, mój wóz, mój motocykl, mój urlop, który spędzę na Sycylii — wszystko to, zwłaszcza gdy jest dziełem własnych rąk, dostarcza satysfakcji nierównie bardziej oczywistych niż posiadanie najpotężniejszej nawet armii i floty. Te ostatnie są dobre dla ludów ubogich, które, nie mogąc rozszerzyć granic życia codziennego, muszą szukać satysfakcji zastępczych. Wydaje się, że w tym miejscu Niemcy dzisiejsi przekroczyli jakąś granicę, dzielącą ich od pokoleń poprzednich. Któregoś dnia, być może, *prosperity* straci dla nich urok nowości, przyniesie rozczarowania, i myśli ich wejdą na inne tory, o których na razie nic nie wiadomo, ale do tego jest jeszcze daleko.

W ciągu pół wieku Niemcy dostarczyły patrzącemu tylu różnych wzorów życia. Który z nich jest w tej chwili aktualny? Żaden wzór poprzedni nie daje klucza do zrozumienia następnego. Echa okresów poprzednich można jeszcze usłyszeć w słowach starszych, trudniej u młodych.

Zdawałoby się, że wobec zmienności pokoleń należy wzorem Hipolita Taine'a szukać rysów stałych w tym, co łączy się z krajobrazem i klimatem, z przeszłością kraju zawartą w architekturze i zabytkach. Kto jednak widział miasta niemieckie w 1945-1949, nie mógł się oprzeć wrażeniu kruchości i niepewności rzeczy martwych. Najpodobniejsi do dnia wczo-

rajszego byli w nich jeszcze ludzie, szukający resztek dobytku w ruinach swych domów.

Podczas moich pierwszych podróży powojennych do Niemiec, patrząc na odbudowę miast według dawnych planów i wzorów, nie liczącą się nawet z wymaganiami wzrastającego ruchu ulicznego, na restaurację rezydencji dawnych monarchów, na brak naśladowców Le Corbusiera, widząc wreszcie ludzi czytających w ruinach wydanego przez Heimerana na nowo Homera, odnosiłem wrażenie, że Niemcy pragnęliby nawiązać zerwany kontakt z przeszłością i stworzyć na nowo złudzenie stałości i ciągłości życia. Tak też zapewne było w tych latach, w których w Frankfurcie odbudowano dom Goethego. Ale czy nie był to tylko pierwszy odruch ludzi wykolejonych przez katastrofę historyczną i pragnących odnaleźć samych siebie? Czy po *Arbeitswunder* myśli ich nie zwróciły się raczej ku przyszłości? Odpowiedź na to pytanie spodziewam się znaleźć w Frankfurcie, którego nie widziałem od sześciu lat.

FRANKFURT

Niezwykle upalny lipiec sprzyjał w tym roku podróżom. Zwłaszcza w krajach, w których ludność nie uprawia siesty, i gdzie domy mieszkalne zwrócone są ku słońcu, gorąco było uciążliwe. Po sześciu latach nieobecności odbudowany Frankfurt ukazał mi się rozpalony jak piec, z tysiącami przechodniów bez marynarek.

Z dawnego Frankfurtu zachowałem tylko niejasne wspomnienia. Jako młody student byłem tam w czasach wilhelmińskich. Jeden z niemieckich kolegów pokazał mi wówczas stare miasto i zaprowadził do domu swej ciotki, wypełnionego gromadzonymi od pokoleń meblami. Stały tak gęsto, że miejscami pozostawała między nimi tylko wąska ścieżka. Idąc nią musiałem trzymać łokcie przy sobie, aby nie strącić porcelanowych faramuszek, ustawionych na szanownych antykach. Domów takich, pełnych pamiątek z różnych czasów, musiało być wiele w starej dzielnicy.

Gdy wróciłem tam późną jesienią 1945, miasto było wielką ruiną. W śródmieściu nie było na pozór ani jednego całego domu. Niewielki ruch widoczny był tylko przy Hauptwache, na skrzyżowaniu głównych arterii dawnego śródmieścia. Byli to przechodnie zdążający z jednego przedmieścia na drugie. Stara dzielnica, leżąca między Hauptwache i Menem, znikła zupełnie z oblicza ziemi. Na jej miejscu wznosiły się rude pagórki z startej na miałki proszek cegły, porastające tu i ówdzie zielenią chwastów. Przekopano przez nie wąskie przejście do pontonowego mostu, przez który wracałem każdego wieczora do odległej o kilka kilometrów osady podmiejskiej, gdzie znalazłem chwilowy przytułek. Gdy u wejścia do przekopu zapa-

łałem latarkę, z mroku wyłaniało się kilka zawiniętych w łachmany postaci. Byli to ludzie czekający na jakiegoś posiadacza latarki, aby z nim razem przebrnąć przez nieoświetlony i najeżony szczątkami żelaznych rusztowań przesmyk.

W 1953 stara dzielnica, z wyjątkiem domu rodziców Goethego, pozostawała wciąż niezabudowana. Zdawało się, że zwlekano z jej odbudową.

Odbudowa starych dzielnic z historycznymi budynkami stawia zadania ważne dla całej przyszłości miasta. Zrujnowane przez wojny i katastrofy miasta odradzają się bowiem nie tylko z handlu i przemysłu, ale także z swej pamięci i sławy, z zabytków i relikwii. Klasycznym tego przykładem jest Salzburg, który za mojej pamięci dwukrotnie podnosił się z upadku dzięki przechowywanym w nim pamiątkom po Mozarcie. Sławniejszym jeszcze przykładem jest Rzym, nie posiadający żadnego przemysłu poza budowlanym i mieszczący znów w swych murach dwa miliony mieszkańców. Przeszłość, aby stać się źródłem nowego życia, musi być oczywiście żywa, obecna w pomnikach i pamiątkach.

Już podczas pierwszych podróży do Niemiec powojennych uderzyło mnie, że w zbombardowanych miastach ocalały tylko dzielnice ekscentryczne, złożone z budynków użytkowych XX wieku i nie proponujące żadnych wzorów życia starszych od czasów wilhelmińskich i Republiki Weimarskiej. Niepowrotnemu zniszczeniu uległy natomiast dzielnice starsze, jak gdyby wojna powietrzna miała odciąć Niemcy od wszelkich wspomnień przedbismarckowskich.

Nie wiem, jakie miejsce przeszłość Frankfurtu zajmowała w wyobraźni jego mieszkańców, przypuszczałem jednak, że sytuacja ogólna, jaka wytworzyła się w Niemczech po ostatniej wojnie, musiała nadać historii miasta pewną aktualność. Frankfurt był wolnym miastem o liberalnych tradycjach, pamiętającym czasy Karola Wielkiego. Tam koronowali się cesarze niemieccy, tam zasiadały niemieckie parlamenty. Miasto było wielkie, bogate. Żadne inne miasto niemieckie nie miało tylu danych, aby po upadku Prus i przesunięciu się życia kraju na zachód stać się stolicą nowych Niemiec. Tradycje, wspomnienia i pamiątki historyczne są oczywiście ważnym czynnikiem stołeczności. Myślałem o tym wszystkim w zbliżającym się do miasta pociągu i pilno mi było zobaczyć, co powstało na miejsce starego Frankfurtu.

Już pierwszy rzut oka ze stopni dworca kolejowego wskazywał, że miasto zostało całkowicie odbudowane. Przed sześciu laty okolice dworca były jeszcze pełne ruin, które znikły zupełnie prócz jednej, zachowanej jak gdyby na pamiątkę po przebytej katastrofie. Jest to stojąca naprzeciw dworca czarna jak smoła fasada, na której bieleją złowieszczo opłukane przez deszcze kariatydy, orły i inne kamienne emblematy w stylu późnego niemieckiego *ottocenta*. Koło zamurowanego wejścia przeczytać można kilka na pół startych napisów angielskich

z czasów okupacji. Jeden zabrania tłoczyć się u wejścia, drugi głosi, że w tym miejscu stare banknoty niemieckie wymieniane będą na nowe. Jak się później przekonałem, jest to jedyna widoczna pamiątka z tych lat.

Zostawiwszy walizki w hotelu, pojechałem tramwajem na Rossmarkt i wszedłem w jedną z uliczek schodzących przez starą dzielnicę ku rzece. Cała przestrzeń, na której znajdowało się niegdyś stare miasto, była zabudowana.

To co tam zobaczyłem było dziełem namysłu i umiaru obcego wszelkiemu romantyzmowi. Dzielnica została zabudowana według dawnego planu, ulice nosiły te same nazwy, jakie widziałem przed podróżą w starym przewodniku z 1891. Nic w niej jednak nie było starego prócz kilku ocalałych z rozgromu kościołów. Domy stały wszędzie nowe, nie naśladujące wzorów dawnych ani dzisiejszych, nie zwracające na siebie uwagi żadną stylizacją. Ratusz mieścił się w obszernym, solidnym budynku z czerwonawego kamienia, przypominającego stary Heidelberg. Urbaniści i architekci frankfurccy wybrali drogę średnią, nie oglądając się zbytnio za siebie, lecz nie dając się także uwieść mirażom domniemanej przyszłości. W odbudowanych dzielnicach ulice są szerokie, jest wiele placów i zieleńców; zwraca uwagę większa niż w innych miastach niemieckich ilość miejsc do parkowania.

DOM GOETHEGO

Dom rodziców Goethego przy Grosser Hirschengraben stanowi wyjątek w tym ogólnym obrazie, jest bowiem kopią domu, który stał w tym miejscu przed wojną. Dom ten ulegał różnym przeróbkom, zanim opiekujące się nim stowarzyszenie nie przywróciło mu, w 1864, postaci z 1755 i nie umieściło w nim pamiątek po poecie i licznych przedmiotów należących niegdyś do jego rodziny. Sama już ilość zgromadzonych w nim sprzętów kuchennych jest imponująca. Liczba miedzianych rondli mogłaby budzić wątpliwości co do autentyczności kolekcji, w kuchniach i lamusach patrycjuszy berneńskich widziałem jednak podobne zbiory miedzianych antenatów naszych obecnych rondli aluminiowych. Widocznie stałość i ciągłość życia sprzyjają wszędzie gromadzeniu się tego rodzaju sprzętu. Na wyższych piętrach zebrane są meble, obrazy, instrumenty muzyczne i liczne inne przedmioty, wśród których wychowywał się młody Goethe. Zbiory odnoszące się do historii tzw. kultury materialnej rzadko posiadają towarzyszący im tekst pisany o rozmiarach i znaczeniu dzieł Goethego, i na tym polega wyjątkowość kolekcji zebranej w frankfurckim *Goethehaus*.

Zbiory te nastręczają różne refleksje. Wydaje mi się, na przykład, że Robbe-Grillet, radząc obecnym powieściopisarzom zaniechać metafor i wziąć się do rzetelnego opisu zewnętrznego

przedmiotów, mija się z czymś istotnym. Z opisu zewnętrznego przedmiotów nie można zrobić powieści, i sam Robbe-Grillet tego nie potrafi. Element opisowy w jego powieściach jest mało przekonywujący. Prawdziwy romans przedmiotów nie może poprzestawać na ich aspekcie zewnętrznym. Każdy przedmiot posiada także życie własne. Każdy ma swoją historię, reprezentuje jakąś fazę ewolucji klasy przedmiotów, do której należy, z każdym zaś punktem tej ewolucji wiąże się pewna ilość pojęć, ocen i struktur myślowych. Nie mówię już o reminiscencjach i asocjacjach związanych z przedmiotami indywidualnymi.

Przedmioty oglądane w domu rodziców zostawiły zapewne jakiś ślad w dziełach Goethego. Jeżeli poeta nie nazywa ich po imieniu, zachował być może coś z otaczającej ich aury pojęć, ocen, struktur myślowych i asocjacji. Odkrycie dróg, jakie wyżłobiły sobie w pismach Goethego, byłoby prawdziwym romansem przedmiotów, opisem ich niezwykłej przygody.

Studium takie mogłoby stać się interesującym przyczynkiem do *Literaturwissenschaft*. Łatwo jest powiedzieć, że byt określa świadomość, trudniej nadać temu ogólnikowemu twierdzeniu jakiś jasny sens. Suma zjawisk składających się na „byt" jest bowiem w znacznej mierze wynikiem świadomej działalności pokoleń poprzednich, wyrazem ich pojęć i sądów wartościujących. Nawet zjawisko tak wyraźnie „bytowe", jak obecność kolekcji rondli w domu Goethego, nie da się wytłumaczyć bez uwzględnienia pojęć Renesansu i Baroku, bez obejrzenia obrazów Breughela i Jordaensa i uważnego odczytania kilku rozdziałów Rabelego i innych tekstów w rodzaju opisu dożynek u Jeremiasza Gotthelfa i uczty z *Pana Tadeusza*. Tylko szczegółowe rozważenie konkretnych przykładów pozwoliłoby rozpoznać sens i zasięg formuły dzisiejszych marksistów literackich. Krytycy tego obozu upraszczają sprawę, zwężając pojęcie „bytu" do pewnych warunków gospodarczych. Tak uproszczona, formuła ich jest zawieszona w powietrzu i pozbawiona dowodów.

MUZEA I WYSTAWY

Niemieckie zbiory muzealne były przez długi czas niedostępne na skutek zniszczenia przeznaczonych dla nich budynków. Dopiero w ostatnich latach, po zaspokojeniu potrzeb mieszkaniowych ludzi żywych, odbudowano muzea i przeniesiono do nich ukryte podczas wojny kolekcje. Korzystam z dwóch wolnych dni, aby obejrzeć muzea frankfurckie.

Na Schaumainkai, po drugiej stronie rzeki, znajduje się w starym parku dawna willa barona Liebiga, mieszcząca zbiór rzeźb starożytnych i średniowiecznych. Właściwa willa jest okopconą ruiną z zamurowanym wejściem, wznoszącą się po-

nad drzewa na kształt wieży. Bombardujący miasto lotnicy brali ją być może za kościół. Portale, tarasy, balustrady, reminiscencje architekturalne różnych epok piętrzą się w niej ku górze w jakimś szalonym i bezładnym poszukiwaniu efektu wielkości. Różne rysy niemieckiego *ottocenta* są tu doprowadzone do skrajnego wyrazu. Przez czterdzieści lat odwracaliśmy się od takich rzeczy, odrzucając je *a limine*, bez dyskusji. Gdy patrzę teraz na ten dziwny twór, przychodzi mi na myśl, że wiele budynków dawnych, zwłaszcza barokowych, jest być może podobnym, chociaż trudniejszym do odcyfrowania cocktailem różnych efektów, związanych tylko ambicją budowniczego. Budynki w rodzaju willi Liebiga dają pojęcie o niebezpieczeństwach, granicach i być może nawet o głębszej naturze eklektyzmu.

Za willą, w cieniu starych drzew stoi lekki, pozbawiony ozdób budynek, stanowiący właściwe muzeum. Znajduje się w nim niewielka lecz niezwykle piękna kolekcja rzeźb. Za najcenniejszy obiekt uchodzi w niej Pallas-Atena Myrona. Z pochyloną na bok głową bogini patrzy w dół z wysokiego postumentu, uważna, opanowana, nieżyczliwa, być może kapryśna. Takim spojrzeniem śledziła zapewne z Olimpu robotę Arachny.

W dziale sztuki Wschodu zatrzymały mnie na dłużej dwa portrety wycięte przez jakiegoś barbarzyńcę z zewnętrznej powłoki mumii egipskich z czasów Antoninów. Wśród posiadanych przez muzeum fotografii większego formatu znalazłem niestety tylko jeden z tych portretów. Fotografia ta stoi teraz przede mną na kominku. Przedstawia młodą dziewczynę, zmarłą po dłuższej chorobie, jak można wnosić z powiększonych przez odchudzenie oczu. Spojrzenie jej jest zarazem spokojne i zdziwione, takie jakim ogląda się świat po tamtej stronie granicy. Przychodzi mi na myśl, że większość starych portretów Cranacha czy Van Dycka przedstawia ludzi w obliczu rzeczy ostatecznych. Wizerunek człowieka pozującego po śniadaniu w pracowni artysty należy od innej klasy obrazów.

W dziale średniowiecznym uwagę moją zwraca głowa kobiety z 1464. Jest to też portret, dłuta nieznanego mi mistrza holenderskiego. Patrzącemu nań przychodzi na myśl *Isoldas Liebestod*. Głowa ta uderza zmysłowością, wyrażającą się wdziękiem, którego zazdrościmy zwierzętom. Dziś gdy artystki filmowe, odpowiadając gustowi publiczności, prześcigają się w poszukiwaniu wyrazistych form sex-appealu, portret holenderskiego rzeźbiarza mógłby stać się przedmiotem studiów i zyskać nawet pewną popularność.

Piszę to w trybie warunkowym, bo przez cały ranek byłem w willi Liebiga jedynym gościem.

Wręcz odwrotną sytuację znalazłem w leżącym nieopodal muzeum sztuk pięknych, powstałym również z fundacji prywatnej i mieszczącym się w imponującym gmachu z 1878, o stylu klasycznym. Natłok zwiedzających był tego dnia tak

wielki, że pobieżnie tylko mogłem obejrzeć bogate zbiory muzeum.

Pierwsze kroki zaprowadziły mnie do pięknego obrazu Tintoretta, którego nie widziałem ani w katalogu wystawy z 1937, ani w żadnym znanym mi dziele o mistrzu Jakubie Robustim. W odróżnieniu od innych mistrzów *cinquecenta*, Tintoretto widzi świat wirujący w zawrotnym ruchu, za którym ledwie zdąża jego pośpieszny pędzel. Na frankfurckim obrazie ruch ten zatrzymał się jak gdyby na chwilę, aby tym pewniej rozpętać się znów. Jest to jeden z piękniejszych obrazów znakomitego Wenecjanina.

Inne wrażenie robi wiszące w tejże sali wielkie płótno Rembrandta, przedstawiające zwycięstwo Dalili. Całe światło skupione jest na wijącym się z bólu Samsonie, któremu żołnierz zanurza właśnie sztylet w oko. Jest to obraz nieco inny od znanych dzieł mistrza, niezrównoważony, gwałtowny, okrutny.

Nieraz przychodziło mi na myśl, że na wystawach malarzy współczesnych obrazy szkodzą sobie nawzajem, odbierając jedne drugim intensywność i świeżość barw. Widok dwóch obrazów Renoira, wiszących z daleka od siebie w otoczeniu innych płócien, utwierdza mnie w tym przekonaniu. Promienność ich jest tak wielka, że wśród dziesiątków obrazów wzrok zatrzymuje się tylko na nich. W kolekcji Reinharta, gdzie kilkadziesiąt najpiękniejszych Renoirów wisi obok siebie, efekt ten jest mniej uderzający.



Malarstwo abstrakcyjne ma już koło 50 lat. Jest więc w wieku, w którym ludzie mają wspomnienia i zaczynają oglądać się za siebie. Stąd zapewne tyle wystaw retrospektywnych, sięgających początku głównych prądów okresu międzywojennego. Z okazji tych kommemoracji zwrócono też uwagę na Rosjan, którzy przed 40-50 laty byli w pierwszych szeregach falangi modernistów. Niektórzy z nich — jak Chagall, Kandinsky, Sutin i Zadkin — są dziś sławni. W ciągu ostatnich dwóch lat widziałem jednak także starannie przygotowane wystawy mniej sławnych, jak Aleksiej Jawlenskij i Kazimierz Malewicz. Mówiąc nawiasem, tego ostatniego piszą zawsze Malewitsch, jakkolwiek jest moim krajanem, bodaj nawet szlachcicem, i w 1922 rozmawiał ze mną po polsku.

W Frankfurcie, w budynku dawnego klasztoru karmelitów, oglądałem wystawę obejmującą całą grupę rosyjskich nowatorów. Pod względem artystycznym wystawa była postna; brak było Sutina, którego obrazy wystawiano w tym czasie w Paryżu; akwarele i rysunki Chagalla i Kandinskiego były nieistotne i przypadkowe; najlepiej reprezentowany był Łanskoj. Dla mnie najciekawsza była strona dokumentalna wystawy: plakaty wystaw petersburskich z 1915-1916, obrazy, rysunki i szkice z tego okresu, należące do świata opisanego

w pierwszych rozdziałach „Doktora Żiwago”. Niektóre z nich mogłyby służyć za ilustracje do powieści Pasternaka.

Gdy patrzyłem na tę wystawę i przypominałem sobie Malewicza, milczącego lub wpadającego w teoretyczno-techniczne rozważania, przyszło mi na myśl, że udział Rosjan w ruchu, który miał prowadzić do „wielkiej przygody” malarstwa współczesnego, nie był dziełem przypadku. Ludzie Zachodu marzyli tylko o *gefährlich leben* i przygody przeżywali najczęściej w wyobraźni. Rosjanie byli do takich rzeczy bardziej uzdolnieni; przygody brali na serio i wychodząc z domu nie oglądali się za siebie.

PANNA ELFRYDA

W biurze hotelu zastałem młodą dziewczynę, w której oczach było jakieś wspomnienie złych lat, coś co mi przypominało pierwsze podróże do powojennych Niemiec. Spojrzawszy na wypełniony przeze mnie formularz meldunkowy, zapytała jak się nazywa moje miejsce urodzenia.

— Na co to pani potrzebne? Miejsce to przed czterdziestu laty znikło z oblicza ziemi i figuruje już tylko w moich papierach. Zresztą nazwa jego jest trudna do wymówienia.

— Nie dla mnie. Mówię po polsku.

Okazało się, że panna Elfryda pochodzi z Olsztyna, skąd wyjechała z własnej inicjatywy dopiero w 1957. Jest więc moją koleżanką-emigrantką. Z dalszej rozmowy dowiedziałem się, że pochodzi z rodziny mazurskiej. O przyczynach swego wyjazdu powiedziała mniej więcej tyle:

— Rosjanie byli okropni, ale Polacy jeszcze gorsi, małostkowi, dokuczliwi. Kiedy moi rodzice, przywiązani do tej ziemi, umarli, postanowiłam wyjechać. W Polsce jest za dużo patriotów.

— Nie brak ich i tu.

— Ale tu jest ich mniej.

Panna Elfryda ma rację. Cofanie się nacjonalizmu, który zrujnował Europę i sprowadził ją do roli przylądka Eurazji, widać w Niemczech wyraźniej niż gdziekolwiek indziej.

Następnego dnia zapytała mnie, czy czytałem „Doktora Żiwago”. O książce tej wiele słyszała, ale jest dla niej za droga, w czytelniach zaś frankfurckich jej brak lub trzeba na nią czekać przez długie miesiące. Przeczytałaby ją oczywiście także po polsku; była przecież w polskiej szkole i czytanie w tym języku nie sprawia jej żadnej trudności.

Zanim wyjechałem z Frankfurtu, panna Elfryda przeczytała pierwsze rozdziały powieści Pasternaka. Powiedziała mi, że z książki tej ucieszy się również jej koleżanka, posiadająca polską maturę. Obiecujemy sobie nawzajem, że będziemy do siebie pisywali.

Co też powie panna Elfryda o wspomnieniach z Olsztyna Tadeusza Nowakowskiego, drukowanych w ostatnim numerze ,,Kultury''?

ANNA MAGNANI

Hotel mój jest jednym z tych nowoczesnych budynków z żelazobetonu i szkła, które, jak bajeczny Argus, patrzą w słońce dziesiątkami okien. We dnie nagrzewa się do temperatury tureckiej łaźni i chłodnie powoli dopiero po północy. Obawiając się wracać wieczorem do rozpalonych murów, wchodzę na przeciw Hauptwache do podziemnego kina, gdzie spodziewam się znaleźć łagodniejszą temperaturę. Idzie tam właśnie film, w którym grają razem Anna Magnani i Giulietta Masina. Film ten przynosi mi wielki zawód. Akcja jego rozgrywa się w więzieniu dla kobiet. Pomysł zamknięcia w więzieniu dwóch najlepszych aktorek włoskich wydaje mi się groteskowy i barbarzyński. Przeniesione za kraty z szerokich przestrzeni takich filmów jak *Volcano* i *La Strada,* obie artystki wydając się biedne, oskubane.

Kariera Anny Magnani jest osobliwym paradoksem naszych czasów, sama bowiem natura jej talentu jest wyzwaniem rzuconym filmowemu światu producentów, scenarzystów i reżyserów. Nikt nie stworzył dotąd ram odpowiednich dla jej talentu, znanego właściwie tylko z okruchów i aluzji. Wszystkie jej role wyglądają na uciążliwe kompromisy. W każdej z nich jednak znajduje się jakaś aluzja do zawsze tej samej wielkiej roli, stanowiącej o powołaniu artystycznym Anny Magnani.

Jest to rola kobiety, która doznała wielkich zawodów i zrezygnowała z miłości i życia osobistego. Nie odeszła wprawdzie od ludzi i bierze nadal udział w ich sprawach, ale porusza ją już tylko uczucie życzliwości, litości, coś odpowiadającego pojęciu miłości chrześcijańskiej. Nigdy bodaj nie widziano, aby kreacja sceniczna niema — bo skąpe i ubogie słowa scenariuszy krępują tylko talent artystki — zbliżała w równej mierze widzów do tekstu Ewangelii. Przed laty czytałem w rzymskiej gazecie, że Alcide De Gasperi z całym swym chrześcijańsko-demokratycznym rządem *in corpore* był na premierze filmu z Anną Magnani w roli głównej. Demonstracja ta przynosi zaszczyt przenikliwości De Gasperiego. Tak powinno było być. Inna rzecz, że włoski mąż stanu musiał być głęboko rozczarowany filmem — widziałem go w rok później — w którym aluzja do Marii Magdaleny była tylko niejasnym, ledwie słyszalnym szeptem.

W filmie współczesnym nie ma widocznie miejsca na taką rolę ani na taki talent. Film i Anna Magnani należą być może do różnych klas zjawisk. Bardziej zastanawia fakt, że nie widać obecnie żadnego pisarza, który mógłby napisać sztukę lub sce-

nariusz dla Anny Magnani, lub z którego pism można by taki scenariusz wykroić. Scenariusz, który napisał dla niej Tennesee Williams, jest nieporozumieniem. Także u pisarzy katolickich szukalibyśmy na próżno odpowiedniego tekstu. Nie widać go ani u tych, którzy sądzą i ciskają gromy, ani tym mniej u tych, którzy kokietują grzechem w swych katolickich romansach kryminalnych.

W kreacjach aktorskich Anny Magnani i Giuletty Masiny zwraca uwagę całkowita nieobecność elementu zwanego sex-appealem. Koncepcja taka zbiega się z wielkimi tradycjami sztuki. Gdy przeglądamy np. powiększone fotografie postaci kobiecych z krakowskiego ołtarza Wita Stwosza, jesteśmy pewni, że z żadnym z ich modeli nie łączyły artysty osobiste stosunki uczuciowe, wychodzące poza granice miłości chrześcijańskiej, jakiej oczekujemy w dziełach sztuki o inspiracji religijnej. Uwaga ta odnosi się nie tylko do sztuki religijnej. ,,Piękno jest cielesnym powabem, który nie pozwala się zbliżyć i zakłada wyrzeczenie'', powiada Simone Weil. Tę samą odległość widzimy u wielkich portrecistów. W dzienniku Goncourt'ów znajduje się cały ustęp poświęcony tej postawie artystów. Tę samą *castitas* odnajdujemy nawet, wbrew pozorom, u Rubensa, który malował najczęściej kobiety nagie, wszystkie podobne zresztą do jego żony. Baudelaire, który jak nikt inny przemyślał te sprawy, pisze:

Rubens, fleuve d'oubli, jardin de la paresse,
Oreiller de chaire fraiche où l'on ne peut aimer,
Mais où la vie afflue et s'agite sans cesse,
Comme l'air dans le ciel et la mer dans la mer.

Brak w kreacjach aktorskich Anny Magnani i Giuletty Masiny elementów tzw. sex-appealu sprawia, że patrzący na nie odnajduje w sobie od razu rodzaj wzruszenia, znanego mu z uprzedniego obcowania z wielką sztuką.

POŻEGNANIE

Frankfurt jest przede wszystkim wielkim ośrodkiem handlowym, do którego przeniosła się część życia gospodarczego z wschodniej części Niemiec. Kalendarz odbywających się tam targów, wystaw i obrad, podczas których trudno o miejsce w hotelu, jest imponującym dokumentem. Wszystko jest to w pełnym rozwoju, którego granic jeszcze nie widać. Miasto zwrócone jest ku przyszłości; nie widać w nim nigdzie biernej egzystencji rzeczy starych, trwających niezmiennie przez lata i wieki.

Do Frankfurtu przenieśli się wielcy wydawcy niemieccy, jak S. Fischer i Peter Suhrkamp. Stąd idą w świat znane już

wszędzie dwumarkowe tomiki Fischera w błyszczących, półsztywnych okładkach. Ten nowy i stary zarazem typ taniej książki, którego brakło w okresie międzywojennym zasługiwałby na osobne studium.

Nieżyjącego obecnie Suhrkampa poznałem tu przed sześciu laty. Drożyzna pieniądza i niestałość cen stawiały wówczas wydawców wobec bardzo trudnych sytuacji. Jak w czasach inflacyjnych, tę samą książkę sprzedawano co dzień po innej cenie. Wielu ogarnął pesymizm, niewiara w przyszłość książki, dla której nie widzieli miejsca w nadchodzącej organizacji życia codziennego.

Peter Suhrkamp był z temperamentu niesklonny do takich przewidywań. Miał siwe, falujące włosy, jasne oczy i pozbawiony był wszelkiej sztywności. Jak wielcy szefowie przedsiębiorstw, wnikał bez pośpiechu w szczegóły każdej nowej propozycji i zdawał się mieć wiele wolnego czasu. Mówił tonem przyjaznym, od człowieka do człowieka, bez dygresji i uogólnień. Słuchając go, ulegało się złudzeniu, że słowo drukowane jest wielką potęgą autonomiczną, torującą sobie drogę poprzez wszystkie przeszkody.

Przyczynę jego optymizmu zrozumiałem dopiero później. Źródłem sceptycyzmu ludzi mających wówczas do czynienia z książką były nie tylko trudności gospodarcze, ale także sama literatura. Literatura nowych Niemiec liczyła zaledwie kilka lat wieku i nie miała jeszcze określonego oblicza. Nikt nie mógł przewidzieć, jakie miejsce zajmie w życiu odradzającego się kraju. Słyszałem nawet — przy tym od osoby bardzo kompetentnej — zdanie, że taka rzecz jak literatura współczesna w Niemczech w ogóle nie istnieje.

Do sądzenia o tych sprawach Peter Suhrkamp posiadał szczególne warunki. Nakładem jego wychodziły wówczas książki autorów zupełnie nieznanych lub z natury swej nie mogące liczyć na natychmiastowe powodzenie. Wydawca takich książek jest w pewnej mierze współtwórcą literatury bieżącej, znającym jej projekty i możliwości na kilka lat naprzód.

Przy pożegnaniu Suhrkamp ofiarował mi obszerny *Tagebuch* nieznanego wówczas, dziś głośnego pisarza zuryskiego Maxa Frischa, zawierający m.in. wspomnienia z odbudowującej się Warszawy (autor jest architektą). W tym czasie Szwajcarzy boczyli się jeszcze na Niemców, między wydawcami i księgarzami obu krajów istniało coś w rodzaju zimnej wojny. Kto mógł wówczas przewidzieć, że w ciągu czterech czy pięciu najbliższych lat odrębność literatury szwajcarskiej w języku niemieckim zniknie, i że zostaną z niej tylko pisarze niemieccy urodzeni w Zurychu czy w St. Gallen? Kiedy myślę o ludziach zwróconych ku przyszłości, przypominam sobie zawsze Petera Suhrkampa.

Od ówczesnych pesymistów słyszałem, że książka staje się coraz bardziej towarem sezonowym, że książki nie sprzedane w ciągu dwóch lat oddawane są na przemiał i znikają na zaw-

sze z rynku. Potwierdzając mi te wiadomości, pewien księgarz monachijski dodał: „Mam wrażenie, że w ten sposób zniszczyliśmy to, co w literaturze ostatnich lat mieliśmy najlepszego". Wiele książek z pierwszych lat powojennych znikło bez śladu i można je znaleźć tylko w frankfurckiej Deutsche Bibliothek, jedynej jaka posiada komplet druków niemieckich z tych czasów.

Słowa pesymistów przyszły mi znów na myśl, gdy oglądałem witryny antykwariatów przy Goethestrasse. Zobaczyłem tam mianowicie powieść jednego z najlepszych żyjących autorów niemieckich, która przed trzema laty figurowała jeszcze wśród nowości wydawniczych, i za którą zapłaciłem w Monachium cenę katalogową 13 marek, a której cena antykwaryczna wynosi obecnie 4 marki. Zmarli jadą prędko, mówi niemieckie przysłowie, ale i żywi, jak widzę, też nie marudzą. Po namyśle zatrzymuję się jednak w pół drogi między optymistami i piewcami zagłady. Książek tych przecież nie zmielono, oszacowano je tylko na nowo. W *Betriebslehre* Schmallenbacha czytałem kiedyś, że przedsiębiorstwa nie powinny przeceniać w bilansie pozostałych im na składzie towarów i, jeżeli są to książki, wartość ich należy szacować na 18% kosztów własnych. W największym ośrodku handlowym Niemiec książki nie uchylają się widocznie od zasad *Betriebslehre*.

Jako nabywca książek, powinienem zainteresować się bliżej frankfurckimi antykwariatami. Z żalem opuszczam te miasto, które, jak mi się zdaje, zaczynam już trochę rozumieć.

(*Dokończenie nastąpi*)

Paweł HOSTOWIEC

Rewolucja klasowa Ameryki

I. ZMIANY STRUKTURY ZAWODOWEJ

Rewolucja techniczna i społeczna Stanów Zjednoczonych znalazła wyraz w niezwykłych przemianach układu klasowego, to jest — używając terminologii amerykańskiej — w zmianach struktury społecznej. Istota tych przemian polega na zjawisku iście rewolucyjnym: 1. Liczba zatrudnionych w rolnictwie, liczba farmerów spada gwałtownie. 2. Liczba inteligencji zawodowej wzrasta w tempie rewolucyjnym. 3. Liczba robotników ustala się na razie na poziomie 40 % zatrudnionych, przy zwiększeniu udziału robotników kwalifikowanych, a obniżeniu liczby robotników niekwalifikowanych.

Naszkicujmy obraz tych przemian z grubsza, zanim przejdziemy do szczegółów. Mechanizacja, automatyzacja przemysłu z jednej strony, z drugiej zaś nowe typy energii, wreszcie ogromny wzrost wydajności, zastosowanie metody naukowej i wyników nauki w rolnictwie, wszystkie te elementy rewolucyjne przyczyniły się do wielkiego zapotrzebowania na inteligencję zawodową, a więc inżynierów, chemików, matematyków, fizyków, biologów, ekonomistów, socjologów, psychologów, logików, profesorów nauk humanistycznych, nauczycieli wszelkich działów, prawników i innych. Z drugiej strony znika farmer dawnego typu — liczebność tej grupy ludności zmniejsza się gwałtownie. Nie mówię już o chłopach-rolnikach niewyspecjalizowanych, o warstwie społecznej o wyraźnej kulturze i pewnym typie technologii rolnej, bo tej warstwy w Stanach Zjednoczonych nie ma.

W 1820 r. rolnictwo amerykańskie zatrudniało przeszło 70 % ludności, w 1950 r. ponad 11 %, w 1955 r. poniżej 10 % ludności, a oszacowania na 1975 r. wskazują, że liczba ta spadnie do 5 %.

Stany Zjednoczone produkują przy tym więcej żywności niż ludność może spożyć. Żywność tę magazynuje się, wywozi, pożycza, rozdziela. Nie ma w Stanach ludzi głodnych — zagadnienie Stanów to nie ludzie chudzi, ale ludzie tłuści. Towarzystwa ubezpieczeń na życie i ubezpieczeń od choroby — a przeważająca większość ludności amerykańskiej z nich korzysta — ostrzegają przez radio, by nie jeść za dużo, by nie gromadzić za wiele kalorii. Choroby serca związane z wysiłkiem roboczym i jedzeniem potraw wysokokalorycznych stały się problemem Stanów.

Podobnie rewolucyjne przemiany uwidoczniają się w liczbie studentów. W 1870 r. Stany Zjednoczone miały ponad 50.000 studentów w szkołach akademickich. W 1955 r. ilość studentów wzrosła do liczby przekraczającej 2.750.000. Oszacowania na 1975 r. wynoszą 6 milionów studentów. W chwili obecnej — wrócimy jeszcze do tej liczby — jedna czwarta ludności amerykańskiej — tj. 40 milionów — uczy się w szkołach różnego typu, a więc w powszechnych, zawodowych, średnich, wieczorowych, akademickich, czy też innych.

II. ZMNIEJSZAJĄCA SIĘ LICZBA ROLNIKÓW

Zajmijmy się najpierw ludnością rolniczo-farmerską. Zmiany rewolucyjne, polegają, jak już wspomniałem, na wzroście produkcji połączonym z gwałtownym spadkiem liczby ludności rolniczej. Innymi słowy — rewolucję tę ująć można w paradoksie — im większa produkcja rolna, tym mniej ludzi pracujących na roli. Tak zwane kraje rolnicze, a więc kraje o większości ludności rolnej — jak kraje bałkańskie czy kraje Ameryki Łacińskiej, to kraje o niskiej produkcji rolnej, kraje rolniczo zacofane, o przestarzałym rolnictwie. Dobre rolnictwo mają kraje uprzemysłowione, kraje o rolnictwie zmechanizowanym i stosujące metody naukowe w produkcji rolnej.

Istotą tych zmian nie jest wyłącznie sama technika. Zasadniczym czynnikiem jest stosunek człowieka do przemian technicznych i społecznych, innymi słowy system wartości znajdujący wyraz w ideologiach społeczeństw. Społeczeństwa chłopskie czy to w Europie Wschodniej, czy w Ameryce Południowej, czy w Azji są na ogół konserwatywne. Chłop zbyt często jest nastawiony niechętnie do przemian technicznych. Nie bardzo ufa nowinkom — a ponadto niski dochód i rządy najczęściej chłopu przeciwne, a nawet wrogie — nie pozwalają na zasadnicze i konieczne zmiany społeczne. Brak kredytu i pomocy gospodarczej czyni zresztą te zmiany często iluzorycznymi. Trudności są wielkie, problemy dnia codziennego przygniatające, a w końcu — i w systemie wartości ludzkich góruje raczej konserwatyzm produkcyjny.

Rewolucji przemysłowej 18-go stulecia towarzyszyła w Anglii rewolucja w rolnictwie. W Anglii, a jeszcze bardziej

w północnej i zachodniej części Stanów Zjednoczonych ludność rolnicza była bardziej skora do zmian technicznych i zmian w produkcji choć nie brakło również silnych oporów. System wartości był inny, a przede wszystkim rolnik miał więcej wolności. Rewolucja rolna w rolnictwie Stanów Zjednoczonych wystąpiła wcześnie bo już w 18-tym i z początkiem 19-go wieku. W tym to czasie zapoczątkowano zastosowanie chemii w rolnictwie (Davy), a także wprowadzono pierwsze maszyny rolnicze, a potem jednolity pług żelazny (*irencast plough*). Niemalże od początku republiki rozpoczęto poważne studia nad nasionami. Sekretarze Stanu polecili przedstawicielom zagranicznym Ameryki — konsulom i posłom — zbieranie i dostarczanie nasion krajów obcych. W połowie ubiegłego stulecia Cyrus Mac Cormick zakłada pierwsze fabryki nowoczesnych maszyn rolniczych. Maszyny Mac Cormicka nie miały początkowo powodzenia. Przedsiębiorczy mechanik nie dał jednak za wygraną. Z wybuchem wojny domowej między Północą a Południem liczne rzesze farmerów opuściły rolę, zaciągając się do szeregów armii północnej. Na roli pozostały kobiety, dzieci i starcy — trzeba było na gwałt nowych rąk roboczych lub maszyn. Maszyny były rozwiązaniem szybkim i prostym. W tym też okresie maszyny Mac Cormicka rozpoczęły swój zwycięski pochód. Po wojnie domowej produkcja rolna przesunęła się na Zachód do stanów i tzw. terytoriów, do niedawna opanowanych przez Indian. Rolnictwo w wielkiej skali rozwinęło się w Kalifornii. Nie było więcej niewolnictwa — wszędzie docierała maszyna rolnicza, kombajny i mechaniczne pługi, żniwiarki i kosiarki. Siłę fizyczną człowieka zastąpiła teraz siła lokomobili parowej i siła fizyczna wielu par koni czy mułów, które ciągnęły nowe pługi czy kombajny.

W owym czasie przemiany w rolnictwie amerykańskim były rewolucyjne. Marks, studiując owe przemiany, zapowiadał wówczas — zresztą nietrafnie — nadchodzącą koncentrację rolnictwa w Europie.

W tymże samym czasie w rolnictwie Stanów dokonał się postęp także i na polu badawczym, organizacyjnym i, jakbyśmy to dziś powiedzieli, szkoleniowym. Za czasów administracji Lincolna powołano Departament Rolnictwa. Nie jest to zwyczajne ministerstwo, typu europejskiego. Departament Rolnictwa porównać by można do wielkiego instytutu naukowego, wyspecjalizowanego w naukach rolniczych. W sztabie pracowników znajdziemy więc ekonomistów i socjologów rolnych — obok biologów, chemików, inżynierów, klimatologów, botaników i przedstawicieli innych zawodów. Sztab pracowników jest ogromny. Badają rolnictwo całego świata. Departament Rolnictwa wydaje liczne dzieła z zakresu rolnictwa, odpowiada bezwłocznie na setki, a nawet tysiące listów, które otrzymuje co dzień od obywateli amerykańskich. W listach tych obywatele proszą o informacje — począwszy od rad w sprawach sztucz-

nych nawozów czy nasion, a kończąc na zapytaniach o dane statystyczne, przemiany w układzie ludności rolnej itp.

W tym samym niemal czasie w którym powołano Departament Rolnictwa utworzono tzw. *Land Grant Colleges* — a więc szkoły akademickie, których dochód opiera się na hojnym przydziale ziemi. Powstaje wówczas bardzo wiele stanowych szkół akademickich. Specjalnością ich, a więc przede wszystkim uniwersytetów — jest właśnie rolnictwo. Najlepsze szkoły rolnicze Stanów — to szkoły stanowe. Nowy Jork (Cornell University) — czy też Illinois, Indiana, Wyoming, Dakota, Kentucky — wszystkie mają znakomite szkoły rolnicze. W szkołach tych rolnik kształcić się może bezpłatnie albo za bardzo niską opłatą. W dodatku obok programu czysto akademickiego — rozwinął się też w tych szkołach tzw. *extension program.* Instruktorzy uniwersytetów stanowych wyjeżdżają z wykładami do odległych osiedli. Praca ta nie ogranicza się jednak do wykładu. Farmer może domagać się porady zawodowej i pomocy od swego uniwersytetu lub od rządu stanowego. Jeśli więc ma siać zboże — zapytuje uniwersytet jakich użyć nasion, jakich sztucznych nawozów itp. Zresztą może także zapytać Departament Rolnictwa jaka jest np. sytuacja na rynku światowym. Miałem możność obserwowania działalności stanowych kolegiów rolnych czy uniwersytetów. W odległym Wyoming, instruktorzy rolni przebywają dziesiątki kilometrów odwiedzając farmerów i udzielając fachowych wskazówek. W Maine znajomy mi rybak wysyła butelkę wody ze swej studni do uniwersytetu stanowego. W ciągu dwu dni otrzymuje analizę z informacją, że woda jest bakteriologicznie czysta, że można jej używać do picia. Wpływ i znaczenie nauki, organizacji i współpracy obserwować można na ogromnych obszarach stanów rolniczych olbrzymie łany zboża w Iowa — pola ziemniaczane Idaho, farmy jarzynowe w New Jersey, kurze w Maine — wszystkie noszą cechy tej pracy. Między uniwersytetem Indiana i Illinois — między Bloomington i Urbana — ciągnie się pas znakomitej ziemi i bogatego rolnictwa, jest to tzw. *corn-belt* — pas kukurydzy, w którym sieje się kukurydzę i soję. Dziesiątki badaczy na uniwersytecie Illinois i w ,,college'ach'' rolnych Indiany przyczyniły się do bogactwa tego obszaru. Bez pomocy nauki rolnictwo amerykańskie nie byłoby tym, czym jest dzisiaj.

Wróćmy teraz do naszej historii. Z początkiem obecnego stulecia, gdzieś około 1904 roku, doszło do nowej rewolucji w rolnictwie, nastąpiła traktoryzacja. Zaczął się gwałtowny spadek zatrudnienia mułów i koni. Miejsce koni przy kombajnach i pługach zastępują teraz traktory. Zmniejszenie się liczby zwierząt pociągowych miało też inne, uboczne skutki. Nie trzeba było więcej tak znacznego obszaru ziemi przeznaczać pod paszę. Zwalniają się więc ogromne obszary pod płody przemysłowe i żywnościowe : a więc pod zboże, jarzyny, soję,

i inne. Łąki, które służyły do wyżywienia koni dają teraz paszę dla krów — a więc powstają nowe obszary gospodarki mlecznej, także niezwykle zmechanizowanej.

Współczesną *Drugą Rewolucję Przemysłową*, (której skutki są widoczne również i w rolnictwie), poprzedziły więc *trzy rewolucje* rolne: *pierwsza* — XVIII-go wieku — równoległa do rewolucji rolnej w Anglii, *druga* — lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy maszyny rolne weszły w powszechny użytek, *trzecia* — z początku naszego stulecia, spowodowana wprowadzeniem traktoru. Drugą Rewolucję Przemysłową — a przede wszystkim wielkie odkrycia w dziedzinie chemii i biologii oraz dalsze udoskonalenia techniczne w rolnictwie, które przypadają na połowę naszego wieku — nazwać by można *czwartą rewolucją* w rolnictwie amerykańskim. Ciągłość owych zmian o charakterze zasadniczym i podstawowym odzwierciadlała się w bezustannym zmniejszaniu się liczby rolników-farmerów.

Przegląd statystyczny odsetka ludności amerykańskiej, zatrudnionej w rolnictwie od roku 1820, daje obraz owych zmian (Tablica I).

TABLICA I

Odsetek zatrudnionych w zawodach rolniczych
(farm occupations)
w stosunku do ogółu zatrudnionych w Stanach

Rok		%
1820		71.8
1830		70.5
1840		68.6
1850		63.6
1860		58.9
1870	*Osoby w wieku*	53.0
1880	*10 lat i wyżej*	49.4
1890		42.6
1900		37.5
1910		31.0
1920		27.0
1930		21.4
1930		20.9
1940	*Osoby w wieku 14 lat i wyżej*	17.1
1950		11.6

Źródło: Statistical Abstract of the U.S. 1956. Bureau of Census, 77 edition, 1956, str. 195.

Porównując statystyki Departamentu Rolnictwa oraz Amerykańskiego Urzędu Statystycznego (*US Bureau of Census*) znajdziemy pewne różnice w liczbie ludności rolniczej, pewne odchylenia, wynikające z różnic w grupach wieku, w definicjach czy też metodach szacowania. Różnice te nie mają jednak istotnego znaczenia — wahania są raczej drobne i mimo tych różnic obraz zmian jest wyraźny, ostry. Tak więc w 1820 r. ponad 70 % ludności zawodowo czynnej zaliczono do zawodów farmerskich. W 100 lat później (1920) liczba ta spadła do 27 %, a więc więcej niż o połowę, a w ciągu następnych lat trzydziestu — od 1920 r. (1950), a więc w ciągu czasu krótszego o dwie trzecie — odsetek ludności rolniczej zmniejszył się znowu o ponad połowę. W 1950 r. liczba ta wynosiła tylko ponad 11 %, w sześć lat później, w 1956 r., poniżej 10 %. Tak więc w ciągu lat ok. 140-tu, odsetek rolników w stosunku do całej ludności zatrudnionej w Stanach Zjednoczonych zmniejszył się mniej więcej siedmiokrotnie przy ogromnym wzroście produkcji rolniczej.

Rewolucja lat ostatnich zarysowuje się znacznie ostrzej jeśli porównamy dane statystyczne od 1928 r. za okres ostatnich lat trzydziestu. Porównajmy więc następujące wielkości: 1) liczba ludności farmerskiej żyjącej na farmach, 2) liczba ludzi zatrudnionych czynnie bezpośrednio w farmerstwie, 3) odsetek ludności farmerskiej żyjącej na farmach w stosunku do całej ludności Stanów i 4) odsetek ludności zatrudnionej bezpośrednio w rolnictwie w stosunku do ogółu zatrudnionych (tablica II na str. 23).

Jak już wspomniałem, według oszacowań amerykańskich odsetek zatrudnionych w rolnictwie w roku 1975 spadnie do 5 %, a więc w ciągu 155 lat udział osób zatrudnionych w rolnictwie zmniejszy się 14-krotnie, to jest o 93 %, przy czym spadek liczby farmerów związany jest nie tylko z mechanizacją rolnictwa, ale także z wprowadzeniem do rolnictwa metod naukowych w jak najszerszym zakresie. Trzeba tu stwierdzić, że wprowadzenie do produkcji rolnej wielu sztucznych środków, to jest roztworów chemicznych, stosowanych przy zwalczaniu owadów, czy antybiotyków w farmach kurzych, może mieć również ujemne skutki zdrowotne. Problemy te wymagają co prawda odpowiedzi, ale nie powstrzymają tendencji rozwojowych, to jest zastosowania nauki i techniki do wielkiej produkcji rolnej. W konsekwencji współczesny farmer amerykański daleki jest od typu farmera sprzed 50-ciu laty, a zupełnie już nie przypomina społeczno-kulturalnego chłopa. Dzisiejszy farmer zbliżony jest raczej do typu technika czy inżyniera rolnego lub przedsiębiorcy. Farmerstwo współczesne bowiem wymaga wysokich kwalifikacji mechaniczno-naukowych (mam raczej na myśli zastosowanie nauki niż naukę samą) oraz ciągłej współpracy z instytucjami naukowymi.

TABLICA II

Ludność farmerska i zatrudnienie w rolnictwie w Stanach Zjednoczonych w stosunku do całej ludności
(Labor Force)

Rok	Ludność farmerska (żyjąca na farmach)	Zatrudnieni w rolnictwie	Ludność rolnicza w stosunku do całej ludności łącznie z siłami zbrojnymi poza Stanami (overseas)	Zatrudnienie w rolnictwie w stosunku do całej siły roboczej łącznie z siłami zbrojnymi
	w tysiącach	w tysiącach	w procentach	w procentach
1929	30.580	10.450	25.2	21.1
1930	30.529	10.340	24.9	20.6
1931	30.845	10.290	24.9	20.3
1932	31.388	10.170	25.2	19.8
1933	32.393	10.090	25.8	19.5
1934	32.305	9.900	25.6	18.9
1935	32.161	10.110	25.3	19.0
1936	31.737	10.000	24.8	18.6
1937	31.266	9.820	24.3	18.1
1938	30.980	9.690	23.9	17.6
1939	30.840	9.610	23.6	17.3
1940	30.547	9.540	23.2	17.0
1941	30.273	9.100	22.7	15.8
1942	29.234	9.250	21.7	15.3
1943	26.681	9.080	19.6	14.1
1944	25.495	8.950	18.5	13.6
1945	25.295	8.580	18.1	13.1
1946	26.483	8.320	18.8	13.6
1947	27.124	8.266	18.9	13.4
1948	25.903	7.973	17.7	12.7
1949	25.954	8.026	17.5	12.6
1950	25.058	7.507	16.6	11.6
1951	24.160	7054	15.7	10.7
1952	24.283	6.805	15.5	10.2
1953	22.679	6.562	14.3	9.7
1954	21.890	6.504	13.5	9.6
1955	22.158	6.730	13.5	9.8
1956	22.257	6.585	13.3	9.4

Źródło : Farm Population : 1910-56, US Census AMS Series. Agricultural Employment 1929-56 : CRS Bureau of Census and Economic Report of the President.

Obliczone na podstawie tablicy 2 i Bureau of the Census, Current, Population Surveys, Series P-57.

Free Entreprise jest amerykańskim mitem społecznym, ale bez pomocy uniwersytetów, urzędów stanowych, Departamentu Rolnictwa, bez pomocy państwowej czy publicznej pomocy kredytowo-finansowej — rolnictwo amerykańskie, złożone z owych ,,wolnych przedsiębiorstw'', nie byłoby tym czym jest — dynamicznym typem gospodarki. Wiele jest kluczy do zamku amerykańskiego dobrobytu, ale niewątpliwie jeden z nich prowadzi do Departamentu Rolnictwa oraz do uniwersytetów stanowych i College'ów rolnych.

III. WZROST INTELIGENCJI ZAWODOWEJ

Spadkowi odsetka ludności zatrudnionej w rolnictwie towarzyszy niezwykły wzrost liczby młodzieży akademickiej i w ogóle liczby wszystkich kształcących się. Nie chcę przeciążać czytelnika liczbami, ale przecież porównanie liczby studiujących w szkołach akademickich od roku 1870 oraz cyfr szacunkowych za rok 1971 daje obraz tej rewolucji przez którą Stany dzisiaj przechodzą. Poza tym dane statystyczne są w naukach społecznych jednym ze sposobów sprawdzania hipotezy.

W latach 1869-70 powstał Federalny Urząd Edukacyjny Stanów Zjednoczonych. Od tego też czasu datują się dokładne dane statystyczne w dziedzinie szkolnictwa w skali federalnej (nie stanowej). Otóż, w roku 1954 ludność Stanów Zjednoczonych wzrosła mniej więcej 4 i pół raza w stosunku do roku 1870, zaś ilość studentów w zakładach wyższych (akademickich) wzrosła w tym samym czasie (w stosunku do 1869-70 roku) około 48 razy (1).

Przyjrzyjmy się bliżej tym procesom. Bardziej szczegółowe dane za 75 lat ukazują nieprzerwany *trend* (kierunek) wzrostu uczących się w zakładach akademickich.

W sierpniu 1957 Komitet Edukacyjny (*Committee on Education Beyond the High School*) — wyznaczony przez prezydenta Eisenhowera — wystąpił z niezwykłym raportem, stwierdzającym, że system edukacyjny Stanów Zjednoczonych znajduje się w fazie rewolucyjnej. Po szesnastu miesiącach studiów, komitet zażądał wielkiej rozbudowy systemu szkolnego Ameryki, zapowiadając, że liczba studentów w szkołach akademickich osiągnie w niedługim czasie 6 milionów, to jest, że liczba studentów w stosunku do 1957 podwoi się (w 1957 liczba ta wynosiła około 3 milionów). Wedle tegoż raportu — jak już

(1) Biennial Survey of Education in the United States, 1952-54. Statistic of Higher Education : Faculty, Student and Degrees 1953-54. Office of Education, P-8.

TABLICA III

Rok	*Liczba studentów w Szkołach Wyższych (Akademickich) w Stanach Zjedn.*
1870	52.286
1880	115.817
1890	156.576
1900	237.592
1910	355.213
1920	597.880
1930	1.100.737
1940	1.494.202
1950	2.659.021
1955	2.755.000
Liczby szacunkowe	
1960-61	3.523.800
1970-71	6.804.916

Źródło : Education Policies Commission, Washington oraz *New York Times* z 28 kwietnia 1957 r.

poprzednio wspomniałem — jedna czwarta ludności amerykańskiej uczy się we wszelkiego rodzaju szkołach — a więc 40 milionów ludzi w Stanach uczęszcza do szkół.

Uniwersytety amerykańskie różnią się od wyższych uczelni europejskich — i sądzę że należy dać tutaj garść wyjaśnień. Przede wszystkim według filozofii szkoły amerykańskiej, nauczanie i uczenie się jest procesem ciągłym i nie kończy się z określoną granicą wieku. W mej własnej, 15-letniej praktyce, miałem studentów w rozmaitym wieku. Najstarszą była studentka na uniwersytecie w Wyoming — wdowa po lekarzu, z zawodu sądowniczka miała wówczas lat 86, studiowała politykę zagraniczną. Liczba studentów w pewnym typie szkół akademickich jest bardzo wielka. I tak na przykład w Nowym Jorku — New York University — szkoła prywatna — ma około 60 tysięcy studentów, cztery uczelnie Miasta Nowego Jorku (*City Colleges* City, Brooklyn, Hunter, Queens) — mają ich około 60 tysięcy, Columbia University ponad 35 tysięcy dochodzą do tego szkoły o mniejszej liczbie, a więc Fordham, Long Island University, szereg szkół lekarskich, architektury (np. Pratt) i inne. Ogółem Nowy Jork ma zapewne ponad 200 tysięcy studentów — powtarzam *tylko* miasto Nowy Jork

— nie stan — nie licząc nawet rejonu podmiejskiego, który ma także swoje szkoły akademickie (2).

Dla porównania garść cyfr: W roku 1951 Polska miała 115.578 studentów w szkołach akademickich; w 1952 Sowiety — około półtora miliona; w tymże roku Anglia — 68.500; Francja w 1951 r. — 154 tysięce; Włochy w 1951 około 152 tysięcy; Portugalia — w 1951 roku około 16 tysięcy (3), a więc w sumie co najmniej o 1/3 mniej niż jeden z czterech City College tj. Brooklyn New Yorku.

Uniwersytet czy College jest instytucją dynamiczną. Rozkład zajęć nie ogranicza się do godzin rannych. Tysiące studentów pracuje w dzień a studiuje wieczorami. Wykłady odbywają się wieczorami, a nawet nocą. W Nowym Jorku kursy tzw. *graduate* — a więc wyższe, a także i zwyczajne odbywają się aż do 10 w nocy. W College'ach miejskich o pół do jedenastej świecą się jeszcze lampy w salach wykładowych, a College zamyka się dopiero po 11 w nocy. Biblioteki otwarte są bez przerwy obiadowej, cały dzień aż do 10-ej wieczorem. W roku 1957 po raz pierwszy dopuszczono do uniwersytetów francuskich studentów, którzy nie skończyli szkół średnich, a jedynie złożyli ze stopniem dodatnim egzamin wstępny. Zmiana ta uchodziła we Francji za rewolucję. Dyskutowano ją szeroko w prasie. W Stanach, student który nie miał możliwości ukończenia szkoły średniej, nie jest ani nowiną ani sensacją. Specjalne wydziały — tzw. Studia Generalne (*General Studies*) dopuszczają szerokie rzesze studentów bez specjalnych formalności. Oczywiście — wydziały te nie posiadają najlepszych studentów. Ale przecież, wyszło z nich wielu uzdolnionych i wykształconych ludzi, którzy później zajęli odpowiedzialne stanowiska. Łatwość studiów i przystępność szkół jest częstym przedmiotem krytyki profesorów i inteligentów europejskich. Krytykuje się szkoły akademickie Ameryki, że nie dają dostatecznego przygotowania filozoficznego, czy humanistycznego. Nie chcę tu omawiać tej kwestii. Jednak zawsze uderzało mnie to, że inteligenci europejscy, o przekonaniach radykalnych, socjalistycznych, czy nawet skrajnych — często krytykują szkołę amerykańską właśnie dlatego, że jest przystępna, że studiować tam może także człowiek pracy. Jeden ze znanych działaczy

(2) Należy odróżnić studentów zarejestrowanych w tzw. *day session*, studentów uczęszczających na kursy wieczorne oraz studiujących w „School of General Studies" — i w szeregu kursów dodatkowych (Adult Education, etc). Studenci kursów wieczorowych dochodzą również do stopni akademickich — trwa to jednak zazwyczaj dłużej. Tak więc na przykład w roku 1957 zarejestrowało się w Nowym Jorku (New York miasto — nie stan) ponad 110 tysięcy studentów w szkołach akademickich, nie licząc studentów, nazywanych ogólnie studentami wieczorowymi — a więc w kategoriach, które wymieniłem powyżej. Wszystkich oszacować można na ponad 200 tysięcy.

(3) *World Survey of Education*, Unesco, Paris 1955.

robotniczych, który miał ten przywilej, że mógł ukończyć Uniwersytet Krakowski, przekonywał mnie, że szkoła, w której ludzie studiują po pracy nie może być dobra. Zapominamy, że tzw. *day session* — czyli szkoła dzienna — ma także ogromną ilość studentów — ale że przede wszystkim szerokie, udostępnienie szkoły wyższej łamie bariery klasowe, stwarza możliwości kształcenia się dla klasy robotniczej. Oczywiście, że demokratyzacja szkoły amerykańskiej pociąga za sobą także pewne ujemne skutki i stwarza dziesiątki problemów. Studenci wieczorowi często są wymęczeni i nie mają dostatecznego czasu na naukę i to właśnie miał na myśli, mój rozmówca, gdy krytykował ten system. Zwolennicy szkoły demokratycznej starają się na to odpowiedzieć, że przecież możliwość studiów dla tak szerokich rzesz studentów stwarza ogromne możliwości rozwoju nauki.

I jeszcze jedno. Akademicka szkoła amerykańska jest — jak wspomniałem — instytucją elastyczną i dynamiczną. Tradycje akademickie są mocne, ale nie hamują zainteresowań. Szkoła związana jest z życiem i z jego problemami. Tak na przykład, wzrost przestępczości wśród młodzieży jest nie tylko bodźcem do szerokich badań naukowych, ale także bodźcem do tego, by rzesze przyszłych nauczycieli, wychowawców czy prawników przygotować do tego problemu. Mnożą się kursy dotyczące przestępczości młodzieży (*juvenile delinquency*), seminaria z dziedziny kryminologii, na które uczęszczają nie dziesiątki, ale setki i tysiące studentów. Nie wystarczy jeden profesor kryminologii.

Obok niego znajdują zajęcie dziesiątki młodszych, tzw. instruktorów, którzy prowadzą seminaria, czy wstępne kursy. Odkrycia atomowe odbiły się także natychmiast w szkolnictwie: odzwierciadliło się to w dziesiątkach kursów z dziedziny fizyki atomowej. Zainteresowanie sprawą pokoju światowego znajduje wyraz na kursach z dziedziny polityki międzynarodowej (*international relations*). itp.

Oczywiście, uniwersytety europejskie kształcą znakomitych uczonych. Z tych szkół wychodzą świetni specjaliści w dziedzinie biologii, chemii czy fizyki, rolnictwa czy weterynarii, farmacji czy medycyny. Ale chodzi tu o liczby. Ogrom Stanów Zjednoczonych i amerykański standard życiowy wymagają tysięcy specjalistów w przeciwieństwie do Europy, której wystarczają dziesiątki. Podczas gdy liczba ludzi zatrudnionych bezpośrednio w rolnictwie amerykańskim spada, wzrasta liczba fachowców naukowych oraz zastosowanie odkryć naukowych. Bo spadek pierwszej grupy uwarunkowany jest wzrostem drugiej.

Podobne zjawisko zaobserwować można i w przemyśle. Przemysł zatrudnia tysiące naukowców — nie tylko inżynierów i techników — ale właśnie badaczy. Jedno z wielkich towarzystw przemysłowych amerykańskich — *Westinghouse Electric* — podaje w swym sprawozdaniu za rok 1956 (*Westinghou-*

se Electric Corporation, Report 1956) — że w 200 laboratoriach zatrudnia 6 tysięcy naukowców, inżynierów i techników. *Westinghouse Research Laboratories* w Pittsburgu zatrudnia sztab złożony z 800 ludzi w tzw. *basic research* tj. w badaniach podstawowych, które w dużej mierze są czysto teoretyczne i nie mają bezpośredniego związku z problemami produkcji. W tego rodzaju badaniach badacz ma wielką swobodę w wyborze tematu i zainteresowania.

Zwiększenie wydajności pracy w przemyśle i rolnictwie amerykańskim jest bezpośrednio związane z rozwojem metod naukowych. Mechanizacja, automatyzacja, zmniejszenie liczby rolników, stabilizacja liczby robotników, czy też przesunięcie liczby zatrudnionych do tzw. usług (o tym poniżej) możliwe jest tylko dzięki zwiększeniu wydajności pracy poprzez zastosowanie nowych metod produkcyjnych. Ale zmiany te, podobnie jak i zastosowanie metod naukowych, wymagają wielkiego sztabu naukowców, ludzi z fachowym, akademickim wykształceniem.

Wśród narodnowolców rosyjskich ubiegłego stulecia, w latach siedemdziesiątych, powszechne było jakieś poczucie winy społecznej. Patrząc na nędzę i poniżenie mas rosyjskich, uniwersytet, wykształcenie, wydawały im się jakimś przywilejem, przywilejem niezasłużonym i może nawet nieproduktywnym. Bodajże Michajlowskij „legalny" filozof narodników, nazwał inteligencję rosyjską kwiatem na zawszonym, chłopskim kożuchu. Jakżeż inna jest pozycja moralna inteligencji zawodowej naszego wieku. Nie ma dziś wątpliwości, że inteligencja zawodowa jest istotnym elementem współczesnej produkcji i postępu gospodarczego. W Stanach Zjednoczonych, nikt by nie oskarżał obecnie inteligencji zawodowej o brak „produktywności".

Rozwój automatyzacji i wprowadzenie nowych typów energii wpłynie w dalszym ciągu na zmniejszanie się liczby niewykwalifikowanych robotników, odsetek robotników — w stosunku do całej siły roboczej — wykazuje tendencje stabilizacji, a nawet powolnego zmniejszania. Natomiast wzrastać będzie liczba inteligencji zawodowej. Oto przykład. Fabryka Dupont w New Jersey, to sześciopiętrowy gmach, w którym produkcja znajduje się w rękach jednego człowieka, kontrolującego tablicę działań (*panel*). Albo elektrownia atomowa. Ilu tam trzeba robotników? Kilkunastu? a może kilkudziesięciu?

Zwiększenie wydajności i automatyzacja przemysłu powodują także skrócenie czasu pracy i zwyżkę płac. Co z kolei wpływa na rozwój tzw. usług, a więc potrzeba jest więcej kin, teatrów, ale także i więcej szkół, parków, boisk sportowych, letnisk, hoteli, czytelni, bibliotek. Powstaje nowy, ogromny przemysł. Potrzeba znowu więcej nauczycieli, artystów, kierowników świetlic czy parków, pracowników hotelowych, letniskowych, bibliotekarzy, oświatowców i znowu lekarzy, naukow-

ców i badaczy. Zwiększa się zapotrzebowanie na inteligencję zawodową ale także i na robotników o specjalnych kwalifikacjach.

Wzrost zatrudnienia w dziedzinie usług, jest też symptomem postępu gospodarczego.

W roku 1956 ekonomika Stanów Zjednoczonych przekroczyła pewną ważną granicę. Po raz pierwszy w historii Ameryki, liczba ludzi zatrudnionych w produkcji towarów stała się mniejszą niż liczba ludzi zatrudnionych w usługach. I w tym fakcie odzwierciadla się także owe rewolucyjne zjawisko: wzrost inteligencji zawodowej — szczególnie studentów w szkołach akademickich — oraz spadek liczby zatrudnionych bezpośrednio w rolnictwie.

IV. ZMIANY W STRUKTURZE KLASY ROBOTNICZEJ

Rewolucyjne zmiany technologiczne i ekonomiczne uderzyły oczywiście w samą strukturę klasy robotniczej. Zmiany w strukturze klasy robotniczej określa się zazwyczaj ogólnym wyrazem: *displacement* — najbliższe temu pojęciu jest chyba wyraz „przesunięcie". Przesunięcie w zatrudnieniu to nie jest zjawisko proste, które by można określić jakąś jedną, zasadniczą zmianą, przesunięć tych jest wiele, różnej miary i różnego rodzaju.

Rozróżniamy przesunięcia globalne i branżowe. Globalne obejmują całość gospodarki, zaś branżowe są to takie, które występują w poszczególnych branżach, zakładach czy działach. Oczywiście pierwsze powiązane są z drugimi.

Przesunięcia globalne to przede wszystkim przesunięcie z pracy w rolnictwie do pracy w przemyśle. O tym zjawisku mówiliśmy już obszernie — zmiana ta zaznaczyła się gwałtownym zmniejszeniem się zatrudnienia w produkcji rolnej.

Drugim typem przesunięć tego rodzaju są przesunięcia z produkcji towarów do produkcji usług. Jak już wspomniałem, przesunięcie to jest równie rewolucyjne. W ekonomii i statystyce amerykańskiej do kategorii produkcji towarów i dóbr (*goods*) zalicza się następujące wielkie działy: fabryczna produkcja towarów (*manufacturing*), rolnictwo, budownictwo domów i górnictwo. Do usług zalicza się zajęcia związane z kupnem i sprzedażą, finansami, bankowością, kredytem, następnie transport, komunikację, nauczanie, administrację, tzw. *servicing* (a więc tu należą garaże, usługi mechaników, monterów itd., którzy naprawiają narzędzia użytku domowego, samochody itp.), wreszcie zawody wolne, a więc prawo, medycyna, służba i inne. „Usługi" obejmują liczne i różnorodne zajęcia.

W Stanach Zjednoczonych pracuje obecnie przeszło 60 milionów ludzi, z tego tylko 17 milionów, a więc nieco ponad jedna czwarta, zatrudnionych jest w fabrykach — a 3 miliony,

a więc mniej niż 5 % w budownictwie. Zatrudnienie wzrosło w zawodach handlowych, w bankach i instytucjach finansowych i kredytowych, w zajęciach takich jak pralnie, hotele, warsztaty naprawcze samochodów i inne.

Przemiana ta jest oznaką wzrostu standardu życia. W historii obserwować można niejednokrotnie takie przesunięcia od zajęć czysto produkcyjnych do usług, jako tendencje postępu gospodarczego. Zwrócił już na to uwagę ekonomista brytyjski Colin Clark w swej książce pt.: ,,O warunkach postępu gospodarczego''. W społeczeństwach prymitywnych cała rodzina pracuje lub też część trudni się podbojem i wojną. Ale w zasadzie w procesie produkcyjnym wszyscy są zatrudnieni. W okresie średniowiecznym, poza klasami uprzywilejowanymi, które nie pracowały, reszta ludności pracuje przede wszystkim w produkcji rolnej i towarowej. W okresie wczesnego kapitalizmu, znowu poza klasami uprzywilejowanymi — rządem i wojskiem — produkcja jest przede wszystkim towarowo-rolna.

W tym jednak okresie zaobserwować można przesunięcie o znaczeniu zasadniczym — znaczna część robotników zajęta jest teraz w produkcji maszyn i narzędzi, a więc dóbr kapitałowych, dóbr ,,produkcyjnych'', podczas gdy w okresie poprzednim, dominującym typem produkcji była produkcja towarów konsumpcyjnych dla bezpośredniego spożycia. W średniowieczu nie było wyspecjalizowanej produkcji narzędzi i maszyn przeznaczonych dla dalszej produkcji dóbr spożywczych, a więc odzieży, żywności itp.

Dopiero wraz z wysoką mechanizacją przemysłu i rolnictwa, z szerokim zastosowaniem nauki w tych dziedzinach, następuje przesunięcie z zajęć rolniczych do przemysłu i z zajęć przemysłowych do usług. Te przesunięcia są właśnie barometrem dostatku i podnoszenia się standardu życiowego. Nazwijmy je przesunięciami globalnymi.

Ale te dwa zasadnicze przesunięcia nie dają jeszcze pełnego obrazu przemian. Równie wielkie zmiany obserwować można w zmniejszaniu się zatrudnienia w poszczególnych gałęziach przemysłu, a zwiększaniu w innych — nazwijmy te zmiany przesunięciami międzybranżowymi i wreszcie przesunięcia, zmiany, w łonie danej gałęzi przemysłowej — nazwiemy te ostatnie — przesunięciami wewnętrznobranżowymi.

Przechodząc do zmian międzybranżowych weźmy jako przykład takiej zmiany górnictwo. Podczas gdy od roku 1919 do roku 1955 zatrudnienie w zawodach nierolniczych wzrosło w Stanach niemal o 85 procent, w zawodach górniczych spadło o jedną trzecią. W górnictwie węglowym, w ciągu szesnastu lat, od 1939 do 1955 roku, zatrudnienie spadło mniej więcej o połowę. Dzisiaj Stany zatrudniają około 250 tysięcy górników węglowych. Kopalnie węglowe, szczególnie w Pensylwanii uległy daleko idącej mechanizacji. Ponadto — zamiast węgla

— używa się w wielu wypadkach różnego rodzaju energii. Nie ma już dzisiaj kolei poruszanej parą i węglem. Parowóz należy do historii, zaś do ogrzewania używa się ropy naftowej. W tym samym czasokresie zatrudnienie w wydobyciu nafty i gazów ziemnych wzrosło prawie o 60% (4).

Zjawisko spadania zatrudnienia w niektórych działach przemysłowych i w niektórych zawodach górniczych z równoczesnym pojawianiem się nowych przemysłów i nowych typów zatrudnienia, przedtem nieznanych, wpływa również na przesunięcia w łonie samych zakładów przemysłowych.

Przesunięcia wewnętrzne, które nazwaliśmy wewnętrznobranżowymi, nie dadzą się ściśle oddzielić od grupy trzeciej, to jest od przesunięć z branży do branży, przesunięć poszczególnych działów przemysłowych czy górniczych. Weźmy tym razem jako przykład automatyzację.

W Stanach Zjednoczonych przeprowadzono szereg studiów szczegółowych nad wpływem automatyzacji na zatrudnienie. Studia te, ogłoszone przez Departament Pracy, rzucają ciekawe światło na to zagadnienie. Wybraliśmy trzy studia: wprowadzenie automatyzacji w przemyśle piekarskim „w kompanii Z", w jednej z wielkich fabryk aparatów elektronicznych oraz wprowadzenie wielkiej maszyny rachunkowej UNIVAG w jednym z największych towarzystw ubezpieczeń. Wszystkie te studia wykazują, że wprowadzenie automatyzacji połączone było z „dyzlokacją" robotników. Niekiedy zmiany te prowadziły do redukcji, ale redukcji mniejszych niż się spodziewano, z reguły zaś prowadziły do przesunięć zawodowych, do nowych zajęć, do awansu jednych, degradacji innych (w kategorii zajęć). Z reguły — dawało to premie tym, którzy skłonni byli zmienić poprzedni zawód, nauczyć się nowej techniki i obsługi nowych maszyn.

Tak więc wprowadzenie w r. 1956 maszyny rachunkowej UNIVAG spowodowało zasadnicze zmiany. Tam gdzie poprzednio zatrudniano — w pracach rachunkowo-biurowych — 198 ludzi teraz wystarczyło tylko 85. Obsługa maszyny wymagała jednak nowych, innych kwalifikacji. Kierownictwo Towarzystwa ubezpieczeń starało się przenieść dawnych pracowników do innych działów. Nastąpiły zatem przesunięcia wewnętrzne.

Automatyzacja piekarni „Kompanii Z" spowodowała także przesunięcia wewnętrzne w rozdziale pracy i w typie zajęć. Z początku spodziewano się, że automatyzacja pociągnie za sobą redukcje aż do 25 procent. Ale interwencja Związku Zawodowego, inne rozłożenie zajęć, wprowadzenie 5-dniowego tygodnia pracy zmniejszyło redukcję do około 5 procent. Zmiany to wprowadzono w roku 1953. W pierwszym roku nastąpiły liczne przesunięcia wewnętrzne — trzeba było poza tym jeszcze

(4) Seymour L. Wolfbein, *Changing Pattern of Industrial Employment*, „Monthly Labor Review", marzec 1956.

z całą produkcją eksperymentować. W latach 1954 i 1955 liczba robotników wzrosła najpierw o 4% a potem o 7%. Obroty zwiększyły się i wymagały większej liczby robotników.

W fabryce aparatów elektronicznych — wedle informacji przedsiębiorstwa — nie było redukcji związanych ze zmianą metody zatrudnienia, ale zmniejszenie załogi roboczej nastąpiło z powodu czasowego spadku zamówień. Rezultatem tych zmian były przesunięcia zawodowe, wzrosła liczba tzw. *machine tendig jobs*, to jest tych, którzy kontrolują i kierują maszynami zautomatyzowanymi. Powstał nowy zawód : *automation machine operator* — technik automatów (5).

Zapoznajmy się jeszcze z dwoma innymi przykładami. Fabryka Wallace i Tiernan ogłosiła w grudniu 1956 r. zapoczątkowanie produkcji zautomatyzowanych piekarń, nazwanych *Do-Makers*. Nowe maszyny produkują w 50 sekund pieczywo, które w przeciętnie zmechanizowanych piekarniach amerykańskich produkuje się w ciągu 6-ciu godzin. Zautomatyzowana piekarnia produkuje mianowicie 70 bochenków chleba (jednofuntowego) w ciągu jednej minuty. Do obsługi maszyny trzeba tylko 2 ludzi.

Rewolucyjne zmiany zaobserwować można także w fabrykach General Electric. Wedle sprawozdania z roku 1956 przedsiębiorstwo to w roku 1939 zatrudniało 71 tysięcy pracowników, liczba ta wzrosła w roku 1956 trzykrotnie — a więc do 230 tysięcy. Około 160 tysięcy pracowników wykonuje pracę która nie istniała jeszcze w roku 1939, a 70 tysięcy pracuje nad nowym typem produktów, także całkowicie nieznanych w roku 1939. Podczas gdy przeciętne pobory w General Electric, w roku 1939, wynosiły ponad 2.000 dolarów rocznie, w 1956 pracownik General Motors zarabiał przeciętnie ponad 5.600 dolarów rocznie (6).

Nie ulega jednak wątpliwości, że automatyzacja, której nie towarzyszy wzrost spożycia oraz podniesienie ogólnego poziomu życia powodować musi bezrobocie. Uniknąć można go tylko wtedy jeżeli automatyzację połączy się z równoczesnym skróceniem czasu pracy, podwyższeniem produkcji i spożycia. Gospodarka amerykańska posuwa się właśnie w tym kierunku. Związki zawodowe, a w szczególności światli ich przywódcy, jak np. Reuther — przywódca robotników samochodowych i CIO AFL — popierają automatyzację, domagają się jednak skrócenia czasu pracy, powiększenia czasu wakacji, podwyżki

(5) *Studies of Automatic Technology, A Case Study of a Large Mechanized Bakery*, U.S. Dept. of Labor, 1956.

A Study of a Company Manufacturing Electronic Equipment, U.S. Dept. of Labor, October 1955.

The Introduction of an Electronic Computer in a Large Insurance Company, U.S. Dept. of Labor, October 1955.

(6) R. J. Cordimer, *Testimony on Automation*, Joint Congressional Committee on the Economic Report, Washington October 1955, General Electric.

płac i innych zmian. Poruszam ten problem jedynie na marginesie. Faktem jest — że druga rewolucja przemysłowa jak dotąd wielkiego bezrobocia nie spowodowała, przyszła bowiem w okresie znakomitej koniunktury, przeciwnie przyczyniła się do podwyższenia dobrobytu mas. Niemniej jednak spowodowawszy znaczne przesunięcia zawodowe, uderzyła w niektórych, otworzyła nowe zagadnienia, jak konieczność przeszkolenia części załogi robotniczej, przystosowania do nowych warunków produkcji. Ponadto wywołała w masach robotniczych niepokój i niepewność, znacznie większą jednak w Anglii, gdzie w niektórych działach robotnicy wystąpili przeciw automatyzacji. Niepokój ten pojawił się także i w niektórych przemysłach Ameryki.

Automatyzacja i mechanizacja przemysłu redukuje bezustannie robotnika niewykwalifikowanego, rośnie natomiast zapotrzebowanie na robotnika o kwalifikacjach nowych. Powstaje zagadnienie ciągłego kształcenia, ciągłego treningu załogi robotniczej. W ciągu jednego życia robotnik kwalifikowany czy półkwalifikowany zmienia technikę pracy czy nawet swój zawód i typ specjalności.

Wedle obliczeń Departamentu Pracy odsetek niewykwalifikowanych robotników, który w 1910 r. wynosił 11,6 wszystkich grup zawodowych, spadnie w 1975 r. do 5 %. Wykwalifikowani i półkwalifikowani, którzy w 1910 r. wynosili 25,9 %, stanowić będą w roku 1975 ponad 35 % wszystkich zajęć. Liczba więc niekwalifikowanych spadnie w ciągu tego półwiecza o połowę (7).

V. TENDENCJE ROZWOJOWE AMERYKAŃSKIEJ STRUKTURY KLASOWEJ

Dalsza automatyzacja przemysłu amerykańskiego spowodować może zjawiska podobne do tych, które obserwować możemy dzisiaj w rolnictwie.

Raz jeszcze powrócimy do danych statystycznych. Tablica IV obejmuje szacunkowe liczby zmian struktury społecznej Ameryki. Pozycja pierwsza. ,,Pracownicy Umysłowi'' (tzw. ,,Białe Kołnierze'') obejmuje następujące grupy zawodowe: — lekarzy, architektów, prawników, nauczycieli czy profesorów, badaczy naukowych, kierowników przedsiębiorstw i właścicieli, wreszcie urzędników różnego rodzaju, sprzedawców itp. Pozycja druga obejmuje pracowników fizycznych (tzw. ,,Niebieskie Kołnierze''), a więc wykwalifikowanych, półwykwalifikowanych

(7) Liczby te opierają się na zestawieniach Urzędu Statystycznego (*US Bureau of Census*) i Departamentu Pracy — załączonych do wykładu R. C. Siciliano, cytowany także poniżej, tabl. IV.

(*operatives*) i niewykwalifikowanych (*Craftsmen laborers*). Pozycja trzecia obejmuje usługi w węższym znaczeniu tego wyrazu (bez pracowników umysłowych), czwarta zaś — rolników. Podział na produkcje materialne i usługi nie jest tu uwidoczniony. Pracowników usług, poza pozycją trzecią znajdziemy również w dwóch pierwszych grupach: pracowników umysłowych i pracowników fizycznych. Innymi słowy — w grupach tych znajdziemy zarówno załogi fabryczne jak i ludzi zatrudnionych w pralniach, warsztatach naprawczych, szkołach, kinach, teatrach itd.

TABLICA IV

Zatrudnienie według głównych grup zawodowych Stanach Zjednoczonych w latach 1910, 1955, 1975

	1910		1955		1975 *liczby szacunkowe*	
	w milion.	%	*w miln.*	%	*w milion.*	%
Ogółem zatrudnieni	35.5	100	61.7	100	83.2	100
Prac. Umysłowi „Białe Kołnierze" (*White Collars*)	7.9	22.3	23.8	38.7	36.6	44
Prac. Fizyczni Niebieskie Kołnierze (*Blue Collars*)	13.3	37.4	24.7	40.2	33.2	40
Służba (*Service*)	3.4	9.6	7.2	11.3	9.2	11
Prac. i robotnicy farmerscy (rolni)	10.9	30.7	6.0	9.8	4.2	5.0

Źródło : 1910 i 1955 : U.S. Census Bureau ; 1975 : U.S. Dept. of Labor, Bureau of Labor Statistictics estomates. Creative Manpover Shortage adress by Rocco Siciliano, Assistant Secretary of Labor DC. BIS. 57-658 — dokument powielany.

Jesteśmy dopiero u progu nowej epoki, epoki nowych energii i automatyzacji przemysłu. Dostrzegamy też zaledwie początek tych przemian.

Karol Marks i Fryderyk Engels zmian tych dostrzec nie mogli, gdyż wówczas było na to za wcześnie. Widzieli jednak pewne tendencje, np. wzrost inteligencji zawodowej. Obydwaj widzieli co prawda przyszły świat, jako świat robotników, świat w którym liczba chłopów zmniejszy się, ale w którym do-

minować będzie w produkcji dawny typ robotnika. Tymczasem przyszłość stwarza zupełnie nowe możliwości. Być może zaniknie zupełnie dzisiejszy typ robotnika fabrycznego, a jego miejsce zajmie nowa warstwa, nowa klasa techników, która łączyć będzie w sobie kwalifikacje pracowników umysłowych i fizycznych. Może zaniknie w pewnych społeczeństwach chłop, a nawet farmer, a jego miejsce zajmie technik rolny, który zespoli kwalifikacje inżynierskie i naukowe z kwalifikacjami rolnika. Zapewne, zawsze będzie także i robotnik niekwalifikowany, ale w liczbie niewielkiej, nieznacznej.

Pytanie czy zjawiska te wszędzie muszą się koniecznie powtórzyć w tej samej formie?

Zapewne nie. Ale obecny rozwój gospodarczy Stanów ukazuje możliwości uwolnienia człowieka od nużącej pracy fizycznej, ukazuje możliwości skrócenia czasu pracy i stworzenia zupełnie nowych warunków kultury ludowej i społecznej.

Wchodzimy w okres społeczeństwa już nie wyłącznie przemysłowego, ale naukowo-przemysłowego. Technika i nauka będą symbolami nowych twórczych klas.

Feliks GROSS

"Lanczeneta" przy Alei Północnej

Aleja Północna przecina miasto na część południową chylącą się ku morzu plątaniną coraz to drobniejszych, nędzniejszych uliczek i na część północną obrośniętą zielenią, pnącą się ku górze, bujającą na wszystkie strony świeżymi pędami nowoczesnych osiedli. Z miesiąca na miesiąc, z roku na rok miasto stopniowo przesuwa się na północ. Fala za falą odpływa i jak na wielkim sicie zostają tylko ci najsłabsi, najbardziej oporni, najubożsi. Wędrówki ludów. Odchodzą pozostawiając całe dzielnice; kościoły, które przez lata służyły parafianom, pustoszeją. Na północ! Z wygodnych mieszkań, ustabilizowanych domów uciekają, aby wtłoczyć się w nowoczesne klatki osiedli na przedmieściach. Poza tymi, którzy odchodzą i na ich miejscu rozrasta się, rozpływa masa kolorowych. Wystarczy, aby wyciągnęli ciemną, zaborczą rękę w kierunku jednego tylko domu nowej ulicy, aby udało im się odkupić jeden tylko jedyny dom, a już cała ulica wyludnia się w popłochu. Murzyni! Murzyni!

W okresie najgorszym, gdy latem południowy wiatr nawiewa zgniłe powietrze z zatoki, mieszkańcy południowej części miasta przesiadują do późna w noc na schodkach swoich domów, podczas gdy w dzielnicy północnej, która oddycha przestrzenią szerokich alej, rodziny odpoczywają w ogródkach, albo na wysoko wzniesionych ponad ulicę gankach. Nawet zimą śnieg jest bielszy w tej stronie miasta, a jego schludność orzeźwia i nie chłodzi tak, jak cuchnące błoto dzielnicy południowej.

Aleja Północna jest jeszcze neutralna, chociaż już boczne uliczki zaczynają podpływać najpierw białymi wynajmującymi umeblowane pokoje na miesiąc albo tydzień, przybłędami, przybyszami zewsząd, przelotnymi gośćmi miasta, niebieskimi ptaszkami, którzy dziś tu, jutro tam, dziewczętami z prowincji, które chcą w wielkim mieście pokosztować smaku życia, a

potem za nimi ciągną kolorowi. Jeszcze nie doszli do Alei Północnej, ale już przyczajają się coraz bliżej... bliżej. Wystarczy przejść kilka ulic. Kolorowy, półnagi drobiazg, nieświadomy jeszcze różnic rasowych, bawi się po rynsztokach. Już przerabiają rogowe sklepiki na kościoły i grube ciemne kobiety-kapłanki egzotycznych sekt, wysiadują na plecionych krzesełkach przyglądając się kręcącym się w koło parafianom.

Skąd o tym wszystkim mogli wiedzieć Żuławscy? Czy im kto powiedział? Czy ich kto nauczył? To są sprawy, o których się z nikim nie mówi, milczące porozumienie, które trzeba odczuć, rzeczy, które można zauważyć wrastając w miasto. Wyrzuciło ich tu po prostu. Żuławski dostał najpierw pracę jako nocny kasjer. Pieniądze oszczędzone w Anglii topniały i trzeba było natychmiast je ulokować. Myśleli o zabezpieczeniu kapitału i o skromnym chociażby dochodzie. Nie znali się na niczym, miasto wydawało się obce, świat wrogi, ludzie nieprzystępni. Żuławska umiała gotować, kupili więc restaurację przy Alei Północnej i już... ugrzęźli.

Restauracja? No nie, to naprawdę nie jest żadna restauracja w zrozumieniu Europejczyka. Mieści się na niskim parterze narożnego domu przy Alei Północnej i Prezydenta Jacksona. Parter jest tak niski, że trzeba schodzić do niego po trzech stopniach. Uczniowie ze Szkoły Wyższej, po drugiej stronie ulicy, nie uznają tych stopni, ale skaczą wprost w głąb restauracji i wtedy Żuławski chwyta się za głowę i krzyczy, jakby wydawał rozkazy kompanii wojska:

— *Slowly! Be careful!*

A czasem wyrzuca uczniów zniecierpliwiony, czerwony z podniecenia:

— *Get out! Get out!*

Wtedy Żuławska nadbiega z kuchni i uspakaja go:

— Józiu, to przecież są klienci.

Na Aleję Północną wychodzi tylko jedna nieduża wystawa, na której jest reklama lodów z uśmiechniętą krową kiwającą głową przymilnie, jakby chciała zachęcić gości. Dwa długie okna wystawowe są od ulicy Jacksona. Dół wystawy sięga niemal chodnika, trzeba się nieco pochylić, aby przeczytać menu. Żuławski odbija je codziennie na maszynie, po gwałtownych dyskusjach z żoną. Menu przygotowuje systematycznie, ale też wyczynia przy tym przeróżne ceregiele, jakby menu to było Bóg wie co, a błąd w nim — koniec świata. Przez długość szyby biegnie czerwony neon napisu: „Coffee Dan's", nazwa nie wiadomo skąd przyplątana, odziedziczona razem z restauracją, niezmienna przy nieustającej zmianie właścicieli. Ale na samej górze, równo z wielkimi literami COCA COLA czerwieni się też inny napis *Lunchenette* i to jest właściwa nazwa i legitymacja restauracji Żuławskich. W rozmowach między sobą, albo w rozmowach z Bogą i Andrzejem używają nazwy uproszczonej, łatwiejszej, mówią:

Lanczeneta. Idziesz do lanczenety? Byłaś w lanczenecie?

Na szybie drugiej wystawy umieszczono drobnymi, złotymi literami nazwiska właścicieli: Józef Żuławski, a poniżej: Helena Żuławski. Tak trzeba, takie jest prawo. Ale banda wyrostków ze Szkoły Wyższej dojrzała, i teraz Żuławski cierpi.

— *Hi Joe, give me a coke Joe!*

— *I am not Joe for you!* — pieni się Żuławski. — MISTER... mister Joe! Rozumiesz?

— *Sure Joe,* nie denerwuj się. *MISTER Joe!*

— Słuchaj, Józiu, — łagodzi Żuławska — przecież to są klienci.

— Klienci za pięć centów!

Żuławski chwyta czerwoną muchobijkę i opędza się od natarczywości uczniaków.

— *Get out!*

Uciekają pokazując mu język.

O piątej rano odzywa się budzik w sypialni Żuławskich. Józef podrywa się. Przywykł do rannego wstawania i wczesnych pobudek. To nie jest najgorsze. Za oknami jeszcze szaro. Jeśli ma czas zerknąć przez szybę, napotyka tam natychmiast swego wroga: ogromny budynek Wyższej Szkoły dla Chłopców.

— Psiakrew — mruczy do siebie — dziś zamknę drzwi na klucz, albo nie, pójdę i porozmawiam z dyrektorem, to już przechodzi ludzką wytrzymałość.

— Helenko! — budzi żonę.

— Co? Co chcesz? — odpowiada półprzytomna.

— Jeżeli Sally nie będzie to zaraz telefonuję.

— Dlaczego nie będzie?

— Wydawało mi się, że widziałem ją wczoraj w barze.

— To wołaj Marian! Daj mi pospać!

— Dać ci pospać! To dobre!

— Człowieku, uszanuj cudzy sen!

— A mój kto uszanuje? Mówiłem, żeby nie jechać do Ameryki.

— To wracaj do Anglii, albo idź już, idź do diabła, daj mi spać!

Żuławski przechodzi cicho do łazienki, aby nie zbudzić wnuków. Robi to nie tyle z ostrożności ile z obawy, że się rozkrzyczą. Golenie przywraca mu spokój i równowagę. W mieszkaniu jest cicho. Przez uchylone drzwi widać dwie śpiące, wypięte pupy bliźniaków. Pomiędzy nimi rozłożony na grzbiecie pies. Otworzył jedno oko, machnął przyjaźnie ogonem i śpi.

— Ty leniu — mruczy Żuławski.

Drzwi od sypialni Bogi i Andrzeja zamknięte.

— Narzekają, a gdyby im przyszło wstawać o tej porze, i to w MOIM wieku! Jeśli Sally nie przyjdzie — myśli i otwie-

ra drzwi na klatkę schodową. Zamyka je ostrożnie sprawdzając kilka razy klamkę. Nigdy nic nie wiadomo. Na klatce schodowej jest mroczno. Żuławski jeszcze raz wraca i sprawdza zamek.

— Śpią tak — mruczy — że można by całe mieszkanie obrabować, albo niech by pożar! Bliźniaki próbowały wczoraj zrobić ognisko pod tapczanem i gdyby nie poczuł dymu, nie spostrzegł...

Na pierwszym piętrze przystaje na chwilę. Jest tu lokal zajmowany przez biuro. Od pewnego czasu urzędnicy skarżą się właścicielowi na hałasy w mieszkaniu Żuławskich.

— Co tam się dzieje? Co za przesuwanie mebli! — narzekają — Nie można pracować.

Józef wie dobrze, że to nie meble. Bo jakie tam oni mają meble — stare graty z licytacji.

To bliźniaki, Marek i Paweł, w dniach wolnych od przedszkola harcują z psem po korytarzu. Ale czy można ich oduczyć? Czy można im zwrócić uwagę?

— Wyrzucą ich kiedyś do cholery i już! Po co ja przyjeżdżałem do Ameryki! — denerwuje się.

Ostatnia domowa troska pozostaje za nim w mroku klatki schodowej i zaraz zjawiają się inne.

Jeżeli Sally upiła się wczoraj...

Ale Sally chuda i długa, blady soliter w fartuchu kelnerki, już czeka przed drzwiami „lanczenety".

— *Good morning colonel.*

Żuławski nie dostrzega jej podbitego oka. Oddycha z ulgą.

— *How are you, Sally?*

— *Very well, thank you, colonel.*

Z nadjeżdżającego autobusu wysiada zadzierzysta Murzynka o szerokim zadzie.

— Hi, Mr. Z. — mruczy.

— *Good morning, Lu* — odpowiada Żuławski.

Jest pewien, że Lu wyniosła wczoraj z kuchni całą paczkę mrożonych kotletów cielęcych. Mało się nażera w kuchni? To wszystko nic! Jeszcze wynosi i karmi kradzionym całą rodzinę. Ale powiedzieć? Odejdzie. Obrazi się. I co? Znowu bez kucharki!

— Ci pracownicy amerykańscy! — przeklina w duchu Żuławski otwierając zamek drzwi. Zdejmuje z szyby napis: CLOSED i zawiesza inny karton z wykaligrafowanym na nim OPEN.

Jest za kwadrans szósta. Niedługo zjawią się pierwsi klienci.

Za kwadrans siódma odzywa się budzik w sypialni Bogi i Andrzeja. Andrzej wyciąga rękę i wdusza guzik. Cisza jest jak łagodny wiatr, ale pełna niebezpieczeństw ponownego zaśnięcia.

— Urodziłem się na to, aby być bogatym — mruczy z cicha — i taki zas... los.

Wstaje na palcach, aby nie obudzić Bogi. Jej długie, poplątane we śnie warkocze tworzą ciemną plamę na poduszce. Ostrożnie, niemal unosząc się w powietrzu wsuwa się do pokoju chłopców. Małe pupy w pasiastych pyjamach tkwią nieruchomo w fałdach odrzuconego koca. Andrzej sprawdza ręką prześcieradło.

— Marek nie zlał się. Dzięki Bogu! — uśmiecha się radośnie. Podnosi z podłogi poduszkę i delikatnie wsuwa ją pod głowę syna. Pies otwiera oczy, ziewa, macha przyjaźnie ogonem. Przeciąga się, zeskakuje z tapczanu, wzdryga się i otrząsa, jakby wyszedł z kąpieli.

— Nie wstydzisz się? — szepcze Andrzej — nie wstydzisz się Kapitanie?

Pies ziewa szeroko, jego żółtawe u nasady zęby pozostają obnażone w powitalnym uśmiechu. Przytula łeb do ręki Andrzeja.

— Markowi kupię osobne łóżko — myśli Andrzej — w przyszłym miesiącu, nie, za dwa miesiące. Za dwa miesiące na pewno.

W kuchni nalewa wodę do imbryka i stawia go na gazowej kuchence. Gdy kończy śniadanie, podrywa go okrzyk Bogi:

— Telewizja! Znowu jesteście przy telewizji!

To bliźniacy zsunęli się cichaczem z łóżka i półprzytomni ze snu, czupryny potargane, siedzą obydwaj w kucki wpatrzeni w ekran aparatu telewizyjnego.

— Dalej, myć się! Marek, Paweł, śniadanie! Spóźnicie się do przedszkola. Prowadzi ich obydwóch opierających się, wierzgających sześcioletnimi, okrągłymi nóżkami, do kuchni. Rozstawia przed nimi w pośpiechu miseczki z suchymi płatkami owsianki.

— No! — opiera się Marek — *I don't want to!*

— Nie po angielsku! — karci go Boga — Powiedziałam, mówiłam tyle razy!

— Słyszeliście? — popiera ją Andrzej — w domu tylko po polsku, bo... Wyprowadzisz Kapitana? — upewnia się. — Ja już muszę uciekać... późno...

— To znaczy ja wszystko... dzieci do przedszkola... i psa i potem „lanczeneta". Idź już... idź... spóźnisz się. Wyprowadzę.

Żuławską budzi tupot, krzyk i śmiech dzieci, narastający hałas uliczny, ale wyrywa ją ze snu dopiero telefon.

— Allo? — mówi ochrypłym, zaspanym jeszcze głosem. Tak?

— Słuchaj Helenko, Sally nie może sobie dać rady, pomywaczka nie przyszła, Lu gotuje i zmywa... ubieraj się!

— Idę zaraz! — odkrzykuje — idę!

— Wyskakuje bosymi nogami na podłogę wprost na leżący przed łóżkiem wydłużony prostokąt słońca. Przystaje, spogląda przez okno. Szary, masywny gmach Wyższej Szkoły, a nad nim skrawek nieba niby wypłowiała, niebieska szmata. Ta spełzła błękitność i prostokąt słońca na podłodze to zapowiedź pogodnego dnia wiosennego.

— Już niedługo wakacje — myśli Żuławska — i och, nareszcie, nie będzie ich — wzdycha.

Boga gwałtownym szarpnięciem podsuwa do góry szybę kuchennego okna. Pomiędzy czerwonymi ścianami kamienic przeźroczysty słup pogody.

— Nie pada, to dobrze.

Trzeba szybko, szybko ubrać chłopców, uczesać i nareszcie chwyciwszy obydwóch za ręce zbiec po schodach i dalej prędko... prędko do tramwaju. Przedszkole jest w dzielnicy polskiej, na południe od Alei Północnej. Tam zdecydowała się ich posyłać, chociaż amerykańskie przedszkola są pod nosem.

Tęga zakonnica otwiera szeroko ramiona.

— Mareczek, mój najukochańszy... i Pawełek — przyciąga do siebie drugiego bliźniaka.

Marek umie zdobywać serca.

— Wie pani — rozczula się — jaki on dowcipny, a jaki zdolny ! Ksiądz kapelan to się dopiero zaśmiewał ! Niech-no pani poczeka, powiem...

— Nie pocałujecie mamusi na dowiedzenia? — woła Boga.

Najpierw wraca Paweł, już z połowy schodów i zarzuca jej ręce na szyję. Potem dopiero Marek, z impetem, szast, prast, musnął policzkiem. Pobiegli na górę, do zabawek, do innych dzieci.

Zakonnica o twarzy szerokiej, poza którą zgasła namiętność życia, a ostała się tylko radość ze zdarzeń powszednich, pociąga Bogę za rękę. Jej krok powolny, nieco kołyszący się, jej potężna talia opasana fartuchem, łagodzi, przygłusza tempo nawijającego się dnia.

— Niech pani siada, na chwileczkę. Ksiądz kapelan przy kolacji wczoraj woła : Siostra Justyna wie co ten Marek powiedział ? Ja mówię : Nie, proszę księdza kapelana, a co on znowu ? To niech siostra lepiej słucha : Gdzie są pszczoły tam jest miód, gdzie są dzieci tam jest smród. Niech-no pani czeka ! Pyta się ksiądz kapelan kto go tak nauczył ?

— Ja wiem — wzdycha Boga.

— Babcia ! — bierze się pod boki siostra Justyna. — Babcia, mówi, mnie tak nauczyła.

— A Pawełek ? — ujmuje się Boga za drugim synem.

— Dobry, dobre dziecko, deklamuje...

— Ja muszę już iść, siostro.

— Z Bogiem... Niech Pan Jezus...

Boga wypada na ulicę... biegnie do tramwaju. Zielona plama parku zatrzymuje na chwilę oczy i znów kołysanie się tramwaju podczas gdy miasto rozgrzewa się dniem i hałasem.

Kelnerka Sally ma twarz suchotnicy o zapadłych policzkach, sztuczną szczękę i talię tak cienką, że wydaję się, złamie się za chwilę. Jej mąż jest gruźlikiem, ale Sally nie dlatego pije. Rozeszła się, bo nie mógł jej utrzymać, a Sally nie chciała na niego pracować. Zresztą co to za mąż, który pół życia spędza w państwowych sanatoriach. Tylu tam co dzień umiera, że już sam czuje się pół-trupem i nawet w przerwach pomiędzy kuracjami nie potrafi żonie dogodzić. Sally pije, no bo jak można się inaczej zabawić? Atmosfera zadymionego baru niby kadzidło odurza nerwy. Śmiałe ostrze alkoholu drąży głęboko, obnaża prawdę i wtedy jest strasznie, ale na krótko. Zaraz odwaga i buńczuczność — dwa ziarna magicznej fasoli — pęcznieją w niej i rosną, rosną. Ulistniona tak wypełnia sobą cały bar. Mężczyźni też są śmielsi, przymilniejsi. Nie zwracają uwagi na chudość Sally i jej źle dopasowaną sztuczną szczękę. Najważniejsze, że ma spódnicę.

Sally i jej siostrę, Marian, przejęli Żuławscy razem z restauracją. Chociaż obydwie ukończyły szkołę wyższą (1), nigdy nie zaznały innej kariery niż kelnerska. Były kelnerkami z urodzenia i jeśli nie leżały pijane w sztok, albo kryjąc pobitą w rodzinnych rozprawkach twarz — obsługiwały gości. Śnieżny fartuch Sally, jej schludnie zaczesane włosy na główce tasiemca, jej spojrzenie łagodne i głos nabrzmiały troską o dobrze przyrumienioną grzankę, jej ruchy dostowane do umiejętnego manipulowania tacą — to skorupka zewnętrzna, sztuczny paznokieć taniej elegantki. Mieszkanie, które zajmuje razem z matką, siostrą Marian i jej mężem — to pokoje niemal puste, gdzie pod nigdy nie zaścielonymi łóżkami walają się butelki po dżynie.

Ale teraz nikt by jej o to nie posądził. Uwija się schludna, bezszelestna, duch ,,lanczenety'' pośród zapachów pieczonej wołowiny i prażonych krabów. Bezkostna, wydawałoby się, giętka pochyla się zręcznie ścierając stoliki, przygotowując wszystko przed poranną *rush hour*. Zbliża się godzina ósma, trzydzieści.

— *Excuse me!* — woła Boga. — Przepraszam, przepraszam! Przepycha się przez tłok w drzwiach ,,lanczenety''. Wyrostki w kolorowych koszulach z książkami pod pachą, albo workami na książki przewieszonymi przez jedno ramię, palą papierosy, piją coca-colę z butelek, oblegają grającą szafę, tłoczą się wokół oszklonej skrzyni z mechanicznym żurawiem, który po przełknięciu pięciocentówki unosi się leniwie, błądzi przez chwilę niezdecydowanie wśród importowanych z Japonii tandetnych cacek i czasem... czasem uchwyci

(1) Odpowiednik polskiego gimnazjum.

w metalowe palce skarb: plastyczną bombę na choinkę, ołówek, fajansowy dzbanuszek. Wtedy podnosi się nieopisany harmider.

— Yahoo! — ryczy rozentuzjazmowana gromada. — Joe dawaj klucz od skrzyni. chodź, sprawdź, wygraliśmy! Wygraliśmy!

„Europejskie przepraszania" Bogi giną w ogólnym gwarze. Tu nikt nie ma czasu na zabawę w konwenanse. Poprzez hałas nieopanowanych, przenikliwych chłopięcych głosów przedzierają się niekiedy słowa przeboju z gardła grającej szafy:

— „How much is the doggy in the window?" (2).

Gromada podchwytuje ulubioną melodię i zdrowy ryk dobrze wypasionych dryblasów rozlega się po Alei Północnej. Gęsty dym tytoniowy gryzie w oczy. Zza kasy wynurza się ramię Żuławskiego. Pełnym upomnienia gestem wskazuje Bodze zegar z wypisaną pośrodku reklamą fabryki wędlin. Dwie czarne, czerwono zakończone wskazówki spotkały się na godzinie dziewiątej.

— Znowu spóźniłaś się — mruczy gniewnie pod nosem.

— Ależ tatusiu, tramwaj...

Żuławski cmoka niecierpliwie.

— *May I help you?* — zwraca się do gościa za kontuarem. A w stronę chłopców:

Get out! Do siebie cicho, głosem umęczonym: Ja oszaleję, ja oszaleję... Boga opasuje się fartuszkiem kelnerskim.

— *Mornig!* — rzuca w przelocie do uśmiechającej się Sally. — *Two eggs up!* — podchwytuje zamówienie i wąskim przejściem za kontuarem biegnie do kuchni.

Żuławska w białym fartuchu, pomiędzy stołem a piecem strofuje Lu.

— Zabieraj się do zmywania, prędko! Boga! — krzyczy do córki — Wycieraj! Pomywaczka nie przyszła!

— *Two eggs up!* — Boga powtarza zamówienie.

— *Up?* — dopytuje się Żuławska.

— *Up*, tak, *up!*

Żuławska rzuca na rozpalony blat kuchni dwa jajka — dwa słońca żółtek wśród ścinającego się prędko białka.

— Mrs. Z. — Sally wpada do kuchni. — Przymruża figlarnie jedno oko do Bogi. — *two scrambled eggs, one Hamburger on roll, one poshed egg on toast!*

Wymawia słowa wyraźnie, ale pomimo to Żuławska powtarza.

— I co, co jeszcze Sally?

— *Two hot cakes!*

— Lu — woła rozkazująco Żuławska — zostawiaj zmywanie, wyciągaj z lodówki ciasto na bliny!

— No to co mam robić? Co? — denerwuje się Lu.

(2) W tłum. pol.: „A ile kosztuje piesek w oknie?"

Jej twardy, muskularny tyłek rysuje się wyraźnie pod niebieskim fartuchem. Wilgotne oczy w czekoladowej twarzy mają wyraz lekceważący, jakby za chwilę miała zamiar wziąć się pod boki i zawołać:

— Mam was wszystkich w nosie!

Ale to wcale nieprawda, to tylko taka maniera, sposób bycia. Ramiona Lu prężne, umięśnione unoszą się często półgniewnym, pół-pogardliwym gestem ale jej zwinne kawowe na wierzchu, a brudno-różowe pod spodem dłonie nie uznają sprzeciwu. Jest doskonałą pracownicą. Trzeba tylko zauważyć, jak rozprawia się z robotą. Twarz jej zachowuje niezmiennie ów wyraz pogardliwego cynizmu podczas gdy mięśnie kurczą się i rozkurczają niby tłoki precyzyjnej maszyny.

Lu ma dwoje nieślubnych dzieci, którymi opiekuje się jej matka, a wieczorem czeka na nią przed drzwiami kuchni szerokobary „boy-friend", błyskający w ciemności bielą zębów i fosforyzującą niebieskością białek.

Gdy mija kelnerkę Sally wydaje się kwiatem egzotycznym o grubych, mięsistych łodygach przysłaniającym nędzny pęd zbyt wybujałej fasoli.

Stoliki obsiedli już zwykli poranni goście: urzędnicy śpieszący się do okolicznych biur, tramwajarze, robotnicy.

Wszystko niecierpliwi się i woła:

— Prędzej, prędzej!

Żuławski podrywa się. Powierza na chwilę kasę Bodze i przepycha się do grającej maszyny przeklinając pod nosem chłopców. Udało im się przekręcić głośnik do najwyższego napięcia i teraz maszyna wyje tubalnie zagłuszając wszystko. Żuławski manipuluje przy głośniku, ale bezskutecznie.

— *You!* — krzyczy na uczniaków nie mogąc znaleźć odpowiednich słów przekleństwa — *get out!*

Marszczy brwi, cmoka ze zdenerwowania, chwyta się za głowę i wreszcie używa sobie głośno:

— Do jasnej cholery!

— *Do you speak Polish?* — chwyta go za rękę jeden z tramwajarzy. — Roz-mawiasz pp... polsky? — powtarza z ustami pełnymi gorących kiełbasek.

Żuławski uśmiecha się. Cóż za męki przechodzi! Ten ryk rozsadza mu głowę.

— *Yes... yes...* — potakuje.

— Dziń-dobry! — promienieje gość.

— Dzień dobry — odjękuje Żuławski. — Boga! krzyczy do córki — Uważaj na lodówkę z Coca-Colą!

Rój chłopców otoczył czerwono-białą skrzynię. Dobierają się do butelek. Boga wpada pomiędzy nich, jak jastrząb.

— Hej, hej pokaż-no co wziąłeś!

Wtykają jej do ręki pieniądze.

Prędzej! — śpieszą się. — Zaraz dzwonek!

Żuławski kłania się odchodzącym od stolików gościom. Nienaprawiona maszyna wyje koniec ostatniej strofki:

„Your lips of fire!"

— *Good bye Mr. Z., so long Joe!*

Żuławski grozi chłopcom zaciśniętą w pięść ręką.

— Kiełbasa! — woła rozpromieniony gość — *I remember*, kiełbasa! Go-łą-pki! Moja matka była Polką — rozrzewnia się.

Nawałnica uczniów zakręca się trąbą powietrzną. Biegną z krzykiem, gwizdaniem, nawoływaniami na przeciwległą stronę ulicy. Ależ nie biegną, unoszą się, ustępujcie im z drogi! Nie zwracają uwagi na ruch uliczny i światła regulujące. Przystają autobusy i auta, szoferzy przeklinają głośno, zgrzyt hamulców, wariacka muzyka klaksonów. Przesadzają ogromnymi susami szeroką Aleję Północną. Już za chwilę, za chwilę pochłonie ich stateczny gmach Wyższej Szkoły. No nareszcie, nareszcie.

„Lanczeneta" drga jeszcze, pulsuje niby rana zadana młodą, bezwzględną pięścią. Lu ociera wierzchem dłoni pot z czoła. Miotła podskakuje w jej niecierpliwych rękach. Zgarnia stosy niedopałków, podnosi rzucone w pośpiechu brązowe papierowe torby. Tu, na stoliku, zapomniane książki, tam, wala się gruby, wełniany sweter.

Żuławski zapala papierosa, zaciąga się dymem.

— Chodź-no tu, Boga, popatrz!

Otwiera jedną po drugiej porzucone papierowe torby ze śniadaniami. Kanapki z wędliną opakowane w pergamin, banan zawinięty w papierową serwetkę, jabłka.

— Rzucają to co im w domu naszykowała matka — powtarza codzienną formułkę — aby tu kupić sobie *submarine*. Młodzież amerykańska! Sally, chcesz to?

— *No, thank you colonel.*

— Lu?

Lu wyciąga rękę.

— Mogę wziąć — zgadza się łaskawie.

— Ile mamy bułek na „submariny" — woła Żuławska.

Żuławski oblicza długie, dwudziestocentymetrowe bułki, które przekrojone posmarowane majonezem, obłożone wędliną, sałatą i wszelkiego rodzaju doprawami staną się popularnym sandwiczem amerykańskim zwany „łódź podwodna" — *submarine*.

— Słuchaj Józiu...

Żuławski nachylony nad kasą, brwi zmarszczone, koszula zawinięta do łokci, muszka pod brodą liczy półgłosem pieniądze.

— Jó-ziuuu...

— Chwileczkę! — cmoka niecierpliwie.

— Dobrze, dobrze...

— Żuławski odrywa oczy od kasy, spogląda na żonę.

— No?
— Sally mówi, że Marian nie przyjdzie.
— Nie przyjdzie, bo co?
— Wymiotowała rano. To jak? Myślałam, żeby zawołać Kowalską. Tyle razy się prosiła. Nie wybrali jej do zarządu w gminie i jest bez pracy. Zatelefonujesz?
— Kowalską? Tę ofiarę życia? Przecież ja ją będę musiał uczyć wszystkiego. A może ty nauczysz, co?
— Naucz, zawsze będzie swój człowiek...
— Chwi-leczkę, kobito, pomyliłaś mi wszystko. Gotujesz... gotujesz... a czy zysk czy strata to tobie wszystko jedno...
Sally podparła dłonią brodę, pali papierosa, sączy kawę. Poza nią Lu szasta miotłą. „Lanczeneta" pustoszeje. Ostatni gość, gruby, przyciężkawy tramwajarz odsunął zatłuszczony talerz po kiełbaskach.
— Dzin-dobry? — zatrzymuje Żuławską. — Mówisz po polsky?
— *Yes*... tak... tak — uśmiecha się Żuławska.
— Moja matka była Polką — mówi gość po angielsku.
— O! — rozczula się Żuławska — nauczyła pana po polsku? Oczy jej wilgotnieją.
— Helenko! — woła Józef.
Odtrąca go niecierpliwym ruchem ręki.
— Co pana nauczyła?
— *Let see* — przeciąga się gruby gość — dziń-dobry...
— Tak, tak! — cieszy się Żuławska.
— Gołąp-ki, kiełbasa — popisuje się gość — Kaśka, Maryśka, mam cię w d...
Boga nalewa sobie kawę z maszyny, siada na wysokim stołku barowym obok Sally.
— Co jest Marian?
Sally uśmiecha się.
— Wiesz, Boga, w jej stanie łatwo, aby się poczuła źle.
— Który to miesiąc? Nic jeszcze nie widać.
— Szósty, Boga, nie widać, bo ona jest taka szeroka w biodrach.
— Sally! — woła Żuławski.
— *Yes colonel?*
Ach jaka układna ta Sally. Jaki potulny, schludny uśmieszek niewinności. Pomyśleć można, że kładzie się wieczorem do czystej pościeli, a rano szoruje ciało pod prysznicem. A może w popołudnia wolne od pracy chodzi na dokształcające kursy dla dorosłych w budynku Wyższej Szkoły dla Chłopców? Zaledwie kilka dni temu Boga niemal otarła się o nią na ulicy, a Sally przeszła obojętna, blada i sztywna zalatując mocno alkoholem. Tamtą chwilę należy wyjąć z pamięci, tamtą i wiele innych, gdyż przeszkadza swobodnej, ugrzecznionej rozmowie z Sally.

Sally stoi teraz przed Żuławskim w postawie na baczność. Ręce, dwa zwiędłe badyle fasoli, opadły wzdłuż płaskich bioder; w jednej niezręcznie trzyma niedopałek papierosa. Imponuje jej to, że ma za szefa pułkownika i to jeszcze takiej egzotycznej armii. *Poland?* Słyszało się o tym. Ale gdzie, u diabła, jest ten kraik z którego przywędrował jej *boss?* Chowa za siebie papierosa, onieśmielona, jak uczenica.

— Bo widzisz, Sally, u nas w Polsce... — rozpoczyna wykład Żuławski.

Co dzieje się w główce takiej Sally? — myśli Boga.

Przenosi wzrok na rozwarte drzwi „lanczenety": widać skwerek na który co rano Andrzej wyprowadza psa, skrzyżowanie Alei Północnej i Jackson'a. To tylko wykroiły drzwi „lanczenety". Nie ma nawet nieba: jego odblask leży na jezdni niby rzucony niedbale ochłap.

— Gdzie ja jestem? — myśli Boga. — Gdzie ja jestem? To straszne! Taki dzień po dniu istniejący tylko na to, aby go przeżyć. Zamknięci we własnym kole, pośród obcego miasta. Poza tym nie ma do kogo słowa przemówić. Pewnego dnia oszaleję... pewnego dnia oszaleję. Wyzywam los! — przeraża się — mam męża, dwóch zdrowych, dorodnych synków... Mam... i pewnego dnia będę musiała ich oddać. Już ich oddaję stopniowo, z każdym nauczonym nowym słowem angielskim. Wyzywam los?

— Dzień dobry panie pułkowniku!

— Ach to wy! — rozjaśnia się Żuławski — siadajcie!

Kurowski siada przy stoliku pod ścianą. Zapala papierosa. Trzyma go między zepsutymi zębami. Gdy nie widać tych zębów Kurowski jest przystojny. Ciemne włosy przylegają szczelnie do kształtnej czaszki. Pod nią mózg wiejskiego, zdatnego chłopaka, którego oceniło wojsko. W Szkocji sam prowadził kasyno podoficerskie. Marzą mu się wielkie plany. On jeden zwraca się do Żuławskiego: panie pułkowniku.

On jeden — mawia Żuławski — jest żołnierzem wśród tej zbieraniny dla której stworzyliśmy tu z Andrzejem Koło Byłych Żołnierzy. Co za komedia! Zaledwie dwóch z nich wie co to wojsko, a reszta przydupniki. Żadnego oficera. O czym mam z nimi gadać? Z Kurowskim chociaż o wojsku.

— Przyszłem se poradzić wedle tej piekarni — szepcze Kurowski — o tej, co to pan pułkownik wi. Kupować? Nie kupować?

— Ile chcą?

— Napije się pan kawy, panie Kurowski? — pyta Żuławski.

— Jak już tam pani pułkownikowa...

— Zaraz niosę, no a jak żona?

Józef cmoka niecierpliwie, że mu przerwano rozmowę.

Kurowski krzywi usta:

— Żona? A tak...

— A chłopcy?

— Starszy uczęszcza do szkółki polskiej tam — oj u zakonnic, młodszego myślę też słać.

Żuławska rozpromienia się:

— O, to bardzo dobrze!

W głębi serca zazdrosna jest o polskość Kurowskiego, jakby traciła coś najbardziej własnego. Po co on się ożenił z tą Szkotką? — martwi się — szkoda chłopaka, nic z tego dobrego nie wyjdzie i dzieci nie nauczą się nigdy po polsku. Ach ta walka rozpaczliwa o zachowanie języka! Ta walka, tragiczna, przegrana niby nieustępliwy ogienek topniejącej partyzantki. Z czym się na to porywać? Kto pomoże? Żuławska myśli: Nauczyła go matka: dzień dobry, kiełbasa, mam cię w d... Och, mam to wszystko w de! Byle tylko Marek i Paweł... Przysiada nad filiżanką kawy słuchając nieuważnie wynurzeń Kurowskiego.

No i tak — myśli — to nam właściwie zostało, że wpadnie tu taki Kurowski i zamieni kilka słów, które już niby zanurzone w kwasie, tracą wyraziste kontury polskości.

— Mówił — szepcze Kurowski — pierwszu ratu spłacić w August.

— Kto mówił? Ten agent?

— Yea, ten Salesman. Nijak mi nie wychodzi na August. Co pan pułkownik myśli robić? Sklep niczego. Urządzenia, „kastomersów" (3) ma.

Żuławska podrywa się i biegnie do kuchni.

— „French fries" przygotowałaś? — woła do Lu.

Murzynka zaciąga się papierosem. Drugą wolną ręką wskazuje na gar pełen pokrojonych kartofli.

— Boga! — krzyczy Żuławska — rozkładaj menu na stołach!

— Co mówią o wyborach do zarządu? — pyta Żuławski.

Kurowski śmieje się.

— Ja panu pułkownikowi zaraz powiem...

— No walcie!

— Mękała pije po barach z różnymi, żeby na niego głosowali. Ja tam na niego nie głosuję.

— Mówiłem — odchrząkuje Józef — każdy po kolei. Niech każdy po kolei zostaje prezesem. Jak kto inny prezesem to wiele krzyczą, „gemby" podnoszą, a nic nie robią.

— Może by jednak pan pułkownik, albo pan porucznik przyjęli...

— Mówiłem już, że nie! — odcina się Żuławski. — Jesteśmy w komitecie sztandaru. Na uroczystość Pułaskiego trzeba ze sztandarem jechać do Waszyngtonu. Myśleliście o tym?

— Zrobi się.

— A samochód?

(3) Od *customers* — klienci.

— A tak, samochód.

— Trzeba by odkryty, elegancki. No to ja już pomyślę.

— O, jest Mękała !

Mękała przepatacza się uroczyście przez drzwi „lanczenety".

— Szanowanie panie Żuławski !

Jego nieforemny, krótki tył opinają jasne spodnie. Kolorowy kołnierzyk wyłożony na worowatą marynarkę. Nie nosi krawata, jest przygruby i posuwa się ciężko. Włosy lśnią pomadą, wystające kości policzkowe, szeroka, krótka czaszka upodabniają go do prymitywnego wodza dzikiego plemienia Indian.

— Jak idzie panie Żuławski ?

Żuławski myśli : Rżnąłbym go w mordę za to „panie". Niech-no by był u mnie w kompanii. Uśmiecha się tylko kwaśno wzruszając ramionami.

— Idzie.

— Panie Żuławski, przyszliśmy tu do pana (przez „my" ogarnia już w posiadanie Kurowskiego) żeby pomówić o tych funduszach. Trza będzie za sztandar płacić.

— Wiem. Siadajcie Mękała.

— Można by kawy ? — uśmiecha się przymilnie Mękała.

— Boga, daj kawy panu Mękale.

— Moje szanowanie.

— Dzień dobry panu. Jak żona ?

Na twarz Mękały pada cień. Wydyma grubą dolną wargę.

— A ot tak, żyje się...

Mękała już jest jedną nogą w tutejszej Polonii. Ożenił się z Polką urodzoną w Ameryce. Baba potężna, a rozłożysta, jak udała kukurydza przed samym zbiorem. Większa od Mękały. Na oko nieśmiała, ale wiadomo, wali go niezgorzej.

— Nie pracuje pan ?

— Rozglądam się za robotą.

Sprzedał się takiej grubej, siarczystej dziewusze — myśli Boga — no ale co to mnie wszystko obchodzi ? Każdy robi, jak chce.

— No to, panie Żuławski, co będziem robić ? — Mękała chce okazać się jak najbardziej gorliwy. Niedługo nowe wybory do zarządu Koła Byłych Żołnierzy. Głos Mękały — cienki głosik eunucha — nie pasuje do masywnej, przysadzistej postaci. Tymi krzepkimi, przykrótkimi nogami chce się piąć po szczebelkach władzy. Pokazać się ! Raz zdobyty tytuł prezesa otwiera drzwi gdzie indziej. U „Sokoła" szkoda w ogóle marzyć, aby go wybrali. U Hallerczyków, starych weteranów, nie chcieli z nim gadać; jeden prezes Związku łaskawiej na niego patrzy. Mówi : pchaj się panie Mękała u siebie, u Żołnierzy, to już potem pogadamy, trzeba nam swoich ludzi, nie żadnych przewrotowców, a pan jesteś jak nasz.

Ale właściwie to kim on jest? Teść, teściowa, żona zarzucają mu co wieczór jego bezużyteczność sytego trutnia. Pokaże im, o ho, ho, pokaże! Taki Żuławski wypina się swoim pułkownikowstwem. Łatwo mu było zostać prezesem. Ale niech sobie nie myśli, że zostanie „leaderem" Polonii! Pułkowniki się skończyły. Tutaj *free country*. Do diabła z szarżami! Każdy może zostać prezesem.

Siedzą we trzech w kącie „lanczenety", przy stoliku najbliższym kasy, zarezerwowanym dla właścicieli i prywatnych gości. Pochylają się ku sobie — członkowie konspiracji. Prostokątny stolik przywiera krótszym bokiem do pomalowanej na zielono ściany. Na ścianie uśmiechnięta dziewczyna pije Coca-Colę. Wysokie oparcie ławki tworzy odseparowaną lożę. Wysepka. Za niskim oknem wystawy, na którym produkuje się ruchomy, przeżuwający pysk krowy, dojrzewa południe. Jest tu cisza przyczajona, nieprawdziwa niby maleńki, trwożliwie przykurczony uchyłek jelita w rozhukanym organiźmie miasta.

— Gorąco! — wzdycha Mękała. — Mówił jeden na telewizji: *summer early this year*.

— Co tam, jeich gadania — wzrusza ramionami Kurowski — ni mają na co językiem mamlać ino ciągiem ta ich pogoda. Napaplają się o niej, no... Myślałem sobie, panie pułkowniku, może jaki odczycik, patriotyczną mówkę i później zakąski jakie, patefon...

— Ale tam, przyjdą! Nasze żołnierze przyjdą — rozumuje Mękała — ale łoni nie! Co tam, powiedz Kurowski, taki jeden z drugim z twojej mówki wyrozumuje? Zabawę zrobić!

— No to niech będzie! — zgadza się Kurowski. — Ale zrobić inaczej, po naszemu, nie tak, jak oni.

— Dobra myśl! — przytakuje Żuławski — ale gdzie? Czyj lokal? Ho... ho, moi panowie — spogląda na zegarek — gadajcie sobie, ja mam zajęcia... jedenasta już... ale gorąco!

Z kuchni dochodzi zapach pieczonego mięsa. Nie wiele już zostało tej ciszy, leniwości, tego bezwładu brudnozielonego nakrapianego czerwonymi centkami taburetów. Długa kiszka „lanczenety" wymieciona schludnie wygląda nawet zachęcająco i przyjemnie. W samym jej krańcu, tam, gdzie kończy się kontuar, stoi długa oszklona szafa z zimnymi mięsami, sałatkami i wędliną. Żuławska instruuje Bogę:

— Zrób *egg salad*. Weźmiesz majonezu, poszatkowany seler, pieprzu, soli, Lu już posiekała jajka, ale nie rób za dużo, musi być świeże...

— Wydawało mi się, że Pawełek miał gorączkę — denerwuje się Boga — był za spokojny. Może zatelefonuję do przedszkola?

— Mierzyłaś mu wczoraj?

— Mierzyłam.

— I co?

— Nie, nie miał.
— No to co, telefonujesz?
— Nie wiem, poczekam... może mi się tylko zdawało.
— Idź do kasy!
Urzędniczki z biur już zaczynają przychodzić po kawę i „donaty" (4).
Boga nalewa kawę do papierowych kubków i zakładając pokrywki parzy sobie ręce.
— Czekaj, czekaj, to nie tak! — upomina ją Żuławski.
Boga niecierpliwi się. Ojciec odprawia nabożeństwo przy takich duperelach.
— Wiem, już wiem — mruczy marszcząc czoło.
— Wiesz, ale nie umiesz. Co za kelnerka z ciebie! Nikt inny by cię nie zatrudnił.
— No to nie rób mi łaski! Mam w nosie to wszystko!
— Boga uspokój się — woła przyciszonym głosem Żuławska — nie odpowiadaj ojcu.
Przed kasą uczepione małe gronko oczekujących na kawę. Stopniowo odrywają się od niego jedna po drugiej ufiokowane, w szeleszczących spódnicach urzędniczki.
— *Thank you, thank you very much...*
— Nie mówi się „senkju", tylko „tenkju" — uczy córkę Żuławski.
— Nie mówi się „tenkju", a ja nie mówię „senkju".
— Masz ci, ty sobie, a ja sobie!
— To jak będzie, panie Żuławski?
— Róbcie zabawę!
— A występki?
— Może by pani Boga zadeklamowała jaki wiersz? — proponuje Kurowski.
— Co do wierszów to ja też mogę. Czemu nie? — poleca się Mękała — Deklamowało się.
— Józiu, czy telefonowałeś do Kowalskiej? — szepcze Żuławska. — Sally odchodzi o drugiej, a Marian chyba nie przyjdzie.
— Zatelefonuję z domu.
— No to już idź, prześpij się.
Kurowski podnosi się od stolika. Widziany z boku wydaje się przystojny. Taki smagły chłopiec co tańczy kujawiaka na wiejskich zabawach. Nie tu jego miejsce, nie tu. Zatańcował aż do Ameryki przez Syberię, Egipt i Szkocję, a na partnerkę wziął sobie Szkotkę, którą drażni kujawiak. No i co? Ma dwóch rudzielców synów, którzy prędko skrócą sobie nazwisko, jak tylko oświeci ich świadomość i matka. A teraz chodzą do polskiej szkółki. Za każde pójście ojciec płaci po 25 centów. — Mówi zaś nadrabiając miną: Mój starszy bardzo chce się uczyć po polsku, ale trudno mu mówić, wstydzi się.

(4) *Doughnut* — rodzaj pączka, ciastko b. popularne w US.

— Kiedy można by zastać pana porucznika? — zwraca się do Bogi.

— Mąż będzie około siódmej.

Boga myśli o Andrzeju: stoi w tej chwili przy stole z maszynami, już zmęczony tą pracą mechaniczną wysysającą mięśnie i energię. No to co? To co? Nie było innego wyjścia. Marzyła mu się nostryfikacja studiów. Z dwojgiem małych dzieci i tą „lanczenetą", która nie przynosi dochodu? W kraju, który otorbi się natychmiast wokół nich, wessie ich zmiażdżonych, jak drobinę obcego ciała. Powinnam mu pomóc. No przecież pomagam! Powinnam mu pomóc, aby czuł się szczęśliwy mimo wszystko. Jesteśmy razem, mamy dwóch zdrowych, inteligentnych chłopców. Razem płyniemy pod prąd. Bo tak chcemy. Nie, bo nie ma wyboru. Płynięcie z prądem zgniotłoby nas, stalibyśmy się masą. Płyniemy pod prąd, ale można rozróżnić nasze głowy uniesione z wysiłkiem ponad wodę.

— No to bye, bye... — mówi Kurowski.

— Kurowski, czekaj, ja też! — Mękała unosi ciężki zad z ławki. — Szanowanie!

Żuławski zatrzymuje się na chwilę przed drzwiami „lanczenety". Mruży oczy od słońca. Gorąco. Idzie równym, miarowym krokiem. Sąsiad, właściciel pralni chemicznej, unosi przyjacielskim ruchem rękę do góry.

— Hi Mr. Ziuski, wczesne lato tego roku.

— Wczesne lato.

— Chłopaki popsuły panu maszynę.

— Wyrzuciłem ich.

— Nie ma lekarstwa na tę młodzież!

— Za dobrze im, za dobrze... w Europie dzieci głodują.

— Powiedz im pan!

— Im tylko w głowie *base-ball.*

— *Sure* Mr. Ziuski, *you are right,* nie wiedzą co to wojna.

Właściciel pralni chemicznej też nie wie co to wojna. Ale poprzez te przyjazne potaknięcia zdobywa życzliwość sąsiedzką.

— Szczęście, Mr. Ziuski, że pan tu jest.

— Ach! — ucina Żuławski — *so long!*

Posuwa się szerokim, zaśmieconym chodnikiem. Spaliny kwitną tu zamiast kwiatów, zieloność mizernych drzewek nieśmiało przypomina o późnej wiośnie. Zabłąkany motyl musnął ramię Żuławskiego.

— Szczęście, że pan tu jest — mruczy do siebie ironicznie. — Szczęście może być przeklęte. Po co ja tu przyjechałem? Co chronić? O co walczyć?

W otwartych drzwiach „drugstoru" aptekarz w białym kitlu macha mu przyjaźnie ręką.

— Wsiąkam w tę społeczność. Oni akceptują mnie na niby. Afiszują się tym wobec mnie, a wypierają poza oczami. A ja ich nie chcę, nie chcę! Mam ich wszystkich poniżej kręgosłupa. Tam była jeszcze jakaś nadzieja, pełna sprzeczności, niemoż-

liwa, ale nadzieja. Tu... codzienność. I już tak na zawsze. Gęby nie ma do kogo otworzyć. Mękała: panie... panie Żuławski. Jak to się za każdym razem cieszy, gówniarz, gdy ominie mój tytuł. Nie dostałem go za darmo. Ciężko zdobyłem, ciężko. Może trzeba było wracać?

Na klatce schodowej chłód nieco stęchły, piwniczny.

— Dobrze im nie jest, ja wiem, ale jeżdżą na wakacje, na wczasy, siadają razem na ławce w parku, zapalają papierosy, mówią... mówią... I ten ich humor, jak gaz rozweselający... nie czuje się bólu wyrywanego zęba. Ten ich humor... o cholera... o cholera...

Za drzwiami skomli pies. Już go rozpoznał, wyczuł.

— Czekaj, czekaj chwileczkę.

Pies wspina się łapami na kolana Żuławskiego, podskakuje, chce polizać po twarzy. Żuławski nadstawia policzek. Ciepły ozór psa na skórze, ciepłe klapnięcie, radość najwyższa bez cienia egoizmu. Ogon wiruje w szalonych, nierównych machnięciach.

— No czekaj, czekaj, Kapitanie...

I nagle pies zapiera się przed nim łapami, przekrzywia łeb łobuzersko, szczeknięcie pełne animuszu, okrzyk bojowy niby do dziecinnej zabawy w Indian. Skacze wielkimi susami, jak koza, tratuje pościelone łóżko, doskakuje Żuławskiego, zapiera się przed nim łapami. Ogon w górze, jak sztandar.

— Dobrze, dobrze, mam coś dla ciebie. — Rozwija z papieru kość. — Ale daj przedtem łapę. Dasz łapę? Dobry pies, mądry pies, mądry Kapitan.

Doktor Młodecka stanęła w drzwiach, przesłoniła sobą wczesne popołudnie. Była tęga, silnie wspierała się na mocnych nogach. Boga spojrzała:

— To nie jest Amerykanka.

Zza ramienia doktor Młodeckiej wychyla się twarz Sławka. Okrągła twarz, ciemna czupryna nad oczami.

— Sławek!

— Cześć! Przywiozłem wam gości.

Boga wybiega na przeciw, wyciąga obie ręce.

— Bardzo mi miło panią poznać i ja wiedziałam od razu, że pani nie jest Amerykanką.

Żuławska też biegnie truchcikiem cała w drobnych uśmieszkach co ją zdobią niby rodzynki dobrze wypieczone ciasto. Co tu podać? Czym ich ugościć? Ach Boże, Boże przyszli, przyjechali, ludzie, Polacy, swoi, swój język. Sławek! Chciałaby go pocałować. Jest symbolem tamtych czasów. Sławkowi się udało. To dzięki Bogu, udało mu się. Zrobił doktorat na uniwersytecie bostońskim, jest tu przejazdem, wstąpił, nie zapomniał, przywiózł im gości. A kto to jest ten drugi pan?

— Doktor Młodecka, profesor Młodecki, pani Żuławska. Mieliśmy kwaterę u pani Żuławskiej. W czasie Powstania pani Żuławska...

— Siadajcie państwo... siadajcie państwo... panie Sławku czego się pan napije? Co pan zje?

— Cieszę się, że panią widzę.

— No i co słychać? Co słychać w szerokim świecie? Boga, dzwoń po ojca. Andrzej się ucieszy. Zaczekacie, aż przyjdzie Andrzej?

Już ogarnęła ich wszystkich przyjaźnią. Sławek przyprowadził tych ludzi, no nareszcie, ach Boże co ja zrobię? Sznycle czy befsztyki?

— Czy pani wie, pani Heleno, że państwo Młodeccy mieszkają tu, w tym mieście, w waszym mieście?

— No proszę... — śmieje się doktor Młodecka. Jej głos jest niski, głęboki, roluje nieco „r". To zgrubienie, głębia tonu przybliża ją jeszcze bardziej, wywołuje sympatię i zaufanie. — No proszę, a wcale nie wiedzieliśmy o sobie.

— Profesor będzie miał tu wykłady na uniwersytecie, a pani doktor dojeżdża do...

Doktor kiwa głową. Jej ruchy są krągłe, opanowane. Spogląda na Bogę oczami spokojnej, zawodowej dobroci.

— Jest sympatyczna — myśli Boga — bardzo sympatyczna. Sławek?

— Ach prawda, zapomniałabym, Sławku, gratuluję doktoratu!

Serce jej zamiera z żalu nad Andrzejem. Oni tu sobie siedzą, słowa odbijane chyżo przelatują niby ping-pongowe piłki, a on tam... nad maszyną. Na czym polega różnica? Sławek miał stypendium, miał zawsze stypendium. Otacza go atmosfera uniwersytetu. Nawet i tu, teraz w „lanczenecie" wydaje się, jak gdyby odgradzały go grube tomy naukowych książek.

Zawsze marzyłem o karierze uniwersyteckiej — mówił Andrzej. Zmarnowałam mu życie. Haruje na mnie. Gdyby nie miał żony i dzieci... Zmarnowałam mu życie...

— A co Andrzej? — pyta Sławek.

— Andrzej...

— Zawsze w tym samym fachu?

— Zawsze w tym...

— A ty? Nie myślisz o kończeniu studiów?

Bogę porywa złość. Zaraz się zacznie. Zaraz wszyscy przeciwko niej. Ojciec powie: no przegapiła. Trzeba się było uczyć, jak mogła...

— Nie wszyscy mogą kończyć studia — ratuje ją niespodziewanie doktor Młodecka — widzi pan, doktorze, że pomaga rodzicom. Bledziutka pani...

Boga czuje w oczach łzy wdzięczności i upokorzenia.

— Z dziećmi... — broni się nieśmiało. Do diabła! — myśli — pomógłby raczej Andrzejowi w uzyskaniu stypendium. Niech się wszyscy wynoszą! Ale dlaczego ja jestem zazdrosna? Nie byłaby może zazdrosną o innych. Ale tu wszystko rozwijało się przed jej oczyma. Tylko Sławek akurat poszedł inną

drogą, wspinał się po tomach książek. No to mam za swoje! Trzeba się było uczyć i kończyć studia.

Doktor Młodecka odgaduje jej nastrój.

— Niech tu pani siada bliżej mnie, pogadamy sobie.

— Kiedy muszę teraz przypilnować kasę, przepraszam, zaraz wrócę.

Oczy doktor Młodeckiej w szerokiej białej twarzy wędrują za Bogą. Wydaje się mówić: Ale męczą tę biedną dziewczynę... I Bodze bardzo jest przyjemnie, chciałaby oprzeć się o kasę i zapłakać nad sobą.

Zjawia się Żuławski. Staje przed zarezerwowanym stolikiem przybrany w swoją najsympatyczniejszą twarz dla gości.

— Kłaniam się.

— Czołem panie pułkowniku!

— Niech państwo siadają, proszę, proszę niech państwo siadają.

— Pan pułkownik Żuławski, pani doktor Młodecka, pan profesor Młodecki...

— Bardzo mi miło.

Żuławski w duchu zaklina los, aby nie zesłał chłopaków ze Szkoły Wyższej.

— Chwileczkę, przepraszam, zaraz służę... Helenko — szepcze do żony — Marian nie była?

— Nie.

— Telefonowałem do Kowalskiej, będzie jutro. Pomówię z Sally może zostanie dłużej, a z Marian koniec. Tygodniówka w sobotę i niech idzie na zbity łeb. Kelnerka nie przyszła — informuje gości przy zarezerwowanym stoliku.

— A to kłopot! — mówi uprzejmie Sławek. Ogarnia wzrokiem „lanczenetę". No tak, tak — myśli — muszą tu robić dobry interes. No to co? Bardzo ich lubię, bardzo ich szanuję... zdrowa emigracja polityczna. Nie dali się. Pochyla się ku doktor Młodeckiej.

Nałożyła okulary na nos. Wydaje się nieco odległa i obca, gdy tak studiuje menu wypisane ręką Żuławskiego na maszynie przywiezionej z Anglii. Gdyby wiedział na co przywozi tę maszynę...

— Dzielni ludzie — szepcze Sławek.

Doktor spogląda na niego roztargniona.

— A tak, tak... Co zamówimy? — zwraca się do męża.

Profesor młodszy od żony, wciśnięty w kąt pomiędzy jej obfitym ciałem, a zieloną ścianą, „lanczenety" wydaje się kropką przy wielkim znaku zapytania. Dlaczego on się z nią ożenił? Oczy niebieskie, tafla wody poza którą nie można odgadnąć głębi.

— Wybierz, proszę cię, sama.

— Dzielni ludzie — powtarza Sławek. — Zdrowy element.

Myśli: Zrzucił odznaki pułkownikowskie i stanął za ladą. Głębiej, w warstwie podświadomości inna myśl, którą upycha

na gwałt, aby się nie wydostała na powierzchnię i aby jej nie odczytano: Zdeklasowali się, a ja nie, ja nie.

Boga odczytuje tę myśl ukrytą, jej podświadomość pracuje w wzmożonym, bolesnym napięciu.

— Napijesz się kawy, Sławku? — pyta.

— Dziękuję, chętnie. Wiesz — uśmiecha się dobrotliwie. — Twoi rodzice to dzielni ludzie.

Ale pomimo najwyższego wysiłku nie udaje mu się ukryć całości prawdy.

— Tak — mówi Boga — tak. W myśli dodaje: Ale ty byś tego nie chciał?

Sławek mówi głośno:

— Ja bym tak nie potrafił! Co za odwaga!

Boga przeciera filiżanki, nalewa śmietankę. Jak on to potrafi ukryć! Gdyby wypowiedział, pogardzałby sam sobą. Karmimy się kłamstwami. Żuławska przysiada się do stolika. Profesor miesza cukier w filiżance, pije.

— Bardzo dobra kawa, panie pułkowniku.

— A jak pani Helena zrobi gołąbki! — zachwala Sławek.

Żuławski przełyka pochlebstwa, jak piołun.

Profesor przechyla się ku niemu poprzez stół.

— Tylko tacy ludzie, jak państwo dochodzą do czegoś w Ameryce.

Wychylony tak profesor wydaje się bardzo młody. Jego ramiona są ramionami chłopca. Doktor Młodecka spogląda na nie czule, jakby miała ochotę je poklepać.

— Na szatniarza nie chciałem iść — mówi Żuławski — na windziarza, jak nasi generałowie, też nie, a do Biblioteki Kongresu mnie nie wezmą. Nie mam poparcia. No to chociaż jestem „bossem" u siebie.

— Święta racja, panie pułkowniku — przytakuje Sławek. Jego głos brzmi najszczerszą serdecznością. Lubię tych ludzi — myśli — ale przecież nie mogę im pomóc. Pomóc? Nie potrzebują pomocy. To oni powinni mnie pomóc. Reprezentuję ich na wyżynach społecznych.

— Tak... tak, słusznie — wtrąca profesor. Nie rejestruje goryczy Żuławskiego. Nie jest zaangażowany w grze, która zaczęła się już dawno. Co to go właściwie obchodzi? Wojsko, pułkownicy... zawsze lepiej jak najdalej. Nigdy nie był w wojsku... i żyje.

— Siadaj tu Boga, czekaj, dostawię krzesło — proponuje uprzejmie Sławek. — No i co słychać u ciebie?

— Nic... nic ważnego... chłopcy zdrowi...

— A prawda, chłopcy! Dwóch dzielnych Polaków. Jak się nazywają?

— Marek i Paweł. Myślałam, że pamiętasz...

— Pamiętam... proszę, co za polskie imiona! Ale czy...?

Zdanie zawisa w powietrzu. Boga przygląda się Sławkowi. Nie ten sam. Stara się zachować dystans. Tak, jakby chciał powiedzieć: bardzo ładnie tańczycie tego krakowiaka, ale to

już nie dla mnie, no naprawdę, wybaczcie, ale to nie dla mnie, mam ważniejsze sprawy...

Jestem przekonana — myśli Boga — że gdy się ożeni i będzie miał syna, nada mu imię angielskie. Aby się nie męczył, uniknął konfliktów... To kto zostanie, kto zostanie? Mękała?

Żuławskiej zapracowanej w kuchni latają ręce z niecierpliwości, zdenerwowania, wzruszenia. Sznycle po wiedeńsku z jajkiem.

— Lu, wybierz najładniejsze, nie żylaste!

Sławek lubi dobrze zjeść. Przystaje nagle, zamyśla się. Andrzej też.

— Ech! — wali drewnianym młotkiem rozpłaszczając mięso na desce — zmarnował ją!

Chwyta ją złość na zięcia. Przecież mógł nostryfikować studia i Boga nie pętałaby się tu jako kelnerka... z tą całą grandą... w tej dziurze.

— Lu, otaczaj sznycle w bułce!

— Mrs. Z., czy mam kroić kartofle na „French fries", czy przygotowywać „beef sandwich" czy kotlety? Mrs. Z, pani zapomina, że nie ma pomywaczki i wszystko na mojej głowie!

Główka Sally w drzwiach kuchennych.

— *Colonel* panią prosi, goście chcą panią zobaczyć.

— *What?*

— Sally wybucha małym śmieszkiem, przykurcza ramiona, zasłania ręką usta. Ach ta Mrs. Z. jaka ona zabawna! Podchodzi bliżej i skanduje:

— *Co-lo-nel is as-king you...*

— Mam „kernela" w de. — mruczy do siebie Żuławska. A głośno: *Yes... yes, Sally, one moment!*

Siedzi tam i gada! — rozgrzewa ją oburzenie. — No, ja mu dam. Zostawię go kiedyś samego. Nie ma pojęcia o przygotowaniu sandwicza. Wielkie tony, a cala „lanczeneta" na mojej głowie!

Uklepuje sznycel na desce. Ach ta Lu, ofiara, co ona porobiła ze sznyclami! Żuławska pracuje sprawnie. Pod złocistą powłoką tartej bułki nie można rozróżnić dwóch sklecónych, zbitych z sobą kawałków cielęciny. Na pozór wygląda to jak jednolity, cienki płat. Żuławska roztkliwia się nad sobą: Jak nasze życie — myśli — jak moje życie. — Czuje łzy w gardle. — Uklepane to na wierzchu, zlepione z dwóch odrębnych części. A kto to jest ta Młodecka?

— Pani Bogo droga, niech pani siądzie! Niech się pani tak nie podrywa co chwila — miękka, biała twarz doktor Młodeckiej łamie się fałdami dobrotliwego uśmiechu.

— A co z Wojtkiem? — Sławek pochyla się ku Żuławskiemu.

Żuławski cmoka niecierpliwie:

— Ach, ja go nie rozumiem.

Jacy oni inni — myśli Sławek — Żuławski ojciec i Żuławski syn.

— Niech pan powie, panie Sławku — wybucha Żuławski — co Wojtek widzi w tej polityce? Skąd jemu do tego stronnictwa! Prezes! Wykorzystuje go. Chłopak haruje dla przegranych idej. Cóż to znaczy trzysta dolarów od Free Europe? Niepewne, mogą mu je odciąć kiedy tylko im się będzie podobało. A tymczasem marnuje swój zawód. Gdyby zaczął pracować jako inżynier... Zdaje mi się jednak, że mądrzeje, chce wyrwać się z Waszyngtonu... czas najwyższy! Pan to zrobił w samą porę, panie Sławku, zerwał pan z prezesem.

— Och, ja to już dawno, jeszcze w Londynie.

— Poświęcił się pan karierze naukowej.

— Tylko w ten sposób mogę coś zrobić dla Polski... moja praca doktorska...

— Tak słyszałem... czytałem fragmenty...

— Czytał pan? — w głosie Sławka brzmi niedowierzanie Myśli: no, patrzcie, jednak jestem popularny, i nawet Żuławski... restaurator. Trafiło pod strzechy — rozrzewnia się.

— Strasznie tu miło u państwa.

Profesor oparł się wygodnie, oczy półprzymknięte, a na nich słońce odbite od chodnika. Turkot grającej szafy; Sally przerzuca ponad nim swe zamówienia:

— *Two chicken noodle!*

— Która to godzina? Która to godzina? — podrywa się Boga — muszę biec po chłopców.

— Piąta — uspakaja ją Żuławski — masz czas, zdążysz.

— Do widzenia, ale państwo zaczekają na Andrzeja? I proszę przyjść do nas, proszę przyjść do nas koniecznie.

Nad wieczorem, gdy czerwona klamra zachodu zamyka ten dzień, który rozwinął się tak nadspodziewanie, dzień zaczęty powszednim poraniem się z codziennością, dzień zdobyty w kącie ,,lanczenety'' przy stoliku zarezerwowanym dla prywatnych gości, Andrzej pije kawę i dźwięki języka wywołujące gwałtowną potrzebę mówienia, mówienia, wypowiedzenia się.

Żuławska spogląda na zmęczoną twarz zięcia. Boże — myśli — jak ten chłopak tęskni do rzetelnej, normalnej rozmowy, jak nas wszystkich odurza, podnieca dźwięk niby narkomanów, którzy za wszelką cenę, za wszelką cenę pragną tej morfiny słownej i wtedy wydaje się nam, że jesteśmy na właściwym miejscu, w swoim świecie. Sławek opowiada o odczytach, które miał w Nowym Jorku, w Chicago, w Detroit, o planach na przyszłość. Andrzej przeciwstawia mu przeszłość. Wchodząc tu odrzuca wspomnienia fabryki, jak zakurzony ,,overall''. Nie mówi się o swoich przeżyciach, o swoich planach, to tabu. Do przeszłości tylko można nawrócić odważnie. Byli w niej razem ze Sławkiem. Spotykają się i teraz. Sławek wyrósł z przeszłości i wzrasta i wzrasta niby na życiodajnym nawozie, czerpie bez końca. Andrzej wykorzeniony, zaczyna od

nowa. Są chwile, są dnie, okresy, gdy rezygnuje. Niepotrzebnym pudełkiem z orderami bawią się dzieci: Marek i Paweł. Niegdyś śpiewali razem: on i Sławek:

„A czy ty wiesz mój wnuku,
Twój dziadek był w Tobruku".

Sławek przemawiając, wspomni czasem:

— Drodzy rodacy, gdy biliśmy się pod Tobrukiem...

W fabryce Andrzeja słowo „Tobruk" nie wzbudziłoby oddźwięku. Przylgnęło już, jak stary kurz do ściany zamalowanej nową farbą. Korea... to się tylko liczy. Jesteś weteranem? Której wojny? Nie koreańskiej? Zrobiłeś tyle dla swego kraju, walczyłeś? No to dlaczego TWÓJ kraj nie zaopiekuje się tobą?

Tylko aktualność i wydarzenia dnia budzą zainteresowanie i podziw. Dawni bohaterowie są jak zwiędłe kwiaty. Można się do nich uśmiechnąć, nie starać się o rozróżnienie barw i ze współczuciem i ulgą wyrzucić na śmietnik.

Sławek podnosi się.

— Czas na mnie, było mi bardzo miło, jak zawsze staropolska gościnność.

Andrzej przytomnieje. Stoi na wprost Sławka. Rówieśnicy. Ta sama przeszłość i studia, te same marzenia, emigranci polityczni na dwóch krańcach przepaści. Na jeden tylko moment rozpacz, ciepła gęsta ciecz o posmaku krwi, ogarnia go, opływa całego: jutro taki sam dzień bez jutra. Sławku, — chciałby zawołać — Sławku... chodź, przejdź się ze mną Aleją Północną. Jestem tragicznie sam. Czy pamiętasz, nawet w bunkrach na pustyni nie czuliśmy się samotni. Byłem młody i wszystko wtedy wydawało się możliwe. Sławku, nie puszczaj mojej ręki!

— No więc masz dobrą pracę — uśmiecha się Sławek — i zarabiasz nieźle, co?

— Tak. Nie narzekam — odpowiada Andrzej. Puszcza rękę Sławka.

W mieszkaniu Boga układa chłopców do snu.

— Prędzej, klękać do pacierza! Nie szturchaj Pawełka, Marek!

Dwie pupy w pasiastych pyjamach obok siebie. Pies wyciągnięty przed łóżkiem na dywaniku.

— Boziu, daj zdrowie mamusi, tatusiowi, babci i dziadkowi i daj żebyśmy wrócili do Polski...

— Mamusiu — odwraca się Marek — co to znaczy „żebyśmy wrócili"?

Wracać — tłumaczy Boga — no to jak ty z Pawełkiem wracacie z przedszkola do domu.

— Ja nie mogę wracać!

— Dlaczego nie możesz?

— Ale mamusiu, przecież ja tam nigdy nie byłem, ja tam nigdy nie byłem w tej Polsce.

Ruchliwa reklama ,,lanczenety'' kwitnie blado w szaroliliowym zmierzchu Alei Północnej. Andrzej oddycha głęboko wciągając w płuca kurz ulicy. Wiatr podrzuca papiery na chodniku. Chłodny, wieczorny wiatr porusza gałęźmi mizernych drzew. Przecież to wiosna. Na zachodzie krwiste pręgi roztapiają się w fiolecie. Daleko, ponad pociemniałym budynkiem Wyższej Szkoły dla Chłopców zapaliła się pierwsza gwiazda. Na szybach zgasły ostatnie odblaski ginącego słońca.

— *Good bye, Mrs. Z., good bye colonel.*

— *Good bye Sally,* nie spóźnij się jutro. Jutro o piątej trzydzieści p u n k t u a l n i e .

— *Yes colonel. Very well colonel. Good night.*

Danuta MOSTWIN

Czy socjalizm jest jeszcze potrzebny?

Będąc od wielu lat londyńskim korespondentem ,,Kultury'' otrzymuję większą pocztę niż przeciętni mieszkańcy Gainsborough Road, która zresztą składa się z kilkudziesięciu domów. Prasa stanowi bazę mojej codziennej poczty i listonosz zwykle kołacze energicznie do drzwi bo nie jest w stanie przepchać wszvstkich gazet przez szparę skrzynki na listy. Dzięki temu między mną a moim głównym listonoszem (bo jest ich trzech) wywiązały się przyjazne stosunki. Codziennie rano wymieniamy poglądy nie tylko na temat pogody ale komentujemy również wydarzenia polityczne.

W dniu 8 października br. (dzień wyborów) mój listonosz, który oczywiście uważa mnie za pełnoprawnego obywatela brytyjskiego — zaryzykował delikatną kwestię: ,,myślę, że będzie pan dziś głosował tak jak należy''. ,,A na kogo należy głosować według pana?'' — zapytałem. ,,Ależ oczywiście na konserwatystów!'' — padła odpowiedź bez cienia wahania.

Radykał i lewicowiec stanął we mnie dęba. Oto mam przed sobą starego, steranego latami pracy proletariusza, który bezinteresownie namawia ludzi by głosowali na konserwatystów. W pasji chwyciłem go za rękaw. ,,Mr. Clark'' — wykrztusiłem — ,,komu pan zawdzięcza te okulary, które ma pan na nosie? Komu zawdzięcza pan te zęby, którymi pan gryzie swój chleb powszedni? Komu pan zawdzięcza, że jak pan czy ktokolwiek z pańskiej rodziny jest chory leczą pana darmo, pchają w pana co droższe lekarstwa i zastrzyki i jeszcze płacą zasiłek kiedy pan nie pracuje? Komu pan zawdzięcza rentę, która uchroni pana od głodu i poniewierki kiedy już pańskie zreumatyzowane nogi odmówią panu posłuszeństwa''?

Mr. Clark patrzył na mnie przyjaźnie i spokojnie swoimi poczciwymi niebieskimi oczyma.

— ,,Mr. Mier. (pod tym skrótem jestem znany mieszkańcom mojej uliczki) niech się pan uspokoi. To wszystko praw-

da co pan mówi, ale konserwatyści umocnili „Welfare-state" i są lepszymi administratorami niż socjaliści. Nigdy nam się tak dobrze nie powodziło jak obecnie. Proszę pana — lata głosowałem na Labour. Ale co to jest socjalizm? Socjalizm to jest dobrobyt dla wszystkich. Ci, którzy umieją robić to najlepiej winni być przy sterze".

I tak oto rozstaliśmy się owego dnia, który przyniósł trzecią z kolei klęskę wyborczą Labour Party.

Co dziś przeciętny Anglik uważa za socjalizm? Mój listonosz sądzi, że socjalizm to jest dobrobyt dla wszystkich. Paul Sweezy twierdzi, że „socjalizm to jest system, który odrzuca własność prywatną". Słuchając wypowiedzi Gaitskella trudno oprzeć się wrażeniu, iż w jego opinii socjalizm jest alternatywną metodą zarządzania gospodarką kapitalistyczną. Bevan jest za nacjonalizacją, ale prawe skrzydło Partii z Gaitskellem na czele ogranicza w tej materii swój program jedynie do stali.

Upaństwowienie przemysłów nie jest czarodziejską formułą i bynajmniej nie gwarantuje socjalizmu. W Anglii, w znacjonalizowanych przemysłach, robotnicy ani nie mają się lepiej — ani ich stosunki z pracodawcą nie układają się korzystniej, ani nie mają większych praw czy przywilejów.

Naiwna i prostacka „dialektyka" głosząca, że wszystko co prywatne jest złe, a co znacjonalizowane jest dobre — nie wytrzymała próby życia.

Osobiście nie ulega dla mnie wątpliwości że lęk przed nacjonalizacją jest lękiem przed „autorytatywnym socjalizmem", przed dyktaturą menadżerów i bossów partyjnych. Socjalizm nie może być równocześnie socjalizmem i grobem wolności demokratycznych tak jak w Sowietach. Jak do tej pory, wszędzie tam gdzie zlikwidowano całkowicie własność prywatną — zlikwidowano również całkowicie demokrację. Jeżeli takie mają być konsekwencje nacjonalizacji, trudno się dziwić, że nacjonalizacji nikt nie chce.

W mojej opinii brytyjska Labour Party ma przed sobą trzy możliwości: 1. Przekształcić się w postępową partię, akceptującą system kapitalistyczny. — 2. Powrócić do klasycznego socjalizmu. — 3. Podjąć rewizję anachronicznych tez socjalistycznych i opracować program socjalistyczny wolny od dogmatyki i ortodoksji.

Pierwsze rozwiązanie oznaczałoby kapitulację i przyznanie, że Labour Party spełniła swoje zadanie i winna zniknąć ze sceny, podobnie jak zniknęła ze sceny w roku 1918 partia liberalna.

Rozwiązanie drugie — gdyby miało być przeprowadzone po myśli lewego skrzydła partii — musiałoby — w moim przekonaniu — doprowadzić Wielką Brytanię do neutralności. Albowiem w gruncie rzeczy program lewego skrzydła w odniesieniu do broni atomowych, baz itd. — sprowadza się do tezy, iż Wielka Brytania swoje stosunki z Rosją i z Ameryką winna oprzeć na Karcie ONZ odmawiając udziału w sojuszu skiero-

wanym czy to przeciwko Rosji czy przeciwko Stanom Zjednoczonym. Nacjonalizacja produkcji na wewnątrz i rozbrojenie na zewnątrz — to jest program, który można dyskutować na łamach lewicowych tygodników, ale w imię tego programu nikt w Anglii wyborów nie wygra.

Są i tacy socjaliści, którzy twierdzą, że w sprawie zasad i kanonów nie może być żadnego kompromisu. Celem Labour Party — powiadają ci ortodoksyjni apostołowie — jest głosić socjalizm, a nie wygrywać wybory. Ale czy socjalizm ma być ewangelią zamierającego kościoła?

Rzeczą najbardziej zdumiewającą w owych trzech kolejnych klęskach wyborczych Labour Party — jest fakt, że owej klęsce towarzyszył znaczny rozwój przemysłu brytyjskiego i poszechny wzrost „prosperity". Czy należy z tego wnioskować, że wzrost uprzemysłowienia i powszechnej zamożności niosą z sobą niejako automatycznie spadek głosów socjalistycznych? Czy socjalizm jest ideologią tylko dla ubogich?

Tego fenomenu nie można wyjaśnić na drodze czysto politycznej analizy. Ale pewne światło na tę kardynalną sprawę rzucić mogą badania socjologiczne. Opieram się na cyfrach przytoczonych przez H.A. Turnera w jego studium pt. „Labour's diminishing Vote".

Między rokiem 1945 a 1950 — podobnie zresztą w okresie 1951 a 1955 — Labour Party utraciła dwa procent z ogólnej ilości głosów. Identyczny spadek zaznaczył się pomiędzy rokiem 1955 a 1959. Można więc przyjąć, że Labour Party traci stale pół procent głosów rocznie.

Ciągłość i niejako regularność tego procesu wskazywałyby, że przyczyny owego spadku są raczej strukturalno-socjalne, a nie polityczne. Rewolucja przemysłowa w Anglii osiągnęła fazę, w której robotników fizycznych z każdym kwartałem jest coraz mniej, a funkcjonariuszy „w białych kołnierzykach" jest coraz więcej. Rewolucja technologiczna niesie z sobą zapowiedź powolnego zanikania proletariatu.

Jeszcze w roku 1951, około dwie trzecie pracującej ludności W. Brytanii stanowili fizyczni robotnicy. Na przestrzeni ostatnich lat ośmiu cyfra robotników fizycznych spadła o ca. pół miliona, a natomiast cyfra funkcjonariuszy „w białych kołnierzykach" wzrosła o milion. Nic tak nie charakteryzuje przemian, jakie niesie z sobą rewolucja technologiczna jak owe dwie cyfry przytoczone powyżej.

Jak słusznie zauważa H.A. Turner — w oparciu o powyższe dane należy przyjąć, iż około pół procent cyfry robotników fizycznych awansuje rocznie do kategorii pracowników „białokołnierzykowych". I owe pół procent stanowi roczną czystą stratę głosów Labour Party.

Oczywiście nie wszyscy robotnicy z chwilą, gdy przestają pracować fizycznie odchodzą od Labour Party. Nie wszyscy, ale przytłaczająca większość i to jest decydujące.

W Anglii dwa największe związki zawodowe pracowników nie-fizycznych, a mianowicie nauczycieli i funkcjonariuszów samorządowych nie należą do TUC. Inne związki pracowników nie-fizycznych choć należą do TUC odmówiły podporządkowania się Labour Party. Innymi słowy jak ktoś z dniówki przechodzi na pensję tegoż dnia przestaje być robotnikiem i proletariuszem. To nie jest sprawa wysokości zarobków, ale dwóch różnych statusów socjalnych.

Ten proces nie ogranicza się bynajmniej do W. Brytanii. W krajach skandynawskich pracownicy nie-fizyczni, których cyfra stale wzrasta, organizują swoje własne związki zawodowe. Związki te nie popierają polityki związków zawodowych robotników fizycznych. Podobną ewolucję obserwujemy również w Australii.

Jeżeli powyższa analiza jest słuszna, należy wyciągnąć z niej odpowiednie wnioski. Wymienione powyżej rozwiązanie drugie (powrót do klasycznego socjalizmu) nie wydaje się realne, ponieważ proletariat stanowi w Anglii zmniejszającą się warstwę społeczną. Innymi słowy, partia socjalistyczna w krajach zaawansowanej technologicznej rewolucji — nie może być w dawnym tego słowa znaczeniu partią robotniczą, ponieważ klasa robotnicza zanika. Ci, którzy mówią o renesansie partii liberalnej w Anglii mają na myśli ów stały odpływ z klasy robotniczej do ,,lower middle class'' czyli do klasy pracowników ,,białokołnierzykowych''.

Jeżeli przyjąć nacjonalizację przemysłu za kardynalny postulat klasycznego socjalizmu — to wypada stwierdzić, że trzech robotników na pięciu wypowiada się w Anglii przeciwko dalszej nacjonalizacji.

Oczywiście można stanąć na stanowisku, że nacjonalizacja jest ideologiczną koniecznością i wskutek tego trzeba dla tej idei pozyskać wyborców. Podtrzymując jednak uporczywie ten pogląd ryzykuje się, iż inna partia polityczna rozwiąże ten problem szybciej i inaczej. Bo choć uspołecznienie środków produkcji jest ideą drogą sercu każdego socjalisty — to jednak idea ta nie jest celem sama w sobie, a jedynie środkiem do celu. Celem jest likwidacja wyzysku człowieka przez człowieka i ustanowienie sprawiedliwego ładu społecznego.

Osobiście nie sądzę by Labour Party głosząc klasyczny, niezreformowany program wygrała kiedykolwiek wybory przytłaczającą większością, a tylko bardzo poważna przewaga mandatów w Izbie Gmin dałaby jej tytuł i możliwości przeprowadzenia pokojowej socjalistycznej rewolucji. Wydaje mi się również, że jeżeli Labour Party nie podda swego programu daleko idącej rewizji — następne wybory mogłaby wygrać tylko wówczas gdyby W. Brytanię nawiedził powszechny kryzys gospodarczy. Jeżeli kryzysu nie będzie, a Labour Party wystąpi ponownie z dawnym programem — następne wybory przegra identycznie, jak przegrała w trzech uprzednich terminach.

Rewizja musi sięgnąć bardzo głęboko. W moim przekonaniu socjaliści muszą pogodzić się z faktem, że primo — Anglia nigdy nie będzie w pełnym tych słów znaczeniu ,,państwem socjalistycznym'' i secundo — winni uznać system kapitalistyczny za czynnik istotny. Wbrew przewidywaniom marksistów kapitalizm wykazuje wielką żywotność i — jak postaram się to jeszcze wykazać — rewolucja technologiczna dodała mu olbrzymiego bodźca. Potężne partie socjalistyczne w krajach technologicznej rewolucji są właśnie dla tego nieodzownie potrzebne ponieważ kapitalizm w tych państwach zbliża się do ,,złotego okresu''.

Należy wyjść z prostego i logicznego rozpoznania. Przeciętny człowiek w Anglii ceni sobie wszystkie korzyści jakie przyniósł mu socjalizm, ale nie pragnie ustroju socjalistycznego. Boi się nacjonalizacji, etatyzacji, biurokracji, niedołęstwa i socjalistycznego ,,surowego życia''. Żaden Anglik nie pragnie by ustrój jego kraju w czymkolwiek przypominał system jaki obserwujemy w państwach tzw. obozu socjalistycznego. Anglicy nie mają żadnych ideologicznych miłości i kochają jedynie ,,good living'' tzn. dobre życie. Są do szpiku kości empirykami i jak dotąd źle na tym nie wychodzili.

Wydaje mi się, że ,,ewangeliczny'' okres socjalizmu dobiegł kresu. Ludzi nie można już dziś nawracać n a socjalizm tylko trzeba im pomóc w konkretnej sytuacji. Konkretną sytuacją jest system kapitalistyczny. Rewolucja technologiczna otwiera przed kapitalizmem nowe, i powiedziałbym groźne, perspektywy. Wszystkie wielkie filmy brytyjskie prowadzą kosztowne i na olbrzymią skalę zakrojone badania naukowe. Owe badawcze laboratoria stanowią kuźnię postępu technologicznej rewolucji. Rząd udziela bardzo wydatnej pomocy finansowej tym przedsiębiorstwom, z których fabryk wychodzą pociski balistyczne, najnowsze typy samolotów, a jutro wyjdą ,,sputniki'' i statki międzyplanetarne. Jakimi wskazaniami kieruje się rząd udzielając pomocy finansowej na badania technologiczne? Przede wszystkim bezpieczeństwem. Rząd udziela pomocy firmom wielkim, bogatym — pod każdym względem pewnym i godnym zaufania. Innymi słowy, rozwój rewolucji technologicznej idzie po klasycznych liniach kapitalizmu, to znaczy, że bogaci stają się jeszcze bogatsi, a biedni coraz bardziej karleją w cieniu nowej technologicznej magnaterii.

Andrew Shonfield, ekonomiczny redaktor ,,The Observer'' — omawiając ten problem w jednym ze swych artykułów — wysunął pogląd, iż niezmierne uprzywilejowanie takich koncernów jak Rolls-Royce czy ICI powoduje akumulację kapitału w rękach nielicznej grupy przedsiębiorstw — co stanowić będzie charakterystyczną cechę wielko-kapitalistycznej gospodarki w okresie zaawansowanej technologicznie rewolucji. Trzeba pamiętać, że tylko ten kto jest w możności prowadzić ,,research''

na wielką skalę ma szanse utrzymania się na rynku. Badania technologiczne w tych wymiarach prowadzić mogą tylko przedsiębiorstwa niezmiernie bogate i z kolei tylko te przedsiębiorstwa mogą liczyć na pomoc ze strony rządu. Rewolucja technologiczna uprzywilejowuje i wzbogaca wielkich kapitalistów nie stwarzając analogicznej szansy dla ,,średniaków''.

Na te wszystkie zagadnienia socjalizm obecnie nie ma praktycznej odpowiedzi. Klasyczny socjalista oburzy się w tym miejscu i powie: ,,jak to nie mamy odpowiedzi? Znacjonalizować Rolls-Royce'a i jemu podobnych''.

Otóż w mojej opinii to nie jest żadna odpowiedź i żadne rozwiązanie. Jeżeli w najbliższym okresie socjalizm angielski zrezygnuje z realnej polityki na rzecz, w wielu wypadkach, anachronicznej ideologii — zostanie wyparty ze sceny przez nową partię — powiedzmy przez liberałów, którzy nie obciążeni ideologią wysuną śmiało konkretne i realne propozycje.

I tak oto zbliżamy się do sedna problemu, któremu poświęcony jest ten artykuł. Socjalizm jest więźniem własnej dotychczasowej ideologii. Jakiż więzień może prowadzić dobrą politykę?

Wierność ideologii nie może oznaczać rezygnacji z swobodnego krytycznego rozumowania. Jeżeli nacjonalizacja jest nierealna nie znaczy to, że należy odrzucić wszystkie inne środki i ograniczyć się do nawracania ludzi na socjalizm. W gruncie rzeczy jednak klasycznym socjalistom więcej zależy na czystości doktryny niż na realnej polityce. W moim przekonaniu jest rzeczą istotniejszą przeciwstawić się kapitalizmowi niż dochować wierności takiej czy innej tezie — jakże często niepowiązanej z współczesnym życiem i warunkami.

Problem w gruncie rzeczy sprowadza się do następującej alternatywy: albo socjaliści pozostaną nadal niezłomni ignorując stały odpływ wyborców — albo uznać muszą, iż misją partii socjalistycznej jest nie tyle i nie tylko likwidacja kapitalizmu lecz jego humanizacja. Innymi słowy program partii socjalistycznej winien oferować alternatywny, społecznie sprawiedliwszy system zarządzania gospodarką kapitalistyczną.

Zdaję sobie sprawę, że w tym miejscu padną zarzuty: ,,namawia do kapitulacji, a nawet do zdrady. Wylazł z niego burżuazyjny liberał, którym był przez całe życie''.

Nie wiem co jest kapitulacją — czy zrezygnować z realnej polityki na rzecz ideologicznego misjonarstwa — czy przykroić program do możliwości i konkretnych warunków.

Kapitalizmu w krajach anglosaskich nikt teraz nie obali i nikt nie zlikwiduję nie dlatego, iż kapitalizm jest nie do zlikwidowania, lecz dlatego, że w tych krajach nikt tego nie chce. Robert McKenzie — autor podstawowej książki ,,British Political Parties'' — na łamach ,,The Observer'' wyraził niedawno pogląd, że połowa głosów jaka padła w ostatnich wyborach na konserwatystów to były głosy robotnicze. To jest

oczywiste — konserwatyści nie mogliby inną drogą zdobyć stu-mandatowej większości w parlamencie.

Co to oznacza? Oznacza to, że pewne doktryny socjalistyczne przeżyły się i nie odpowiadają już dłużej pragnieniom nie tylko klasy robotniczej, ale świata pracy w ogólności. Jak już wspomniałem, badania wykazały, że trzech robotników na pięciu jest przeciwnych nacjonalizacji. Jestem przekonany, że gdyby kierownictwo Labour Party na kilka miesięcy przed październikiem nie wysuwało nacjonalizacji jako czołowego hasła — wynik wyborów byłby inny. Być może Labour Party nie odniosłaby zwycięstwa, ale jej klęska nie byłaby tak druzgocąca.

Socjalizm się nie przeżył, ale przeżyły się pewne jego doktryny, dogmaty i szkoła myślenia. W epoce zaawansowanej rewolucji technologicznej — socjalizm i dynamiczna partia socjalistyczna są bardziej potrzebne niż były potrzebne w przeszłości.

Celem socjalizmu jest likwidacja wyzysku i sprawiedliwy ład społeczny. Do realizacji tego celu mogą prowadzić różne drogi. I tak zamiast marzyć z Cezarem Baryką o szklanych domach można kapitalistyczny przemysł wstawić w szklany dom publicznej kontroli i poddać go wymogom społecznego interesu. Obserwując od wielu lat życie w Anglii podzielam pogląd tych znawców przedmiotu, którzy sądzą, iż nacjonalizacja w praktyce nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Tym, którzy twierdzą, że socjalizm stoi i upada postulatem uspołecznienia środków produkcji należy odpowiedzieć, że w Anglii mimo, iż socjaliści przegrywają wybory — ochrony przed wyzyskiem, sprawiedliwości społecznej i powszechnego dobrobytu jest stokroć razy więcej niż w Rosji, gdzie upaństwowiono wszystko od A do Z.

Na przykładzie krajów obozu państw „socjalistycznych" widać najwyraziściej, że de facto nie ma uniwersalnej recepty na socjalizm. Totalna nacjonalizacja prowadzi w praktyce do niekontrolowanych autorytatywnych rządów monopartyjnych, a nie do rzetelnego ładu socjalistycznego. Pełna nacjonalizacja nigdzie dotąd nie doprowadziła do socjalizmu. Jakie są podstawy do wnioskowania, że w Anglii miałoby być inaczej?

Może się to na pierwszy rzut oka wydać paradoksem — sądzę jednak, że istnieją pewne analogie pomiędzy sytuacjami demokratycznego socjalizmu po obu stronach żelaznej kurtyny. Kapitalizmu na Zachodzie nikt nie obali bez interwencji z zewnątrz i komunizmu na Wschodzie nikt nie obali bez interwencji z zewnątrz. Wniosek stąd, że program socjalistyczny w kraju takim, jak Anglia winien dążyć do humanizacji systemu kapitalistycznego, a w kraju takim jak Polska do humanizacji ustroju komunistycznego. Sprawiedliwość społeczną osiągnąć można różnymi drogami. Za sto lat Polska i Anglia mogą być krajami o niezmiernie wysokiej kulturze socjalnej, mimo,

że ustrojowo będą się zapewne poważnie od siebie różnić. W Polsce winien być odbudowany sektor gospodarki prywatnej, ale nie może być mowy o uprywatnieniu wielkiego przemysłu. Nikt również „nie odrobi" reformy rolnej. W Anglii natomiast, droga reform socjalistycznych pójdzie z całą pewnością nie poprzez dalszą nacjonalizację, lecz poprzez rozbudowę publicznej kontroli nad przemysłem. Tego rodzaju zasadniczych różnic można zacytować dziesiątki. Czego one dowodzą? Dowodzą one, że socjalizm demokratyczny jeżeli zechce odzyskać swą dynamikę będzie musiał „Gleichschaltung" komunizmu przeciwstawić różnorodność metod i środków. Bo socjalizm w przeciwieństwie do komunizmu nie jest w istocie swej systemem ekonomii tylko systemem demokracji. Tak jak dwie demokracje — angielska i amerykańska — różnią się od siebie często zasadniczo — podobnie demokratyczny socjalizm angielski będzie zawsze czymś różnym od socjalizmu polskiego czy amerykańskiego.

Każdego obserwatora sceny brytyjskiej musi uderzyć fakt dysproporcji jaka zachodzi pomiędzy formatywnym wpływem socjalizmu, a jakże skromnymi osiągnięciami wyborczymi Labour Party. „Welfare State", który dziś wszyscy uważają za rzecz normalną i zwyczajną — rodził się na naszych oczach. Sukces temu modelowi zapewnić mogła tylko wysoka kultura socjalna, dyscyplina i poczucie odpowiedzialności. Weźmy dla przykładu taki istotny szczegół modelu brytyjskiego, jak publiczną służbę zdrowia. W Polsce służba zdrowia jest również — jak wiemy — uspołeczniona, lecz niestety jej funkcjonowanie pozostawia bardzo wiele do życzenia. Obawiam się, że większość lekarzy brytyjskich ubezpieczalni społecznych głosuje na konserwatystów. Ale cóż z tego, w praktyce, w wykonywaniu swych zadań społecznych ludzie ci są prawdziwymi socjalistami i tylko dzięki temu ta socjalistyczna instytucja tak doskonale funkcjonuje. Socjalistą nie zawsze jest ten, kto ma bilet partyjny w kieszeni. Socjalistą jest przede wszystkim ten, kto ideał społeczny socjalizmu wciela w życie.

Można by zaryzykować twierdzenie, że im pewne zasadnicze idee socjalizmu bardziej się upowszechniają — tym partie socjalistyczne tracą na politycznym wpływie i znaczeniu. Inne partie przejmują socjalistyczne koncepcje i realizują je pod własną firmą. Dlaczego tak się dzieje?

Wydaje mi się, że w kraju wysoko zaawansowanej rewolucji technologicznej trzeba by zacząć od zerwania z dziewiętnastowiecznym tradycjonalizmem. Labour Party musi przestać być partią robotniczą i przekształcić się w partię pracującej „lower middle class". Oznacza to, że socjalizm winien się „odproletaryzować". W Anglii na pierwszy plan wysuwa się nowy „stan trzeci", który wchłania w siebie klasę robotniczą. Tym którzy powiedzą, że doradzam „uburżuazyjnienie" socjalizmu odpowiadam, że zmieniły się tylko role. Nie robotnicy,

lecz „stan trzeci" będzie „proletariatem" epoki technologicznej.

Tradycjonalistom w Labour Party będzie niezmiernie trudno zerwać z dawną szkołą myślenia. Ale jeśli tego nie dokonają, po rząd dusz technologicznego „stanu trzeciego" sięgnie inna partia, która będzie musiała się wyłonić.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

„MY" I „ONI"

Pisma krajowe typu „Polityki" czy „Trybuny Ludu" — ilekroć wymieniają słowo „emigracja" — dodają zawsze określenie „reakcyjna". I tak np. „Polityka" atakując niedawno Kongres Wolności Kultury, Fundację Forda itd. — pisała o „powiązaniach polskiej reakcyjnej emigracji" z tymi instytucjami.

Czy my, emigranci polscy, możemy być nie reakcyjni? Zasadniczo nie. Czy istnieje niereakcyjna emigracja rosyjska ze Związku Sowieckiego? Nie. Tak jak nie istnieje komunistyczna doktryna koegzystencji — tak nie istnieje również komunistyczne pojęcie emigracji. Świat dzieli się bowiem na wiernych i niewiernych — na obóz rewolucji i na obóz reakcji. Teoretycznie biorąc Polak, Czech czy Rosjanin może emigrować tylko do krajów obozu „socjalistycznego". Ale w praktyce nawet i to nie jest możliwe.

W ustroju komunistycznym nie ma empirii tylko jest „teologia". Kanony głoszą, że w państwie „socjalistycznym" praca i chleb są dla wszystkich. Kto pracuje ten je, a kto je ten nie ma powodu emigrować.

To wszystko gra w dwóch wypadkach. Albo jeżeli dane państwo dysponuje gigantycznymi obszarami jak Rosja — albo w wypadku niskiego stopnia rozwoju jak w Polsce.

Wyobraźmy sobie jednak, że Amerykanie wzruszyli się do tego stopnia brakiem mięsa w Polsce, iż udzielili pożyczki idącej w grube setki milionów dolarów na modernizację naszego rolnictwa. Cóżby się wówczas działo? Gdyby Amerykanie w swojej szczodrobliwości do tych setek milionów dolarów dodali jeszcze armię swoich ekspertów — to przypuszczać należy, że polskie rolnictwo przemieniłoby się wreszcie w przemysł. Powstałyby wielko-obszarowe gospodarstwa specjalistyczne, z których jedne produkowałyby pszenicę — inne wysoko gatunkowe kartofle, a jeszcze inne sławetną kukurydzę dopasowaną do polskiego klimatu. Równocześnie pojawiłyby się jak grzyby po deszczu farmy hodowlane,

specjalizujące się w indykach, w kurach, w świniach bekonowych itd. Wszędzie kwitłaby mechanizacja, standaryzacja, specjalizacja, a koń z pługiem wylądowałby w muzeum prehistorii w Warszawie. Polska wieś sielska i anielska zniknęłaby z widowni, ale pojawiłyby się natychmiast inne problemy. Przy mechanizacji rolnictwa na skalę amerykańską sześć a może osiem milionów ludzi na wsi nie miałoby co robić. Przemysł nie wchłonąłby takiej nadwyżki. I wówczas co?

Z Anglii odpływa co roku potężna fala emigracyjna i dzięki temu ci co pozostają korzystają z wysokiej stopy życiowej. Bo Anglia to nie Chiny ani Rosja tylko mała wyspa, na której gniecie się 60 milionów ludzi. Jeżeli obecny przyrost naturalny w Polsce będzie się utrzymywał — problem emigracji będzie musiał wcześniej lub później znaleźć swe rozwiązanie.

Pogląd, że emigracja „ex definicio" jest czymś złym, wiarołomnym i hańbiącym wykopał przepaść polityczną i historyczną między nami a nimi. Mamy dwie wersje historyczne, pamiętnikarskie i literackie, dziejów po-wrześniowych. Według obecnie obowiązującej krajowej wykładni, emigracja wojskowa nie od samego początku była czymś złym. Narvik, Tobruk, to wszystko jest jeszcze w porządku. Sprawa zaczyna się komplikować od najazdu Hitlera na Rosję. Wówczas popełniliśmy serię błędów, które z godnych lauru żołnierzy przemieniły nas w reakcyjną emigrację. Kiedy się to właściwie stało i kto tego dokonał? Na to kardynalne dla nas pytanie odpowiada lapidarnie i zwięźle St. Strumph-Wojtkiewicz w swych pamiętnikach noszących dramatyczny tytuł: „Wbrew rozkazowi": „Anders i Okulicki pogrzebali rosyjską politykę Sikorskiego". Wprawdzie autor nie pisze wprost, że pogrzebaliśmy również i Sikorskiego — ale stwarza umiejętnie duże pole do domysłów na ten temat.

Politycy, wojskowi, dziennikarze, którzy powrócili do Kraju bezpośrednio po zakończeniu wojny, rozbudowali „rosyjską" legendę Sikorskiego pragnąc sobie stworzyć alibi i legitymację. Budulcem legend nigdy nie są fakty historyczne tylko zawsze subiektywne wspomnienia i niemniej subiektywne pamiętniki. Kto dziś sprawdzi co gen. Sikorski mówił p. Strumph-Wojtkiewiczowi? Tak się składało, że autor „Wbrew rozkazowi" — rozmawiał z ważnymi osobistościami londyńskimi zawsze bez świadków. Gen. Sosnkowski powiedział p. Strumph-Wojskiewiczowi, że... „Polska przepadła". Ale świadków przy tym nie było. W usta Józefa Czapskiego, który w Drugim Korpusie był moim bezpośrednim przełożonym, p. Strumph wkłada następujące słowa: „(Anders) to człowiek mściwy, podstępny, straszny!" Według wyznań p. Strumpha — Czapski uratował mu formalnie życie, gdyż oświadczył: „być może Anders zwróci się do ciebie z propozycją pojednania. Nie chciałbym abyś marnie zginął. On cię ucałuje, awansuje, zabierze z sobą do Włoch, a tam udowodni ci, żeś zamordował własną babkę i zamorduje, ale ciebie".

Nie mam zamiaru ośmieszać się polemizując z tego rodzaju bredniami. Panu Strumphowi chciałoby się tylko powiedzieć: „kto by się tam łakomił na waszmości nędzne życie". Powyższą pankinadę przytaczam tylko jako curiosum. Ale jaką mamy gwarancję, że równie silnie nie ponosi autora fantazja przy relacjonowaniu innych rozmów „w cztery oczy".

Niemniej, Sikorskiego wyświęcono na patrona pro-rosyjskiej orientacji. W ramach tej notatki trudno dyskutować rosyjską politykę Generała, ale

osobiście pewien jestem, że patronem pro-rosyjskiego obozu Sikorski mógł zostać tylko dlatego, że zginął w pierwszej fazie dramatu. Nie należałem nigdy do entuzjastów Sikorskiego, ale to nie był człowiek na miarę politycznych krawców à la p. Strumph-Wojtkiewicz. Z całą pewnością — nie. W mundurze „marszałkowskim" skrojonym dla Roli-Żymierskiego — Sikorski byłby się nie pomieścił. Nie wyobrażam sobie go również w roli podwładnego agenta Bieruta. Być może. gdyby żył, rozmawiałby z Gomułką — być może po Październiku wróciłby do Kraju — ale nie wcześniej.

Z punktu widzenia nagiej polityki śmierć Sikorskiego była czystym zyskiem dla Sowietów. Można było wówczas Polaków podzielić na tych niezłomnych i „reakcyjnych" skupionych wokół gen. Andersa, i na „postępowych", którzy podporządkowali się agenturze Bieruta.

Jedno jest pewne, że owo rozszczepienie sprawy polskiej na „reakcję" i „rewolucję" — z wyłączeniem jakiegoś ugrupowania centrowego — leżało w bezpośrednim interesie Moskwy. W danym momencie groźny był nie biały generał, lecz generał-demokrata, przeciwnik sanacji, polityk o pewnej pozycji międzynarodowej. Śmierć Sikorskiego zaoszczędziła Moskwie trudnych dziś do przewidzenia komplikacji. A tak odbyło się wszystko gładko i „po planu". Anders zły i biały — Bierut czerwony i dobry. Stalin uwielbiał takie „clear cut" schematy.

Gdy za pół wieku historyk swym szkiełkiem i okiem zacznie badać publikowane obecnie pamiętniki i relacje — łatwo będą mogły ujść jego uwagi momenty najistotniejsze. Każdy pamiętnik, czy to napisany na emigracji czy w Kraju, jest racjonalizacją powziętej decyzji. Autor daje przebieg, obraz i analizę sytuacji i w oparciu o ten materiał stara się udowodnić sobie samemu i swoim czytelnikom, iż jego ocena i w konsekwencji decyzja były słuszne. Decyzja oznaczała albo powrót do kraju lub przeciwnie — pozostanie na emigracji.

Rozmawiałem z bardzo wielu moimi kolegami, którzy w owym czasie — pełni niepewności i niepokoju decydowali się na powrót. W ostatnim wojskowym obozie w Anglii niemal połowa oficerów z mojego baraku wróciła do Kraju. Można przyjąć za pewnik, że w dziewięćdziesięciu procentach decydowały względy osobiste. I trudno się temu dziwić. Jeżeli ktoś miał w Kraju żonę i dzieci, które kochał, decydował się na powrót bez względu na ryzyko.

Ale polski inteligent nie może — jak zwyczajny Anglik czy Francuz — po skończonej wojnie wracać do żony i do dzieci. My wszystko robimy w imię „misji", w imię „Sprawy". Ci oficerowie, którzy sprowadzili sobie rodziny z Kraju do Włoch mieszkali w obozie w kwaterach rodzinnych i powodziło im się — ku naszej zazdrości — niezgorzej. Stołowali się z żonami w kasynie, popołudniu na kawę i na ciastka jeździli do Nantwich, a wieczorem kolacyjka i późnonocny bridge. Żyć nie umierać. Wokół powojenna Anglia zakasywała rękawy, a my dyskutowaliśmy tragiczne tematy opalając się na słońcu.

Oficerowie z rodzinnych kwater byli tak niezłomni, bezkompromisowi, nieugięci i stalowi, że zadowoliliby swą postawą samego Zdzisława Stahla. Grzmieli, że jesteśmy tylko urlopowani z armii polskiej, że nikt nas nie zwolnił z przysięgi, że nieuchronna wojna z Rosją wybuchnie lada godzina, że gdy zwycięscy wrócimy to porachujemy się z dezerterami, którzy teraz opuszczają sztandary i przechodzą do obozu wroga itd. itp.

Mój kolega barakowy i krajan por. Górszczyk (z Łososiny) wzdychał po nocach, świeczkę palił i odczytywał listy od swojej matki. Górszczyk był kolejarzem, trochę się jąkał, w zahukanej głowie miał pół-inteligencki groch z kapustą, co nie polepszało jego osobistej sytuacji.

— Wie pan — co mi powiedział ten gruby major — wyjąkał kiedyś Górszczyk po południu gdy pusto było w baraku. — Powiedział mi, że teraz nie ma żadnych matek, jest tylko matka-Ojczyzna, którą wyzwolić możemy tylko my, przebywający na wolności. Mówię panu — oni tu robią ze mnie zdrajcę, dezertera i agenta. Po prostu nie wiem co na to wszystko odpowiedzieć.

Głos mu się łamał. Trzeba jeszcze dodać, że ów por. Górszczyk był najbardziej andersowskim z wszystkich oficerów jakich znałem w II Korpusie. Było w nim coś z tępego lecz wzorowego ucznia, który wykuwa na pamięć każdą lekcję i wszystko co mówi profesor bierze dosłownie. I teraz taki dramat.

Postanowiłem dorobić mu „ideologię" — ponieważ por. Górszczyk w przeciwieństwie do rotmistrza Strumph-Wojtkiewicza nie umiałby sam tego zrobić. W przeciągu kilku dni przekonałem go, że odgruzowanie Warszawy ważniejsze jest od wszystkich biuletynów oświatowych, że po powrocie powinien osiąść z rodziną w Szczecinie i pracować nad umocnieniem polskości na wybrzeżu, że prawdziwa Polska leży nad Wisłą itd.

Górszczyk dosłownie wchłaniał każdy nowy slogan, który przywracał jego prywatnej decyzji sens ideologiczny. Wieczorem gardłował w kasynie o odgruzowaniu Warszawy, o umacnianiu polskości na wybrzeżu, o odbudowie z ruin itd.

W gruncie rzeczy my pierwsi „uideologiczniliśmy" sprawę powrotu. Jeżeli taki Górszczyk i setki jemu podobnych decydowali się z osobistych względów na powrót — musieli równocześnie dokonać re-orientacji politycznej, bo w ramach naszej orientacji powrót był zdradą.

W Kraju nastawienie tych ludzi pozostało niechętne emigracji, bo któż mile wspomina społeczność, z której został wyklęty. Toteż najnamiętniejsi „emigracjożercy" rekrutują się w Kraju z byłych emigrantów. W sumie, w znacznym stopniu my sami przyczyniliśmy się do powstania takich „Londyniszcz" jak pamiętniki p. Strumph-Wojtkiewicza.

Przyszłemu historykowi grzebiącemu się w pamiętnikach i relacjach naszej epoki trudno będzie odkryć, że w czterystustronicowych wspomnieniach p. Strumph-Wojtkiewicza kluczowe zdanie brzmi następująco: „po paru dniach witałem się z *żoną, córką, siostrą* i *matką*". To jest baza, a cały tom jest ideologiczną nadbudową.

PIERWIASTEK KOBIECY

Harald Laeuen (pochodzi z Pomorza) ogłosił w Niemczech Zachodnich, gdzie się osiedlił, interesującą książkę pt. „Polnische Tragoedie". Autor słusznie podkreśla, że w zrozumieniu Polaków i polskości ważniejszą rolę odgrywa znajomość historii polskiej niż języka polskiego. Laeuen niewątpliwie zna zarówno nasz język jak i historię, ale rozumie nas tylko do pewnego stopnia i do pewnej granicy.

Lecz wpierw mały margines. Współczesny świat zaludniają setki tysięcy ludzi z głębokim, emocjonalnym poczuciem krzywdy. Z tej rzeszy skrzywdzonych, ci którzy są ludźmi wykształconymi, usiłują swój osobisty dramat zracjonalizować poprzez uogólnienie i uhistorycznienie. Krzywda ich była fragmentem kataklizmu dziejowego i rewanż byłby możliwy tylko w skali historycznej. Byli więźniowie łagrów na Kołymie nie mogą marzyć o osobistej zemście na swych prześladowcach. Jest więc zrozumiałe, że swoje osobiste zaangażowanie przesuwają na płaszczyznę polityczną, narodową, ideologiczną. Znam ludzi bardzo światłych i wykształconych, którzy gdy padnie słowo Rosja przemieniają się w tępych, źle poinformowanych nienawistników. Ci ludzie nie mogą być dobrze poinformowani, bo być poinformowanym to znaczy nie tylko wiedzieć, ale i krytycznie analizować. Podstawą dobrej analizy jest obiektywizm, którego antytezą jest nienawistne zaangażowanie. Nie winię ludzi tej kategorii, bo ich rozumiem. Prawdopodobnie gdybym kilka lat spędził w łagrze czy w sowieckim więzieniu byłbym dziś podobnie uformowany jak i oni. Niemniej gdybym był kierownikiem takiego czy innego instytutu badań spraw sowieckich — nie przyjąłbym do grona moich współpracowników ani jednego byłego komunisty, ani jednego byłego łagiernika czy byłego więźnia sowieckiego. Ci ludzie wyjechali z Rosji 18 lat temu więc jako informatorzy nie przedstawiają żadnej wartości. Pozostali jednak ludźmi do głębi uprzedzonymi, a ich sądy są niemal z reguły stronnicze i wypaczone. To samo dotyczy byłych więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych. Każda z ofiar nosi w sobie wydestylowany obraz wroga-prześladowcy, co niezmiernie utrudnia obiektywne rozpoznanie.

Laeuen w swojej postawie w stosunku do Polski przypomina do złudzenia licznych Polaków, którzy Rosji nienawidzą choć w gruncie rzeczy są nią zafascynowani. Autor ,,Polnische Tragoedie'' sądzi, że Polska w przeciwieństwie do innych państw europejskich — a w szczególności w kontraście z Niemcami — zbudowana jest na pierwiastku kobiecym. Polska jest matką i domem a nie męskim państwem-zakonem, opętanym ,,misją''. Polacy nie są agresorami ani zdobywcami, a w unii z Litwą dali rzadki przykład idealnego współżycia federacyjnego z sąsiedzkim narodem. Zdaniem autora omawianej książki dawna Rzeczpospolita była tworem zbyt pięknym i zbyt harmonijnym, by mogła przetrwać w Europie hołdującej sile i militaryzmowi. Doprowadzając do rozbiorów państwa militarystyczne pogrzebały europejską tradycję ojczyzny-matki, koncepcję państwa ,,wspólnego dobra obywateli''. Czym może być państwo oparte wyłącznie na męskim pierwiastku — na sile, przemocy, agresywności — przekonaliśmy się patrząc na krwawe dzieje trzeciej Rzeszy. Europa winna się w pewnym sensie spolonizować — wrócić do tradycji państwa-ojczyzny-matki jako ideału przeciwstawnego polityce siły i agresji.

Ale cóż — żądza z jaką rzuciliśmy się na niemieckie ziemie zmieniła nasz charakter narodowy. W swojej pasji odwetu Polacy — pisze Laeuen — ,,stali się Niemcami''. Przybyszewski — gdyby żył — stwierdziłby, że owa chciwa walka o niemiecką zdobycz kosztowała Polskę jej duszę.

Laeuen w tych ustępach pełen pasji i zaangażowania uważa, że rabunek ziem niemieckich obudził w nas męską bestię, i że przede wszystkim zademonstrowaliśmy barbarzyństwo sposobem w jaki przeprowadzono

wysiedlenie ludności niemieckiej. Autor pisze z goryczą, że Polacy odpłacili Niemcom tą samą hitlerowską monetą.

Choćby przyjąć, że wysiedlenie ludności niemieckiej odbywało się brutalnie, a nawet nieludzko i tylko rękami polskimi — to przecież tylko człowiek osobiście skrzywdzony i zaangażowany może porównywać wysiedlenie Niemców z Ziem Odzyskanych z gazowymi komorami Oświęcimia i okupacją hitlerowską. Tylko człowiek zdezorientowany poczuciem własnej krzywdy może wypowiadać tak niesprawiedliwe sądy o narodzie, który w gruncie rzeczy jest mu bliski.

Niestety wątpię, by „zaangażowani" po obu stronach granicznego szlabanu zdobyli się kiedyś na obiektywizm.

SPRAWA „DZIENNIKA POLSKIEGO"

Odkładając szczegółowe omówienie tej sprawy do chwili zakończenia postępowania przed sądami brytyjskimi — pragnę zwrócić uwagę Czytelników na pewne momenty polityczne związane z tym procesem.

Co warte jest całe nasze polityczne przedstawicielstwo — Egzekutywa, Rada Narodowa, Rada Trzech itd. — jeżeli nie potrafią zapewnić normalnego funkcjonowania tak ważnej fundacji jaką niewątpliwie jest „Dziennik Polski". O tym, która ze stron w sporze ponosi winę — zadecyduje sąd. Natomiast fakt, że sprawa emigracyjnej fundacji znalazła się na wokandzie brytyjskiego sądu jest świadectwem całkowitej nieudolności politycznych władz emigracji.

Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego nie może przeszkodzić, by polskie prywatne firmy procesowały się przed sądami brytyjskimi. Ale „Dziennik Polski" nie jest prywatną firmą tylko fundacją.

Zilustrujmy rzecz przykładem. Załóżmy, że Związek Dziennikarzy otrzymał poważny zapis, z którego utworzono fundację. Fundacje rządzą się zatwierdzonym statutem oraz przepisami odnośnych ustaw brytyjskich. Przyjmijmy, że w gospodarce naszej dziennikarskiej fundacji pojawiły się jakieś nieprawidłowości. Gdyby istniało przedstawicielstwo emigracji z prawdziwego zdarzenia — tj. wyłonione z wyborów — na najbliższym posiedzeniu Rady Narodowej posypałyby się zapytania i interpelacje. Wówczas Egzekutywa na podstawie uchwały Rady zażądałaby od naszej fundacji przedłożenia ksiąg. Gdyby fundacja nie podporządkowała się temu zarządzeniu — wówczas szef Egzekutywy mógłby stwierdzić publicznie, że nie bierze odpowiedzialności za to, co dzieje się w fundacji — ponieważ uniemożliwiono mu przeprowadzenie kontroli. Nie wyobrażam sobie, by w takiej sytuacji jakakolwiek fundacja zaryzykowała skandal tych wymiarów.

Bez względu na wynik toczącego się postępowania — bez względu na to kto jest winien — sprawa „Dziennika Polskiego" kompromituje nas wobec Kraju. I w tym sensie obie strony w sporze są winne. Tym bardziej, że kryzys w „Dzienniku Polskim" nie wybuchł jednego dnia, lecz narastał przez długie miesiące.

Spory trafiają się wszędzie, ale grupa społeczna, której kierownictwo zgłasza pretensje do samorządności, legalizmu, do reprezentowania Kraju

— winna w pierwszym rzędzie roztoczyć opiekę i kontrolę nad funduszami publicznymi .i nad instytucjami fundacyjnymi. Gdybyśmy posiadali demokratyczną reprezentację społeczną świadomą swych zadań i celów — nie trzeba by było wywlekać naszych spraw przed sądami brytyjskimi. Ale „władze" emigracyjne potrzebne są tylko do redagowania memoriałów i wydawania orędzi. Całą resztę robią za nie Anglicy.

PORTRET „KULTURY" NA ŁAMACH „N. ZUERCHER ZEITUNG"

Tym naszym „przyjaciołom" w „Polityce", którzy z okazji sprawy „Dziennika Polskiego" grzebią już pośpiesznie i zapałem polską prasę emigracyjną polecam lekturę całostronnicowego artykułu (520 wierszy!) w „Neue Zuercher Zeitung", poświęconego „Kulturze" (N.Z.Z. z dnia 28.10.1959, nr 296). Równocześnie zapewniam kolegów w „Polityce", że jak dotąd „Neue Zuercher Zeitung" nie jest finansowana ani przez Free Europe, ani przez wywiad amerykański.

Lat temu trzydzieści gdy w IKC stawiałem pierwsze dziennikarskie kroki — śp. Dr Ludwik Rubel doradzał mi lekturę i studium „Neue Zuercher Zeitung" jako, jego zdaniem, najdoskonalszego pisma europejskiego. Nie wiem czy „N. Zuercher Zeitung" jest najdoskonalsze, ale nie ulega wątpliwości, że jest to świetne pismo o pozycji światowej. Nasza absolutna skromność i absolutny wstręt do reklamy uniemożliwiają mi streszczenie tego artykułu. Nie spotkałem się jednak nigdy z omówieniem tego rodzaju, poświęconym jakiemuś periodykowi krajowemu. Może w końcu jest jednak jakiś sens w wydawaniu polskiego miesięcznika zagranicą.

GEN. DE GAULLE A EUROPA WSCHODNIA

Obserwując w Polsce powrót stalinowskiej gwardii i pośpieszne likwidowanie resztek Października trudno oprzeć się wrażeniu, że Chruszczow zmierza do politycznego ujednolicenia swego imperium przed konferencją na szczycie. Widocznie doszedł do wniosku, że bardziej pojednawczy ton Ameryki i Anglii oznacza nie tylko akceptację zdobyczy rosyjskich w Europie Wschodniej, lecz również rezygnację z wszelkich akcji politycznych na rzecz narodów ujarzmionych. Jeżeli tak jest istotnie, to odprężeniu pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą towarzyszyć będzie wygaśnięcie światełek wolności w Europie Wschodniej. To jest problem do którego powrócimy w jednym z najbliższych artykułów. W tej notatce pragnę natomiast zwrócić uwagę na ważne i odważne przemówienie gen. de Gaulle'a, które powinno dać wiele do myślenia prem. Chruszczowowi. Gen. de Gaulle jest jedynym mężem stanu po tej stronie barykady, który bez osłonek i dyplomatycznych wykrętasów zdefiniował sytuację Chruszczowa w Europie Wschodniej.

Na konferencji prasowej w dniu 10 listopada br. gen. de Gaulle powiedział m.in.:

„...Jakie mogą być powody tego pierwszego objawu przemiany? Wolno nam ich się domyślać. Prawdopodobnie Rosja zapewniwszy sobie kolosalną potęgę i wiedząc, że Zachód rozporządza potęgą tego samego rodzaju zakłada, że konflikt, niezależnie od tego kto będzie jego przyczyną, spowoduje powszechne zniszczenie i że z chwilą kiedy nie można robić wojny, trzeba zająć się robieniem pokoju. Zapewne ustrój komunistyczny, realizowany w Rosji od czterdziestu dwóch lat, przeciwstawiający się wolnemu światu przez całą swoją ideologię, traci na swojej zjadliwości wskutek podziemnych nacisków ludu spragnionego tego, czego człowiek pragnie z natury: lepszego życia i wolności. Zapewne ten ustrój, którym Rosja posłużyła się aby, poprzez osoby podstawione, rządzić siłą terytoriami swoich europejskich sasiadów, zdaje sobie sprawę, że chcąc władać Polską, Czechosłowacją, Węgrami, Rumunią, Bułgarią, Albanią, Jugosławią, Prusami, Saksonią nie zdobył jednak uznania tych krajów i że gdyby ich ludność mogła wypowiedzieć się swobodnie, bez wątpienia odrzuciłaby go ogromną większością. Zapewne Rosja Sowiecka, chociaż pomogła komunizmowi usadowić się w Chinach, stwierdza dzisiaj, że nic nie potrafi zmienić jej istoty i że pozostanie Rosją, białym narodem Europy, zdobywcą części Azji, dobrze na ogół zaopatrzonym w ziemie, kopalnie, fabryki i bogactwa, w obliczu żółtych wielomilionowych mas, które składają się na Chiny, mrowiące się i żyjące w nędzy, wytrwałe i ambitne, budujące za cenę cierpień niezmierzoną potęgę i rozglądające się wokół w poszukiwaniu obszaru, na który pewnego dnia będą musiały rozciągnąć władzę. Wreszcie, a kto wie czy nie przede wszystkim, osobowość obecnego przywódcy Rosji Sowieckiej, który widzi jasno, że na najwyższym poziomie odpowiedzialności przysługa wyświadczona człowiekowi, jego losom, jego życiu w stanie pokoju, jest najbardziej realistycznym realizmem, najbardziej polityczną polityką, gra decydującą rolę w tych początkach nowej orientacji.

Z tego zespołu danych wyłoniła się idea konferencji szefów państw, które mają światową odpowiedzialność. Co do zasady takiego zjazdu, z żadnej strony nie ma sprzeciwu. Francja jest mu przychylna. Jednak właśnie dlatego, że chciałaby, aby spotkanie doprowadziło do pozytywnych rezultatów, uważa za konieczne aby nie spieszyć się do rozmów, które mogłyby być powierzchowne, to jest nie dać wyników, albo zakończyć się jakimś układem skleconym na prędce, a więc takim, którego żałowano by później, albo który stałby się później źródłem nowych nieporozumień. Precedensy każą się nam zastanowić. W naszych czasach było pięć spotkań tego rodzaju. Jedno, w Monachium, było zgubne dla sprawy pokoju. Trzy inne w Teheranie, w Jałcie, w Poczdamie, nie przysłużyły się sprawie równowagi świata. Wreszcie spotkanie w Genewie nie przyniosło bynajmniej spodziewanego odprężenia.

Gdyby chodziło po prostu o zorganizowanie wymiany wzajemnych zapewnień o dobrej woli pomiędzy czterema czy pięcioma prezydentami, o wylewne oświadczenia, przeplatane krytyką systemu partnerów, z przytoczeniem powodów, dla których żaden z uczestników nie powinien obawiać się innych, konferencja wschodnio-zachodnia na szczycie przyniosłaby mało korzyści w zestawieniu ze szkodą, jaką mógłby wyrządzić zawód.

Jeżeli, przeciwnie, uważa się, że podobny areopag powinien rozpocząć pracę nad praktycznym uregulowaniem problemów, które dotkliwie

ciążą nad światem: wyścigu zbrojeń, nędzy krajów niedorozwiniętych, *mieszania się państw do spraw innych krajów*, losów Niemiec, niebezpiecznej sytuacji na Wschodzie, w Afryce, w Azji, wtedy — przedtem nim nastąpi spotkanie muszą być spełnione trzy warunki...".

W powyższym oświadczeniu chcemy widzieć zapowiedź, że generał de Gaulle postawi sprawę Europy Wschodniej — zarówno w najbliższych rozmowach jak i na samej konferencji na szczycie — w sposób konkretny a jednocześnie realistyczny.

LONDYŃCZYK

Przegląd niemiecki

Po półtorarocznym unikaniu dyskusji, na porządek dzienny parlamentu zachodnio-niemieckiego wypłynęła debata spraw zagranicznych. Rozpoczął ją minister von Brentano wygłaszając dość zwięzłe *exposé*. Oczekiwano kilkudniowej dyskusji pełnej napięć, spowodowanych zarówno niezbyt różową dla Niemiec sytuacją międzynarodową, jak i stanowiskiem opozycji, zarzucającej Kanclerzowi nazbyt autorytatywne osobiste kierownictwo polityki zagranicznej. Poza tym — zdaniem przywódcy socjalistów, Ollenhauera — Adenauer nie tylko blokuje ogólne rozbrojenie, ale także zjednoczenie Niemiec: kto rzeczywiście pragnie rozbrojenia winien być skłonny do regionalnych porozumień i do „odprężonej" zony w Europie Środkowej; bez wypełnienia tego warunku zjednoczenie jest nieosiągalne. Rząd ze swej strony twierdzi, że nie brak pojednawczości z jego strony, lecz zdecydowanie sztywna postawa Moskwy uniemożliwia zjednoczenie.

Poważną troską wyłaniającą się z *exposé* von Brentano jest obawa osamotnienia Niemiec w ich polityce zagranicznej. Stąd zapewne pojednawczo-przyjazne zwroty w mowie ministra pod adresem Anglii, z którą w ostatnich czasach stosunki układały się nie nazbyt harmonijnie. W zagadnieniu granicy na Odrze minister stwierdził, że rząd niezmiennie stoi na dawnym stanowisku, to znaczy: tylko rząd przyszłych Zjednoczonych Niemiec może powziąć ostateczne decyzje.

W zakończeniu von Brentano ujął cele polityki zagranicznej w następujących punktach:

— Rząd Republiki Związkowej chce ze wszechmiar przyczynić się do pomyślnych wyników zbliżających się rozmów międzynarodowych.

— Rząd wytrwale będzie dążył do zjednoczenia Niemiec.

— Rząd gotów jest poprzeć zbliżające się pertraktacje rozbrojeniowe i poddać Niemcy wszelkiej kontroli, jaką przyjmą inne państwa.

— Rząd będzie domagać się zabezpieczeń dla narodu niemieckiego, ale nie w wyższym stopniu niż inni.

Po *exposé* do dyskusji zgłoszono trzydziestu mówców. Pierwszy przemawiał Ollenhauer. Z jego słów dla nas najciekawszy był może zwrot:

„SPD chce wiedzieć czy za zróżnicowanym traktowaniem Anglii i Francji kryją się polityczne zamiary i czy istnieją plany zachodnio-europejskiego bloku, osiągniętego choćby kosztem oddalenia się od Waszyngtonu i Londynu. SPD jest zadowolona z przyjaznych stosunków z Francją, ale ta przyjaźń nie oznacza pełnomocnictwa *in blanco* dla każdej polityki rządów w Bonn i w Paryżu. Nie chcemy kontynentalnej Europy za cenę odstąpienia od szerszej wspólnoty europejskiej".

W dalszej dyskusji — chwilami bardzo gorącej, opozycja z okrzykami „barania głowa", usiłowała sprowokować Kanclerza do wyjaśnień uzupełniających *exposé* ministra spraw zagranicznych. Gdy do późnego wieczoru celu tego nie osiągnięto i gdy jeszcze nie wypowiedziało się dziesięciu zapisanych do głosu mówców — wpłynał wniosek poparty przez partie rządowe i SPD o zamknięcie debaty. Wniosek przeszedł przy sprzeciwie tylko Wolnych Demokratów.



Nagła decyzja zakończenia debaty zapadła w kierownictwach partyjnych i wielu posłów zarówno opozycyjnych jak i z grupy rządowej dowiedziało się o niej *post factum*. Z tego powodu „Prezydium SPD na najbliższym zebraniu frakcji parlamentarnej z pewnością usłyszy wiele gorzkich słów" — pisze dziennik opozycyjny. Jednakże głosowano posłusznie, według rozkazu.

Niespodziewane zamknięcie debaty przyjęte zostało z rezygnacją ze strony opozycji, ale i bez entuzjazmu rządzacej większości. Prasa sprzyjająca opozycji nie szczędzi ostrych wypowiedzi pod adresem Bundestagu: „O naszym parlamencie da się tylko powiedzieć, że ponosi porażki zawsze kiedy to się tylko podoba wszechmadremu rzadowi. Bundestag nie postępuje według własnej woli, natomiast poddaje się samowoli tych, do których kontrolowania został powołany. Bystrość i instynkt polityczny nie skłaniają go do głosu; przemawia on według kalendarza przepisanego mu przez zwierzchność rządową, albo przez przypadek". (*Süddeutsche Zeitung* z 7.11.59.).

Jaki wpływ na dalszą politykę i przyszłe losy Niemiec wywrze taki kierowany parlamentaryzm? Prawdopodobnie korzystny dla umocnienia sojuszu francusko-niemieckiego i wspólnoty europejskiej, czy jednak umocni i pogłębi demokratyzm w Niemczech — to kwestia otwarta.

UCHODŹCY W BUNDESTAGU

Związki uchodźców i wysiedleńców posiadają w Bundestagu 62 posłów, z których 15 pochodzi z Sowieckiej Zony, 14 z Sudetów, po jednym z Bałtyki i Jugosławii i 31 z Prus Wschodnich i obecnych granic Polski. Przynależność partyjna przedstawia się następująco:

Grupa rządowa		*Opozycja*	
CDU/CSU	21	SPD — Socjaliści	28
Deutsche Partei (DP)	4	Wolni Demokraci (FDP)	9

W dyskusji nad *exposé* ministra spraw zagranicznych zabierali głos dwaj posłowie uchodźczy: Prezes Związku Hans Krueger i wiceprezes Wenzel Jaksch. Prezes Krueger, należący do obozu rządowego, ograniczył się do podkreślenia prawnej ważności granic z 1937 roku i jednomyślności wszystkich partyj w tej sprawie.

Wiceprezes Jaksch (SPD) wysunął szereg ostrzeżeń pod adresem polityki francuskiej, z których między wierszami można było wyczytać zaniepokojenie wywołane nadmiernym jakoby wiązaniem się polityki Kanclerza z Francją, co będzie w końcu musiało doprowadzić do uznania obecnej granicy z Polską.

Poza tym wiceprezes Jaksch udzielił pochwały emigrantom polskim i czeskim za ich rzekomo przebiegłą, zręczną i skuteczną propagandę, prowadzoną na Zachodzie za uznaniem obecnych granic. Jednocześnie nie szczędził jadowitych uwag szefowi „Bundespresseamtu", wiceministrowi von Eckardt, stwierdzając: „Na polu publicystyki w krajach zaprzyjaźnionych i neutralnych Republika Związkowa, ze swoimi znacznymi możliwościami finansowymi, mniej niestety zdziałała niż polscy i czescy emigranci". I dalej: „Szef Bundespresseamntu tak zdołał się przypochlebić panu Debré, że ten mógł później mówić o uzgodnieniu swych poglądów w Bonn. Mam tutaj tekst wypowiedzi szefa Presseamntu, ale jest wręcz przykazaniem chrześcijańskiej miłości bliźniego nie wprowadzać tego bełkotu do protokółu parlamentu".

Poseł Jaksch tytułował francuskich mężów stanu: pan de Gaulle, pan Debré.

HABEMUS PAPEN!

Barwna postać Niemiec XX wieku, osiemdziesięcioletni Franz von Papen, znów wypłynął na szpaltach wielkiej prasy niemieckiej. W latach 1913-15 awanturniczy attaché militaire w Meksyku i Waszyngtonie, później szef sztabu 4-ej Armii Tureckiej w Palestynie, w latach 1922-32 poseł Pruskiego Landestagu, od czerwca do grudnia 1932 Kanclerz, w styczniu 1933 za pośrednictwem bankiera von Schroedera wszedł w kontakt z Hitlerem, współdziałał w upadku Schleichera i został wicekanclerzem. W czerwcu 1934 próbował przeciwstawić się totalnej władzy Partii, lecz po zabójstwie Roehma, gdy zamordowano także dwóch najbliższych współpracowników von Papena, wicekanclerz, czując się zagrożony, ustąpił z urzędu. Jednakże po zamachu na Dollfussa został ambasadorem Hitlera w Austrii. Od kwietnia 1939 do 1944 roku był ambasadorem w Turcji, gdzie poznał obecnego Papieża. Po wojnie zasiadł na ławie oskarżonych w Norymberdze, ale nie został zasądzony. Sądy niemieckie skazały go dopiero później na 8 lat więzienia; w 1949 roku zwolniono go przedterminowo.

W 1932 roku Pius XI mianował von Papena tajnym szambelanem. Pius XII nie potwierdził tej nominacji. W styczniu rb. von Papen uzyskał audiencję u Jana XXIII, a ostatnio potwierdzenie tytułu tajnego szambelana „di Spada e Cappa".

Decyzja Watykanu spowodowała *démarche* rządu w Bonn, a wpływowy tygodnik katolicki „Rheinischer Merkur" nazwał tę nominację

„kapitalnym błędem i policzkiem dla wielu niemieckich katolików, którzy po 1933 roku wybierali raczej poniżenie, nędzę, więzienie, a nawet śmierć, niżeli poddanie się zbrodniczym rządom, w których von Papen brał udział".

Liberalny tygodnik „Die Zeit" pisze: „Wówczas wielu pewno myślało, że narodowy socjalizm nie musi być tak złym systemem, skoro popiera go papieski szambelan. Ale chyba żadnemu katolikowi niemieckiemu na myśl nie przychodziło, że po ćwierćwieczu radosny okrzyk „Habemus Papam" — pociągnie za sobą w Niemczech zniechęcone stwierdzenie: habemus Papen!".

S.W. KOZŁOWSKI

Kronika ukraińska

Postępująca industrializacja i modernizacja Ukrainy podsowieckiej nie jest jedynym nowym elementem teraźniejszych dni, choć ma bardzo ważkie znaczenie na tle ogólnego rozwoju Europv Wschodniej. Dla ludzi obeznanych z obecnym stanem rzeczy na ziemiach między Sanem a Dońcem, Polesiem i Morzem Czarnym, będzie niewątpliwie truizmem stwierdzenie, że Ukraina zagoiła wreszcie potworne rany zadane jej w okresie drugiej wojny światowej.

Oczywiście, komuniści mają jeszcze wiele do nadrobienia. Różnice w dochodach, konsumpcji materialnej i duchowej, w urządzeniach cywilizacyjnych pomiędzy poszczególnymi warstwami ludności, a szczególnie między wielkimi ośrodkami przemysłowymi, a miastami prowincjonalnymi są jeszcze ogromne, tak samo jak rozpiętość między stopą życiową miasta a wsi kołchoźniczej pozostawia również wiele do życzenia. Szczególnie ważną bolączką jest głód mieszkaniowy, ta pozostałość nie tylko wojny, ale i stalinowskiej epoki.

Sprawy gospodarcze choć najbardziej rzucające się w oczy jak zresztą we wszystkich republikach sowieckich, nie są jednak jedynym probierzem dla oceny obecnej sytuacji. Również nastąpiło odprężenie polityczne i to na bardzo wielu płaszczyznach. Ustał masowy terror, duża ilość deportowanych więźniów o ile nie zginęła, wróciła do dawnych miejsc zamieszkania. Niektórzy z nich mogą normalnie pracować i zarabiać, inni, niestety, ograniczeni w swobodzie poruszania się, muszą, zdaje się, w określonych odstępach czasu meldować się w biurach M.W.D. Sądownictwo stało się instytucją bardziej normalną o ile można w ogóle traktować organa sądowe państwa totalitarnego jako coś normalnego. Przeprowadzenie programu decentralizacyjnego w administracji (również i ministerialno-gospodarczej), stworzyło na Ukrainie pomyślniejsze warunki rozwojowe, w porównaniu z przeszłością kiedy z każdą najdrobniejszą sprawą trzeba się

było zwracać do Moskwy. Chłopstwo w kołchozach Ukrainy otrzymało wiele rozmaitych udogodnień, (naturalnie tylko w zasięgu dotychczasowych reform Chruszczowa), poprzez obniżenie podatków i podwyższenie cen zakupu płodów rolnych, radykalne zmiany w planowaniu, poprzez rozwiązanie państwowych ośrodków maszynowo-traktorowych itd. Gestem czysto politycznym, który jak wynika z rozmów i spotkań z Ukraińcami z tamtej strony, został przyjęty przez ludność na ogół przychylnie było przekazanie Ukrainie w roku 1954 półwyspu Krymskiego, który, jak wiadomo, po deportowaniu Tatarów za kolaborację z Niemcami został przyłączony do Republiki Rosyjskiej i odgrywał podobną rolę w stosunku do Ukrainy, jak kolonia rosyjska w północnej części Prus Wschodnich, która pod nazwą obwodu Kaliningrad trzyma w szachu okupowaną Litwę. Taki jest bilans pozytywnych przemian w stosunkach między Rosją a Ukrainą od czasu śmierci Stalina. W dziedzinie zagadnień polityki narodowościowej, w głębszym pojęciu tego słowa, sytuacja przedstawia się nie najbardziej różowo. Odnosi się to zarówno do spraw kultury i sztuki, jak do szkolnictwa i nauki. Mimo, że wykrwawiona terrorem stalinowskim i ogromnymi zniszczeniami na skutek strat wojennych i eksterminacyjnej polityki Hitlera, Ukraina nie pokwitowała załamania się systemu stalinowskiego takimi rewolucyjnymi wstrząsami jak to było na Węgrzech, w Polsce czy nawet w Niemczech Wschodnich, to jednak można było, i to dość wyraźnie, zaobserwować żywiołowy pęd do wyrównania rachunków przeszłości. Specyfika sytuacji ukraińskiej, a więc brak na wyższym szczeblu hierarchii partyjnej działaczy z twardym kręgosłupem narodowym, politycznym i ideologicznym, długoletnie terroryzowanie ludności, wielkie luki, szczególnie jeśli chodzi o ludzi nauki i intelektu, wszystko to sprawiło, że Ukraińcy podeszli do zagadnienia destalinizacji dość odmiennie. Nie wchodząc w szczegóły, można uogólnić opinię w tym sensie, że w Kijowie, Połtawie, Lwowie, Czerniowcach i Użhorodzie przystąpiono do iście mrówczej, a przy tym bardzo ostrożnej pracy od podstaw, do odnowy okaleczonego życia narodowego kraju. Początkowo nieśmiało, a później coraz głośniej i szerzej rzucono hasło pielęgnowania języka ojczystego w szkole, teatrze, prasie i literaturze. Był to swego rodzaju wtórny nawrót do ukrainizacji, która w latach dwudziestych i na początku trzydziestych stanowiła niezwykle ważny element w rozwoju społecznym państwowości ukraińskiej zamkniętej w systemie komunizmu sowieckiego. Oczywiście, że proces ten zarysował się w o wiele słabszych konturach niż w latach ówczesnych ; zresztą pomiędzy obydwoma zjawiskami ukrainizacji w dwóch różnych epokach i generacjach tkwi zasadnicza różnica. Kiedy bowiem ukrainizacja w pierwszym jej wydaniu stanowiła prąd polityczno-umysłowy, podyktowany i usankcjonowany bolszewicką górą partyjno-rządową, to jej wtórna edycja — począwszy od roku 1953, a mianowicie od odwołania Rosjanina Melnikowa ze stanowiska pierwszego sekretarza Kompartii za błędy popełnione w polityce narodowościowej, czyli gwałtownej rusyfikacji — była początkowo od strony oficjalnej pomyślana jako drobna koncesja, jako gest pod adresem Ukraińców, nie zobowiązujący do zasadniczych zmian i konsekwencji. Ale społeczeństwo ukraińskie nie poprzestało na tego rodzaju zadośćuczynieniu i poczęło, jak już podkreśliłem, realizować szeroki program pozytywizmu.

Ukraińcy postawili wszystkie swe akcje i nadzieje na Chruszczowa.

Mocniej niż w Polsce gomułkowskiej, w Kijowie uważa się, że dzisiejszy dyktator i grupa dzieląca z nim władzę, stanowią lepszą rękojmię utrzymania obecnego kursu w sprawach narodowościowych aniżeli wszelka inna konfiguracja rządzących sił na Kremlu. Oczywiście w rachubę wchodzą tylko alternatywy w ramach istniejącego porządku, bo nikt poważnie nie przypuszcza żeby w ciągu najbliższych lat mogły nastąpić takie wstrząsy, które by stworzyły możliwości ułożenia życia politycznego na inną niż sowiecka modłę. Nadzieje, które dawniej tu i ówdzie przywiązywano do polityki mocarstw zachodnich, zostały prawie że zupełnie pogrzebane. Przyczyniła się do tego walnie podróż Chruszczowa do Stanów Zjednoczonych, a propaganda amerykańska skierowana do narodów Związku Sowieckiego utwierdza Ukraińców w przekonaniu, że Ameryka zarzuciła zupełnie hasła krucjaty wyzwoleńczej. W sumie, ludzie czujący się w jakimś stopniu odpowiedzialnymi za losy społeczeństwa ukraińskiego i jego narodowej, gospodarczej i kulturalnej samoistności, nie widzą lepszego wyjścia jak tylko w żmudnej i ostrożnej akcji w ramach dyktatury Chruszczowa.

Program ukraińskiego pozytywizmu można traktować jako proces wielokierunkowy. Przebiega on zresztą z bardzo zmiennym szczęściem na rozmaitych płaszczyznach. Dziedziną, która dała dotychczas stosunkowo największe wyniki jest cicha walka biurokracji partyjnej, administracyjnej i gospodarczej o szersze kompetencje w zakresie rządzenia oraz przemysłowa rozbudowa kraju. W międzyczasie na miejsce rozstrzelanych i sterroryzowanych kadr wyrosła nowa generacja, która albo nie zna zupełnie czasów masowych zbrodni i epoki powszechnego lęku albo częściowo o nich zapomniała. Wszyscy ci więksi i mniejsi działacze partyjni, dyrektorzy przedsiębiorstw, kierownicy wielkich kolektywów rolnych, prą stale do tego, aby móc korzystać z tych samych przywilejów co wielkorosyjskie kadry partyjne i rządowe we właściwej Rosji. Jest to jeden z bodźców. Drugim jest dążenie prostych ludzi pracy, robotników i chłopów do lepszego materialnego bytu i swobodniejszego społecznego życia. Musi się to w jakimś stopniu odbijać na stanowisku rządzącej biurokracji, która podobnie jak w każdym kraju totalitarnym ma do wyboru albo uwzględniać w mniejszym lub większym stopniu postulaty społeczeństwa lub używać środków przymusu i terroru. Istnieje też jakaś więź między emancypacją narodów kolonialnych i półkolonialnych i walką ujarzmionych narodów w Związku Sowieckim i chociaż czynniki oficjalne na Kremlu negują stanowczo tego rodzaju analogie nie można dziś uprawiać podwójnej gry w sprawie kolonializmu : innej na eksport a innej na użytek wewnętrzny.

Wiąże się z tym akcja Kijowa, dążąca do wyjścia z zaczarowanego koła ciemnej i głuchej prowincji Rosji komunistycznej. Nie chodzi tu o świadomą działalność państwową, choć i te elementy zdają się grać jakąś maleńką rolę, ale po prostu o dążenia które zarówno wypływają z chęci poznawania obcego świata, innych kultur, jak również z ambicji pokazania własnych sukcesów gospodarczych cudzoziemcom. Specjalnie młodsze pokolenie zdaje się być jak najżywotniej zainteresowane w ożywieniu bezpośrednich kontaktów Kijowa z bliższą i dalszą zagranicą, tzn. z bezpośrednimi sąsiadami Ukrainy Sowieckiej, szczególnie z Polską i Czechosłowacją jak również z egzotycznymi krajami azjatyckimi, a nawet do pewnego stopnia z Zachodem.

O wiele gorzej wyglądają stosunki między oficjalnym Kijowem a emigracją ukraińską. Nikłe próby przezwyciężenia od wielu już dziesiątków lat trwającego wrogiego stosunku, skończyły się jak na razie fiaskiem. Młoda poetka Lubow Zabaszta, która w zeszłym roku opublikowała pełen sympatii wiersz ,,Do Ukraińców zagranicą", została na ostatnim zjeździe Związku Pisarzy Ukraińskich zgromiona za te pojednawcze akcenty. W czasopismach i w prasie codziennej kwitnie styl pomawiania emigracji o zbrodnicze knowania i o wysługiwanie się ,,imperialistom" amerykańskim i zachodnio-niemieckim. Od czasu do czasu wysuwane bywają również zarzuty, że emigranci ukraińscy jakoby zdradzają narodowe interesy, nie dając należytej odprawy rewizjonistycznym dążeniom tych czynników polskich, które pragnęłyby oderwać od Ukrainy jej ziemie zachodnie wraz ze Lwowem. Jedynym bodajże pozytywnym elementem tych oskarżeń i wymysłów jest fakt, że przy tej okazji społeczeństwo ukraińskie dowiaduje się o — od lat starannie przemilczanych przez oficjalną propagandę — szczegółach politycznej i kulturalnej działalności emigracji ukraińskiej.

Najbardziej trudnym polem jest walka o duchowe odrodzenie Ukrainy. Proces ten jest wielowarstwowy i ograniczymy się w tej kronice do zanotowania najważniejszych aspektów. Pocieszającym zjawiskiem jest niezbity fakt, że ta niezorganizowana i nieskoordynowana akcja wytworzyła swego rodzaju cichą solidarność ogólnonarodową. Wystąpiło to szczególnie wyraźnie na jaw w okresie długomiesięcznej walki prawie całego społeczeństwa ukraińskiego przeciwko nowej i godzącej w jak najbardziej istotne interesy narodowe ustawy szkolnej. Ale o tym trochę później. Do sukcesów obecnego programu ukraińskiego pozytywizmu można zaliczyć przede wszystkim powstanie szeregu nowych czasopism naukowych i fachowych z dziedziny nauk historycznych, filologicznych, prawa i ekonomii, a także w zakresie nauk ścisłych. Stanowi to w porównaniu z ostatnimi dziesięcioleciami poważny dorobek, gdyż w czasie wojującego stalinizmu Uraińcy byli skazani w tej dziedzinie wyłącznie na prasę w języku rosyjskim, co zubożało systematycznie nasze słownictwo naukowe i powiększało rusyfikację kadr uniwersyteckich i fachowych. O tym jakie spustoszenia w świecie nauki pozostawił stalinizm świadczą wstrząsające dane, które wypłynęły na światło dzienne w czasie konferencji o stanie nauk humanistycznych, jaka miała miejsce w końcu maja 1958 roku w Kijowie. Okazało się, że na wszystkich uniwersytetach Ukrainy zostały zlikwidowane katedry pomocniczych dyscyplin w dziedzinie historii. Na kilku uniwersytetach rozwiązano katedry nauczania historii starożytnej, średniowiecznej, a nawet nowoczesnej. Zlikwidowana została zupełnie orientalistyka. Rozwiązany został fakultet zagadnień międzynarodowych na uniwersytecie kijowskim. Obecnie historycy ukraińscy dążą do zrewidowania tych decyzji.

Walka o renesans życia naukowego i kulturalnego przebiegała i przebiega nadal również na odcinku przywrócenia naszej kulturze przynajmniej części literatury pierwszej połowy XX stulecia, która znalazła się na indeksie. Zmagania w tym kierunku noszą oficjalną nazwę dążeń do ,,rehabilitacji" wystrzelanych pisarzy lat 20-tych i 30-tych. Jak wiadomo, wymordowano wówczas, z wyjątkiem nielicznych, jak Maksym Rylskyj, Pawło Tyczyna i Mykoła Bażan, nieomal wszystkich czołowych ludzi pióra. Problem ,,rehabilitacji" owych pisarzy to nie czcza formułka, ale bardzo żywotny interes przywrócenia literaturze ukraińskiej wielu wybit-

nych dzieł, bez których piśmiennictwo nasze jest na pół uschłą rośliną. Jak dotychczas, starania te dały pozytywne rezultaty tylko w odniesieniu do nielicznych i nie zawsze najlepszych pisarzy i to nie do całości ich twórczości. Rehabilitowano i wydano już po wielu latach zapoznania niektóre utwory Wasyla Błakytnego, Iwana Mykytenki, Myrosława Irczana, Waleriana Pidmohylnego, Mykoły Kulisza. Dalsze próby rozszerzenia tego kręgu na pisarza Mychajłyczenkę, na liryka starszego pokolenia Ołesia i na najwybitniejszego reżysera Ukrainy Kurbasa, zostały nie tylko przez oficjalne czynniki partyjne jak najostrzej potępione, ale ponadto wysunięto w międzyczasie wiele zastrzeżeń w stosunku do całokształtu twórczości pisarskiej, a przede wszystkim politycznej, już zrehabilitowanych poetów i prozaików zwłaszcza Błakytnego i Kulisza. To nagłe zahamowanie procesu ,,rehabilitacji'' świadczy o tym, że nie ma mowy o przywróceniu literaturze ukraińskiej twórczości najwybitniejszych pisarzy i poetów okresu dwudziestolecia i trzydziestolecia, jak Zerow, Draj-Chmara, Chwylowyj, Płużnyk, Falkiwśkij i inni.

Również bezowocne okazały się usiłowania tych historyków i publicystów, którzy dążyli do rehabilitacji pierwszego ,,titoizmu'' czy ,,gomułkizmu'' w ruchu komunistycznym, a mianowicie narodowego odłamu wśród komunistów ukraińskich czyli partii ,,borotjbistów'', a szczególnie starego działacza partyjnego, bliskiego współpracownika Lenina, Mykoły Skrypnyka, który w roku 1933 samobójstwem zaprotestował przeciwko stalinizacji i rusyfikacji Ukrainy sowieckiej. Podobny los spotkał również próbę przedstawienia państwowości zachodnio-ukraińskiej we Lwowie w roku 1918 jako postępowej rewolucji typu mieszczańskiego czy ludowo-demokratycznego. Historycy jak Karpenko i Saprunenko zostali potępieni za takie próby przez ideologów partyjnych. Więcej szczęścia mieli b. komuniści lwowscy i halicko-wołyńscy, którzy ubiegali się o rehabilitację tzw. Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, partii, która przeszła jeszcze straszliwszą gehennę niż Polska Partia Komunistyczna. Ale i w tym wypadku fakt wytępienia wielu tysięcy funkcjonariuszy i zwykłych członków KPZU przez stalinowski terror jest konsekwentnie we wszystkich publikacjach, gloryfikujących obecnie działalności tej partii, przemilczany.

Najdotkliwszą klęską należy nazwać zapadłą przed kilku miesiącami decyzję o wprowadzeniu na Ukrainie nowej ustawy szkolnej. Na wiosnę br. nad społeczeństwem ukraińskim zawisło niebezpieczeństwo nowej masowej rusyfikacji przy pomocy reformy szkolnictwa sowieckiego. Chodziło mianowicie o to, czy ma pozostać dotychczasowy system nauczania języka ukraińskiego we wszystkich szkołach, tzn. zarówno ukraińskich jak i rosyjskich, czy też praktyka ta ma ulec zasadniczej zmianie w tym sensie, że w szkołach powszechnych z wykładowym językiem rosyjskim rodzice lub uczniowie mogą się wypowiedzieć za zniesieniem ukraińskiego, jako przedmiotu obowiązującego. Mimo powszechnego oporu, Rada Najwyższa Republiki Ukraińskiej zatwierdziła 17 kwietnia ustawę szkolną w brzmieniu, które przekreśliło zupełnie opinię społeczeństwa. Artykuł 19, wspomnianej ustawy stwierdza bowiem, że decyzja co do nauczania języka ukraińskiego zależy od życzenia rodziców i uczniów. Ten dla nieobeznanego ze sprawami sowieckimi czytelnika, na pozór ,,liberalny'' edykt szkolny, jest dotkliwym ciosem, gdyż stanowi pierwszy krok do częściowego wyrugowania ukraińskiej mowy, jako panującego języka na terytorium republiki.

Trzeba sobie przy tym uzmysłowić, że przy istniejącym stanie rzeczy, szczególnie w wielkich ośrodkach przemysłowych jak np. okręg węglowy Zagłębia Donieckiego, gdzie wpływy mniejszości i biurokracji rosyjskiej są bardzo silne, nowa reforma szkolna może się przeistoczyć w istną katastrofę. Należy wziąć zresztą jeszcze jeden nader ważny wzgląd pod uwagę. Propaganda wielkorosyjska — nie żenując się imperialistycznym wydźwiękiem tego rodzaju twierdzeń — wpaja od lat w umysły szerokich warstw ludności pogląd, że tylko i wyłącznie znajomość języka rosyjskiego otwiera przed młodym pokoleniem narodów nierosyjskich możliwości prawdziwego awansu społecznego i kulturalnego. Połączona obecnie z nowymi postanowieniami reformy szkolnej propaganda ta może dać wśród narodowo chwiejnego, a w politycznym sensie oportunistycznie usposobionego elementu nie byle jakie rezultaty. O co przy tym Moskwie i jej ludziom na Ukrainie w istocie chodzi zdradził niedawno sekretarz Komitetu Centralnego KPU, obecnie poseł sowiecki w Chinach, Czerwonenko, pisząc w moskiewskim „Komuniście" : „Z każdym rokiem wzrasta wśród ludu pracującego i uczącej się młodzieży dążenie do poznawania języka rosyjskiego, który jest potężnym środkiem do porozumienia międzynarodowego, utwierdzania przyjaźni pomiędzy narodami ZSRR, wychowywania w duchu internacjonalizmu, zbliżenia się do skarbnicy kultury rosyjskiej i światowej. W związku z tym powiększa się sieć szkół z rosyjskim językiem wykładowym a także powstają dogodne warunki dla zapewnienia i polepszenia nauczania rosyjskiego w szkołach z ukraińskim lub innymi językami wykładowymi".

BEO

Fiasko młodzieżowej polityki partii

Bankructwo ideologii komunistycznej w stosunku do młodzieży w Polsce jest już dziś faktem powszechnie znanym i nawet partia nie próbuje temu zaprzeczać. Przez 15 lat rządów w kraju partia nie zdobyła sobie wpływu na młodzież, która zasila jej szeregi w bardzo niewielkiej liczbie. W środowisku inteligenckim — ,,studenci — członkowie partii stanowią kroplę w morzu'' — pisze *Polityka*. Tak samo w środowisku robotniczym; w dwutysięcznym prawie gronie młodych robotników w Zakładach im. Kasprzaka, znanych ze swej bojowości w okresie października, ,,członków partii policzyć można na palcach'' — przyznaje *Trybuna Ludu*.

NIE POMOGŁA ZMIANA NAZWY

Również niewielki wpływ na młodzież wywierają organizacje, powołane przez partię. Stworzony w okresie ,,kultu jednostki'' Związek Młodzieży Polskiej (ZMP) przegrał całkowicie batalię o młodzież i po październiku przestał faktycznie istnieć zanim został formalnie rozwiązany. Po jego rozleceniu się młodzież łudziła się przez krótki okres czasu, że wolno jej będzie zorganizować się w kilka odrębnych ideologicznie związków, a w każdym razie uniezależnić się od bezpośrednich dyrektyw partyjnych. Zamiast tego wtłoczono ją z powrotem w ramy jednej urzędowej organizacji — Związek Młodzieży Socjalistycznej (ZMS), oparty na dawnych kadrach ZMP. Jak pisano złośliwie w prasie bezpośrednio po jego powołaniu: ,,Powstało nowe ZMP pod nazwą ZMS''. Nic dziwnego więc, że związek ten, choć chlubi się dziś ilością 300 tysięcy członków, nie wywiera żadnego wpływu politycznego i ideologicznego na mło-

dzież i pracuje ,,w atmosferze nieufności, izolacji, a nierzadko jawnej drwiny''. (*Życie Szkoły Wyższej*).

Organizacja jest jednak nadal podtrzymywana przez partię, a nie mogąc wykazać się pracą polityczną, kieruje swą aktywność na inne odcinki.

NIEUDANY EKSPERYMENT HUFCÓW PRACY

A więc tworzy Ochotnicze Hufce Pracy. System na pół wojskowy: mundury, czarne berety, pobudka, apel, wśród członków komend duża liczba oficerów i podoficerów.

Mają one współdziałać w wykonaniu planów produkcyjnych na terenach o niedostatecznej sile roboczej, a równocześnie pomagać młodzieży, która nie może znaleźć pracy w miejscu swojego zamieszkania. Podstawowym ich zadaniem, jak wynika z oficjalnych oświadczeń, jest jednak wychowanie i przeszkolenie zawodowe młodzieży celem zapewnienia jej stałej a nie dorywczej pracy. A więc cele trudne i bardzo ambitne. Jakże są one realizowane?

Hufce istnieją już drugi rok. Błędy i niepowodzenia pierwszego roku tłumaczono brakiem doświadczenia i nieodpowiedzialną propagandą, obiecującą złote góry kandydatom, co spowodowało jakoby niewłaściwy dobór junaków.

Do akcji tegorocznej przygotowano się za wczasu. Zaplanowano 10 tysięcy uczestników w hufcach dwuletnich oraz 4 tysiące w hufcach wakacyjnych, złożonych ze studentów i uczniów. Zakłady pracy zaofiarowały 35 tysięcy miejsc pracy dla junaków; wybrano — jakoby — tylko te, które miały zagwarantować młodzieży najlepsze zarobki i realizację programu szkoleniowo-wychowawczego.

Rezultaty tegorocznej kampanii zostały opisane szczegółowo w kilku reportażach w *Sztandarze Młodych* (10, 14, 18 lipca br.) oraz w *Trybunie Ludu* — brzmią one wszystkie bardzo pesymistycznie. Wynika z nich, że junacy traktowani są przez przedsiębiorstwa po prostu jako czasowa tania siła robocza, której przydziela się ,,najniewdzięczniejsze a jednocześnie ciężkie i przeważnie nisko płatne roboty'', roboty, które nie dają żadnych możliwości nabycia czy tej podniesienia kwalifikacji zawodowych ani też zapewnienia na przyszłość dalszej pracy zarobkowej. Przedsiębiorstwa te bowiem ,,rezerwują lepszą robotę dla swoich stałych ,,cywilnych'' robotników''.

Nie lepiej przedstawia się troska o warunki bytu junaków, przyrzeczona również w umowach z przedsiębiorstwami. Ot, po prostu ,,brak elementarnej troski o zaspokojenie podstawowych potrzeb młodego robotnika'': złe warunki mieszkania i wyżywienia; brak rozrywek kulturalnych, gier, telewizji, książek; nieczynne świetlice. Zresztą cóż tu mówić o rozrywkach czy nauce, kiedy, jak stwierdza *Trybuna Ludu* — ,,czas

od pobudki do apelu wypełnia ciężka praca, na naukę czy sport pozostaje niewiele wolnych chwil''. Warunki te w połączeniu z niskimi zarobkami wywołują bardzo duże rozgoryczenie wśród junaków, którzy uciekają z obozów. W tym roku zebrano zaledwie 3 tysiące junaków zamiast zaplanowanych 10 tysięcy, przy tym ,,wiele hufców nie może przetrwać nawet półrocznego istnienia... Zaledwie 5 z 41 działających obecnie Hufców Pracy — przetrwało zimę i liczy sobie ponad rok pracowitego żywota''.

Warto tu przypomnieć, że w swoim czasie i ZMP miało na swym sumieniu inicjatywę ochotniczego zaciągu do pracy w PGR-ach. Młodzież znalazła tam jak najgorsze warunki pracy i opieki i wkrótce z całego zaciągu musiano się wycofać.

,,OSIĄGNIĘCIA'' WSPÓŁZAWODNICTWA PRACY

Druga, podjęta przez ZMS akcja to inicjatywa wznowienia ruchu współzawodnictwa pracy. Jak wiadomo, współzawodnictwo to, wzorowane na sowieckiej stachanowszczyźnie, było narzucone robotnikom w tzw. minionym okresie celem zmuszenia ich do podnoszenia wydajności pracy. Ta, najbardziej znienawidzona przez robotników akcja, została bezpośrednio po październiku całkowicie zarzucona. Nie wpłynęła ona zresztą w najmniejszym stopniu, bo wpłynąć nie mogła, na zwiększenie produkcji, a wszystkie jej tak szumnie w swoim czasie ogłaszane efekty gospodarcze zaliczone zostały później do kategorii ,,bajek z tysiąca i jednej nocy'' (*Przegląd Związkowy* — czerwiec 1956).

Mimo to współzawodnictwo pracy zostało w 1958 r. wznowione do czego przyczynił się w znacznej mierze ZMS: w poszukiwaniu terenu dla swej działalności zainicjował on powoływanie w zakładach pracy ,,Młodzieżowych Brygad Produkcyjnych''. Liczba tych brygad, według danych ZMS, wzrasta z niezmierną szybkością: z 300 w marcu ub.r. do 5 tysięcy w drugiej połowie rb.

Ciekawym przyczynkiem, ilustrującym efekty gospodarcze ich działalności jest reportaż w *Sztandarze Młodych* (28.10.59). Omawiając zobowiązania 30 młodych górników kopalni ,,Wieczorek'', którzy postanowili przed mającym się odbyć II Zjazdem ZMS dokonać ,,czynu wartości 1.849.500 zł.'', (wydobyć dodatkową ilość węgla), tak złośliwie zobowiązanie to określa: ,,Liczby opatrzone znaczkiem ,,zł'' łatwiej niż inne sprzyjają fabrykanctwu złudzeń gospodarczych i współbrzmią nader harmonijnie z fanfarami samochwalstwa''.

Nie mniejszym samochwalstwem, choć nie wyrażonym w złotych, jest oświadczenie sekretarza KC. ZMS w styczniu rb., że ,,młodzieżowe współzawodnictwo pracy przyczyniło się *w poważnym stopniu* (podkr. moje) do przyśpieszenia realizacji

zadań gospodarczych, wzrostu wydajności pracy. Oszczędności materiałów i surowców". I to w ciągu zaledwie roku działalności! Nie trudno jest zrozumieć, dlaczego cała polska prasa gospodarcza, która nie pomija żadnej inicjatywy w poszukiwaniu dróg poprawy sytuacji w kraju, milczy jak zaklęta o tak wielkich osiągnięciach.

Tymczasem ZMS, nie zadawalniając się już dzisiaj zwykłym współzawodnictwem pracy, rzucił ostatnio nowe a zaczerpnięte z Sowietów hasło: współzawodnictwa o tytuł ,,Brygady Pracy Socjalistycznej"; brygady te mają zmierzać do uzyskania jeszcze wyższych wskaźników produkcyjno-ekonomicznych, a ponadto — tak jak i hufce pracy, i z pewnością z takim samym skutkiem — podnosić wiedzę ogólną i przygotowanie zawodowe swych członków.

I na odcinku współzawodnictwa pracy ZMS miał swego poprzednika w ZMP, który również gorliwie głosił analogiczne hasła.

LIKWIDACJA OCHRONY PRACY MŁODOCIANYCH

W poszukiwaniu terenów pracy, zarówno ZMP jak i później ZMS wypisały w swych programach postulat walki o prawa i lepsze warunki pracy młodzieży, przejmując w ten sposób częściowo rolę związków zawodowych. To zastępowanie organizacji związkowych poszło przed październikiem tak daleko, że związki zawodowe zlikwidowały swoje sekcje młodzieżowe, oddając ten dział pracy całkowicie ZMP. Tylko, że jak moment ten dosadnie charakteryzuje *Przegląd Związkowy* (marzec 1957) — ,,ZMP radośnie podjęło się i tej funkcji. Sekcje młodzieżowe związków zawodowych zwinięto i nikt nic na tym nie stracił, jako iż w owych czasach i tak *pies z kulawą nogą* (podkr. moje) praw młodzieży nie bronił i wszystko jedno, czy ten pies nazywa się Związki Zawodowe, czy Związek Młodzieży Polskiej".

Po październiku wznowiono wprawdzie formalnie działalność sekcji młodzieżowych w związkach zawodowych, obok nich te same hasła obrony młodzieży pracującej wysuwają fabryczne oddziały ZMS, a w praktyce nikt nie dba o warunki pracy młodocianych.

Wydaje mi się, że o ile bankructwo wpływu politycznego partii na młodzież jest jasne dla wszystkich, znacznie mniej znane jest całkowite bankructwo polityki partii jeśli chodzi o sprawy zatrudnienia młodzieży i ochrony jej pracy. A ponieważ zagadnienie to interesuje mnie szczególnie, jako byłego inspektora pracy, poświęcę mu nieco więcej miejsca.

Po krótkim momencie — zaraz po skończeniu wojny — pewnych zmian na lepsze w ustawodawstwie pracy, przyszedł okres nie tylko pogarszania się przepisów o ochronie pracy,

ale i całkowitego lekceważenia formalnie nadal obowiązujących przedwojennych ustaw. Przykład szedł przy tym z góry, a pojęcie praworządności przestało mieć jakiekolwiek znaczenie. Jak pisze o tym *Przegląd Związkowy* (styczeń 1957): ,,Porządek prawny został zachwiany niesamowitym gąszczem okólników, zarządzeń, instrukcji... którymi regulowano sprawy wymagające w państwie praworządnym uregulowania ustawowego... panoszenie się okólnika i instrukcji było zjawiskiem powszechnym''.

A oto charakterystyczna ilustracja tych twierdzeń. W 1947 r. Minister Pracy i Opieki Społecznej pismem okólnym do inspektorów pracy uchylił przedwojenne rozporządzenie, które ograniczało znacznie liczbę młodocianych w hutach szklanych ze względu na niezmiernie ciężkie i szkodliwe warunki pracy. W piśmie tym minister poleca inspektorom pracy zezwalać na zwiększanie liczby młodocianych poza obowiązującą prawnie normę, ponieważ ograniczenie ich liczby może ,,wpływać hamująco na przebieg produkcji w poszczególnych hutach, co mogłoby się *odbić ujemnie na wykonaniu planu gospodarczego wymagającego mobilizacji największej liczby sił roboczych''*. (podkr. moje).

Te właśnie argumenty, biorące wyłącznie pod uwagę plany gospodarcze i zdobycie nowych rąk do pracy, stały się dominującym motywem zarówno ogólnej polityki społecznej, jak i ochrony pracy młodzieży. Punktem kulminacyjnym pogarszania się zasad tej ochrony był dekret z 1951 r. o pracy i szkoleniu zawodowym młodocianych w zakładach pracy. Pod fałszywym pretekstem nauczania zawodu, obniżono w nim — w myśl wzorów sowieckich — granicę rozpoczynania pracy z obowiązujących przed wojną skończonych lat 15-tu do lat 14-tu. Zmianę tę przeprowadzono wbrew powszechnym tendencjom na zachodzie do podnoszenia wieku młodocianych przyjmowanych do pracy i wbrew zagwarantowanej jeszcze w konstytucji polskiej z 1921 r. ochronie zdrowia dzieci.

Ale poza tą szkodliwą zmianą ustawową w praktyce przekreślono wszystkie przepisy ochrony pracy młodocianych. Ponieważ istotnie ,,pies z kulawą nogą'' praw młodzieży nie bronił, zatrudniano ją powszechnie w godzinach nadliczbowych — często po kilkanaście godzin dziennie — i w nocy — nieraz szereg miesięcy bez przerwy na zmianach nocnych — i przy wielu pracach kategorycznie młodocianym zabronionych; zlikwidowano tak dobrze rozwijającą się przed wojną profilaktyczną opiekę lekarską nad młodocianymi i zlikwidowano specjalną kontrolę nad warunkami ich pracy, sprawowaną przed wojną przez inspektorki do spraw ochrony pracy młodocianych i kobiet. ZMP, mimo haseł wypisanych w programie, sprawami tymi nie interesował się zupełnie, a jego oddziały w fabrykach nie tylko nie czuwały nad wykonaniem ustaw, ale, jak czasem stwierdzano w prasie, celowo tolerowały nadużycia.

Sytuacja zmienia się dopiero wraz z odwilżą. Zgodnie z nowym nastawieniem, ZMP zaczyna występować w roli szermierza obrony praw młodzieży. Z jego inicjatywy w 1956 r. przeprowadzono szereg inspekcji w zakładach pracy, które wykazały, jak stwierdza *Sztandar Młodych,* że ,,przykładów łamania obowiązujących przepisów nie spisałby na wołowej skórze''. W związku z tym pismo to drukuje szereg artykułów pod szumnymi tytułami: ,,Zabezpieczyć prawa młodzieży pracującej w przemyśle'', ,,Nie wolno tolerować łamania praw młodzieży'', ,,Młodociani brońcie się sami'', ,,Położyć kres...'' itd., itd.

Pisano, mówiono, dyskutowano, potem wszystko ucichło, a warunki pracy młodocianych pozostały bez zmiany. Dopiero w połowie roku bieżącego zawrzało ponownie w prasie z powodu wyników masowej kontroli zakładów pracy, przeprowadzonej w maju — tym razem z inicjatywy ZMS. Kontrola ta miała na celu sprawdzenie, jak wykonywane są przepisy nowej ustawy o młodocianych z lipca 1958 r. (ustawę tę omówię dalej), która potwierdziła obowiązujące przepisy ochrony pracy młodocianych. I znów w *Sztandarze Młodych* ukazuje się szereg reportaży, z których wynika niezbicie, że w 1959 r. łamanie tych przepisów jest tak samo powszechne jak i w 1956 r., a kierownicy fabryk, tak jak i dawniej, tłumaczą się ,,pilnymi potrzebami produkcji''.

Ale i ta wrzawa ucichła prędko, a sytuacja w zakładach pracy nie uległa zmianie. Dzień dzisiejszy nie różni się niczym od okresu ,,błędów i wypaczeń'': administracja fabryczna lekceważy sobie nadal przepisy ochrony pracy, nie pilnują ich wykonania związki zawodowe, ani ich sekcje młodzieżowe, a oddziały ZMS mają inne ważniejsze zadania na terenie fabryk: organizowanie współzawodnictwa pracy i tworzenie brygad pracy socjalistycznej.

Nie ma natomiast właściwego organu, którego zadaniem byłaby kontrola wykonania obowiązujących ustaw. Organ taki uznano za zbędny w ustroju, w którym przemysł został uspołeczniony (nie używa się słowa upaństwowiony) i w którym robotnicy są — jakoby — gospodarzami zakładów pracy. Po wojnie ograniczano z roku na rok uprawnienia i działalność państwowej inspekcji pracy aż ją wreszcie zlikwidowano ostatecznie w 1954 r. Zorganizowana jednocześnie przez związki zawodowe — na wzór sowiecki — tzw. techniczna inspekcja pracy miała za zadanie jedynie kontrolę bezpieczeństwa i higieny pracy (pożal się Boże jak ją wykonywała). Istnieje wprawdzie ponadto tzw. społeczna inspekcja pracy, powołana w 1950 r. — znów według wzorów sowieckich — i rekrutująca się spośród samych robotników. Ale, choć liczby są tu imponujące — około 200 tysięcy społecznych inspektorów pracy — istniała ona i istnieje nadal tylko fikcyjnie, nie ma żadnych faktycznych uprawnień i nie przejawia, bo przejawiać nie może

żadnej działalności. Nic dziwnego więc, że ochrona pracy robotników istnieje tylko na papierze.

DEMORALIZUJĄCY WPŁYW HOTELI ROBOTNICZYCH

Dla całości obrazu warunków pracy młodzieży nie można pominąć sprawy hoteli robotniczych, zwanych też Domami Młodego Robotnika lub Górnika. Gwałtowna rozbudowa produkcji w okresie sześciolatki spowodowała masowy napływ do przemysłu ludzi ze wsi i z małych miasteczek, wśród których znaczną część stanowiła młodzież. Ponieważ brak było dla nich mieszkań w ośrodkach przemysłowych — nie tylko z powodu zniszczeń, spowodowanych wojną, ale i w konsekwencji fatalnego zaniedbania budownictwa mieszkaniowego — umieszczano ich w hotelach robotniczych. O właściwe urządzenie i prowadzenie tych hoteli nie dbał nikt: ani administracja fabryczna, ani związki zawodowe i organizacje młodzieży. Nic dziwnego więc, że — jak pisano w prasie — nazwa Dom Młodego Robotnika kojarzyła się z ,,obrazem odrapanego baraku, z kilkunastoosobowymi pokojami, z pustą ponurą salą zwaną świetlicą'', że oznaczała ona ,,chuligaństwo, brud, brak kultury, pijaństwo''.

Dziś, choć warunki w hotelach nie są tak złe, jak były na początku, to jednak wiele z nich mieści się w budynkach brudnych, wilgotnych, bez urządzeń sanitarnych, a wyżywienie jest w nich liche i skąpe. Nadal jednak najbardziej uciążliwą cechą wszystkich hoteli jest wielka nuda, spowodowana brakiem życia kulturalnego. Wynika to nie tylko z powszechnych zaniedbań, ale i z niewłaściwego doboru personelu kierowniczego, na które to stanowiska (jak udowodniła ankieta przeprowadzona w rb. na Śląsku przez ZMS), zakłady pracy angażują bardzo często ludzi bez minimum kwalifikacji, nieraz bez podstawowego wykształcenia, ludzi zupełnie przypadkowych, wśród których można spotkać szewców, leśniczych, ślusarzy, księgowych itp.

Dokładne cyfry ilości mieszkańców hoteli nie są nikomu znane; przypuszcza się, jak pisze prasa, że do dziś mieszka w hotelach robotniczych w całym kraju blisko ćwierć miliona robotników. Na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim zamieszkuje hotele 70 tysięcy młodych robotników, zatrudnionych w kopalniach i hutach: wśród nich duża część żonatych, przymusowo rozdzielonych z rodzinami. W hotelach tych milicja aresztuje co miesiąc co najmniej kilkanaście osób, oskarżonych o włamania, kradzieże, chuligańskie awantury. Mimo to, według oficjalnych oświadczeń, nie przewiduje się likwidacji hoteli robotniczych na tym terenie jeszcze w ciągu najbliższych pięciu lat.

Nieodpowiednie warunki w hotelach robotniczych pogłębiają tylko zło, jakie wynika z samego faktu ich istnienia. Jak stwierdzają badacze społeczni w kraju, rozluźnienie więzi rodzinnej, wyjście spod wpływów środowiska wiejskiego, jego opinii i wzorów, oraz luźne związanie z nowym środowiskiem miejskim, którego hotel bynajmniej nie reprezentuje, ma niewątpliwie wpływ na szerzenie się, szczególnie wśród młodzieży, chuligaństwa, pijaństwa, prostytucji, których hotele są tak częstym terenem.

FIKCJA NAUKI ZAWODU

Nowa ustawa o młodocianych z lipca 1958 r., o której już wspomniałam, miała głównie na celu uregulowanie nauki zawodu w zakładach pracy; sprawom ochrony pracy poświęca ona zaledwie kilka artykułów. Zastąpiła ona niesławnej pamięci dekret z 1951 r., który, według powszechnie od kilku lat głoszonej opinii, uznany został za ,,jeden z najcięższych grzechów głównych minionego okresu''.

Na czym grzech ten polegał? Dekret ten dopuścił do zakładów pracy dzieci 14-letnie pod fałszywym pretekstem, że w okresie 14-16 lat młodociani nie będą zatrudniani w charakterze robotników, ale wyłącznie celem nauki zawodu, prowadzonej wewnątrz przedsiębiorstw. Była to całkowita fikcja, bo zakłady pracy, nastawione wyłącznie na problemy produkcji, nie chciały zawracać sobie głowy, a faktycznie nie mogły zajmować się systematycznym szkoleniem zawodowym młodocianych: nie miały na to czasu, miejsca, programu, instruktorów i nikt tego od nich faktycznie nie wymagał.

Nie nauka była zresztą celem dekretu. Świadczy o tym wyraźnie fakt, że odebrał on młodocianym możność korzystania ze szkół dokształcających, do których — w myśl przedwojennych przepisów — obowiązani byli uczęszczać wszyscy pracownicy aż do ukończenia 18-tu lat (1). Ale w 1951 r. naukę tę uznano za niepotrzebną i zlikwidowano istniejącą sieć szkół dokształcających. Zresztą w okresie sześciolatki zaczęto likwidować również szkolnictwo zawodowe, rozbudowane w pierwszych latach po wojnie; zamknięto w tym okresie 400 szkół zawodowych, a w pozostałych skrócono naukę z 3 do 2 lat. Nauka zawodu, kwalifikacje fachowe stały się niepotrzebnym balastem, szerzył się powszechnie kult niekompetencji i to nie tylko przy zwykłej pracy, ale i przy obsadzaniu kierowniczych stanowisk.

---

(1) Przedwojenne przepisy zobowiązywały pracodawcę do zwalniania młodocianych z pracy na naukę w ilości 6 godzin tygodniowo, płatnych jak za pracę; w 1946 r. ilość godzin tych zwiększono do 18 tygodniowo i to stanowiło główny powód, dla którego naukę tę zlikwidowano.

Za najlepszy natomiast bodziec do zwiększania produkcji uznano wprowadzany masowo — za przykładem Sowietów — system pracy na akord. Do pracy akordowej, przy której mowy być nie może o nauce zawodu, dopuszczano młodocianych niemal od pierwszej chwili przyjęcia ich do pracy. O wysokości zarobków przestały decydować kwalifikacje, staż pracy, nabyte doświadczenie, decydującym momentem były wyłącznie wyniki ilościowe. Stąd też, jak pisano w prasie krajowej: ,,młody i zdolny, ale zaledwie przyuczony do zawodu robotnik, który potrafił wykonywać sprawnie tylko jeden ruch — mógł uzyskiwać znacznie wyższe zarobki, niż niejeden wysoko wykwalifikowany, po wielu latach praktyki starszy towarzysz pracy; ba, miewał nieraz wyższe uposażenie, niż majster, inżynier, lub... dyrektor zakładu. W Fabryce Nawozów Fosforowych w Luboniu pod Poznaniem kilka lat temu dyrektor naczelny znajdował się na 70 miejscu listy płac, licząc według wysokości zarobków''. (*Głos Pracy* — październik 1957). W tych warunkach nic dziwnego, że ,,młodociany robotnik nie nauczył się szanować ani starszego robotnika, ani maszyny i swojej pracy, jak również zarobionych pieniędzy'' — słowem, jak reasumuje *Głos Pracy* — ,,nie stworzyliśmy młodzieży właściwych warunków wychowania i zachęty do nauki, stwarzając natomiast jak najlepsze warunki do demoralizacji''.

O niewłaściwych zasadach zatrudniania młodocianych o zbyt wczesnym dopuszczaniu ich do zakładów pracy, nie dawaniu bodźców i nie stwarzania warunków do podnoszenia ich wykształcenia ogólnego i zawodowego zapisano, począwszy od 1956 r. setki szpalt w prasie i wypowiedziano na ten temat mnóstwo przemówień. Zdawało się, że atmosfera dojrzała do przeprowadzenia zasadniczej reformy, której wyjściowym punktem będzie przywrócenie przedwojennego zakazu zatrudniania młodocianych poniżej lat 15-tu wraz z jednoczesnym przedłużeniem o rok obowiązku powszechnego nauczania, tj. wprowadzenie 8-letniej zamiast dotychczasowej 7-letniej szkoły podstawowej.

Stało się jednak inaczej: ustawa z 1958 r. nie zmieniła wieku rozpoczynania pracy, szkoła podstawowa pozostaje nadal 7-letnią, a przedłużenie jej do lat 8 projektuje się dopiero na 1965 r. I to mimo że w szeregu krajów na zachodzie, a nawet i w Niemczech Wschodnich i w Czechosłowacji, obowiązek szkolny obejmuje od dawna już młodzież do skończonych lat 15-tu, lub nawet, jak w St. Zjednoczonych — do 16-tu (2).

Decyzja ta wywołała istną burzę dyskusji i szereg kategorycznych sprzeciwów. Tak np. prof. dr B. Suchodolski, wysuwa (w *Głosie Pracy*) szereg mocnych argumentów, przemawiających za przedłużeniem obowiązku szkolnego już w chwili obecnej, a polemizując ze stanowiskiem niektórych ekonomis-

(2) Jak podaje ostatnio prasa, i w W. Brytanii przewiduje się podniesienie granicy wieku kończenia szkoły z lat 15-tu do 16-tu.

tów, podkreśla, że ,,jeśli pod naciskiem szerokich rzesz nauczycielskich mógł być w latach po pierwszej wojnie światowej dokonany w naszym kraju skok z czteroletniej szkółki powszechnej na poziom siedmioklasowej szkoły, trudno zrozumieć, dlaczego dziś — rozporządzając znacznie lepszymi możliwościami — mielibyśmy prowadzić politykę ostrożności i odkładania".

Ale wracam do treści nowej ustawy. Utrzymując grzech główny dawnego dekretu (praca 14-letnich), usiłuje ona jego grzech drugi — fikcyjność nauki zawodu w zakładach pracy — naprawić przez... wydanie przepisów prawnych. Doprawdy rzadko można spotkać ustawę, która byłaby tak klasycznym przykładem rozwiązywania skomplikowanych zagadnień gospodarczych, społecznych i oświatowych przy pomocy nakazu z góry. Chce ona objąć nauką zawodu w zakładach pracy już nie tylko, jak w dekrecie z 1951 r., młodzież w wieku lat 14-16, ale wtłoczyć w jej ramy wszystkich młodocianych do lat 18-tu. Czegóż więc w tej ustawie nie ma! I ścisła nauka zawodu, trwająca do 4 lat, i przyuczanie do określonej pracy, w okresie do 1 roku i — po jednym i drugim — wstępny staż pracy, (6 miesięcy do 2 lat), który objąć ma również całą młodzież po skończeniu szkoły zawodowej i technikum, a nawet robotników dorosłych, rozpoczynających pracę. Przewiduje też ona ustalanie z góry szczegółowych programów szkolenia dla każdego rodzaju przemysłu, oraz wprowadzenie stawek płac ,,uczniowskich".

Oczywiście w ten sposób pomyślana ustawa musiała przewidywać całe dziesiątki rozporządzeń wykonawczych — nieomal do każdego artykułu (3), które powinny były być wydane jednocześnie z ustawą, a które, w większości wypadków, dotychczas się nie ukazały.

Szkolenie zawodowe młodzieży prowadzone jest od lat już w szeregu krajów, ale obejmuje ono tylko tę część młodzieży, która przystępuje do zajęć, wymagających fachowych kwalifikacji, a — co najważniejsze — opiera się na realnych, a nie papierowych tylko możliwościach zorganizowania nauki (np. przyfabryczne szkoły zawodowe, wspólne centra szkolenia dla różnych fabryk itp., itp.).

A jak wyglądają te realne możliwości w Polsce po wprowadzeniu ustawy? Jak już wspomniałam, w maju br., a więc blisko w rok po wydaniu ustawy, przeprowadzono kontrolę około 600 zakładów pracy na różnych terenach i w różnych

(3) Paradoks wytworzonej w ten sposób sytuacji charakteryzuje dosadnie przykład, podany w październikowym numerze miesięcznika *Praca i Zabezpieczenie Społeczne*. W myśl zasad ustawy można zatrudnić młodocianych nie celem nauki zawodu tylko wówczas, kiedy wyjątek taki zostanie ustalony w rozporządzeniu i to odrębnie dla każdego przemysłu. Tak więc — ,,aby zezwolić zakładom pracy na zatrudnianie młodocianych w charakterze gońców, trzeba wydać tyle rozporządzeń wykonawczych, ile jest resortów". — Rozporządzenia takie nie zostały, naturalnie, wydane a młodociani z pewnością pracują jako gońcy.

gałęziach produkcji. Wyniki tej kontroli zostały omówione w *Głosie Pracy, Trybunie Ludu* oraz w barwnych, soczyście napisanych reportażach w *Sztandarze Młodych.*

Stwierdzają one przede wszystkim, że powstało w terenie wielkie zamieszanie z powodu nie wydania rozporządzeń wykonawczych, lub dlatego, że były one niedokładnie precyzowane, nieraz zmieniane, i wzajemnie nieuzgodnione (4). Zresztą w wielu zakładach pracy dyrekcje dowiadywały się dopiero podczas kontroli o swoich obowiązkach w tym zakresie.

Ale co ważniejsza, wszystkie sprawozdania stwierdzają bądź to lekceważący, bądź niechętny stosunek kierownictwa przedsiębiorstw do sprawy szkolenia młodzieży, uzasadniany brakiem realnych możliwości zorganizowania systematycznej nauki; niektóre przemysły wypowiadają się zdecydowanie przeciw wprowadzaniu nauki zawodu w zakładach do nich należących, ze względu choćby na zbyt szkodliwą dla młodocianych pracę (np. cementownie), lub też tylko przeciw zasadom, ustalonym w ustawie. Nie stwierdzono w zakładach pracy prób tworzenia szkół przyfabrycznych, czy też wydzielania odrębnych warsztatów szkolnych, lub choćby tylko wyznaczania instruktorów szkolenia. Nie otrzymały one ustalonych z góry programów szkolenia i nie przygotowały własnych. Nikt zresztą przez cały rok od wydania ustawy nie zainteresował się, jak te sprawy wyglądają w zakładach, nic dziwnego więc, że kontrola udowodniła ponad wszelką wątpliwość, że nauka zawodu nie została wprowadzona.

Również ujemne są wyniki kontroli, jeśli chodzi o posyłanie młodocianych do szkół dokształcających. Bo choć nowa ustawa obowiązek ten przywróciła, nie łatwo jest zbudować z powrotem zlikwidowaną sieć szkolną i dopilnować by dyrekcje fabryk zwalniały młodocianych z pracy dla nauki.

Najbardziej jednak nierealne i doktrynerskie okazały się przepisy, dotyczące stawek płac „uczniowskich", które zostały ustalone: dla 1 roku nauki — od 150 do 260 zł. miesięcznie, dla 2 roku — od 320 do 380 zł. i dopiero w 3 i 4-tym roku nauki „uczeń" otrzymywać ma zapłatę, rozpoczynającą się od najniższych grup zaszeregowania robotniczego.

Tak z powietrza po prostu wzięte stawki, określone w jednym z reportaży jako „głodowe", doprowadziły do tego, że w praktyce nie stosuje się ich w żadnym zakładzie pracy. Widoczny jest tu zresztą zwarty front zarówno młodzieży, jak i kierownictwa. Część młodzieży pracującej z pewnością chętnie uczyłaby się zawodu, ale pod warunkiem, by nie być ciężarem

(4) Cytowany już powyżej miesięcznik podaje taki charakterystyczny przykład: mimo że ilość wiadomości, potrzebna dla wyuczenia się zawodu ślusarza, jest jednakowa, niezależnie od tego, kto naukę tę organizuje — okres nauki tej został ustalony różnie w rozporządzeniach: dla przemysłu lekkiego od 3-4 lat, dla przemysłu ciężkiego na 3 lata i dla kopalnictwa naftowego — 2 lata.

dla rodziny, co przy niskich zarobkach i ciężkich warunkach w Polsce jest zupełnie zrozumiałe. Dlatego też np. w Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. 1 Maja w Łodzi, gdzie rok temu (jeszcze przed wydaniem ustawy) uruchomiono szkołę dla prządek, do której zapisało się 70 dziewcząt, płacą im od początku nauki normalne stawki robotnicze i stawek tych nie chcą obniżyć do ustalonego poziomu, bo ,,groziłaby masowa ucieczka z zakładu z wielką szkodą dla produkcji, potrzebującego nowego przyuczonego narybku''.

Taki sam zresztą jest stosunek rodziców do tej sprawy. W Łodzi ,,nagminne jest stanowisko matek, które powiadają — jeśli córka, ucząca się zawodu prządki ma zarobić w pierwszym roku od 150 do 260 zł miesięcznie — to wolę, aby siedziała w domu''.

W konsekwencji jedne przemysły szukają różnych forteli, aby obejść przepisy o stawkach uczniowskich, inne jawnie ich nie stosują: np. w przemyśle budowlanym młodociani pracują nadal na akord i zarabiają od 1000 do 1700 zł miesięcznie.

Analogiczna sytuacja istnieje jeśli chodzi o tzw. wstępny staż pracy. Do jakiego absurdu doprowadzają doktrynerskie przepisy widać choćby na przykładzie młodzieży, która, po ukończeniu szkoły zawodowej lub technikum — aby uniknąć niskich stawek — zataja w zakładach pracy swoje kwalifikacje i angażuje się na warunkach zwykłych robotników.

Reasumując wyniki kontroli *Sztandar Młodych* stwierdza kategorycznie, że *żadne merytoryczne postanowienie ustawy nie zostało zrealizowane.*

Ustawa nie rozwiązała problemu szkolenia zawodowego młodzieży w zakładach pracy, ani nie stworzyła bodźców ekonomicznych, zachęcających młodzież do nauki. Bodźców tych zresztą nie można stworzyć odrębnie dla młodocianych, jeśli nie istnieją one dla ogółu robotników. Cały z gruntu wadliwy system płac w Polsce przyczynia się do tego, że nauka i kwalifikacje zawodowe nie stanowią podstawy do osiągnięcia wyższych zarobków i lepszego stanowiska (5). Toteż sztuczne wprowadzenie stawek uczniowskich przy pozostawieniu bez zmiany dotychczasowego systemu płac, nie może dać pożądanych efektów; konieczność przeprowadzenia zasadniczej reformy w tej dziedzinie uznana została już od dawna, ale żadnych konkretnych kroków dotychczas nie zrobiono.

BEZROBOTNA MŁODZIEŻ

Nie dając efektów pozytywnych, ustawa przyniosła bardzo szkodliwe rezultaty: powoduje katastrofalne wprost zmniejsza-

(5) Ponad milion robotników i pracowników w wieku 18-35 lat — według obliczeń z roku bieżącego — nie miało ukończonej szkoły powszechnej.

nie się liczby młodocianych, zatrudnionych w zakładach pracy. Oto przykłady, podane w raportach z kontroli. W Gdańsku w 20 skontrolowanych zakładach „pracuje zaledwie 405 młodych chłopców i dziewcząt w wieku lat 15-17, pozostała młodzież czeka zapewne na swoje lat 18, przebywając w domu i na ulicy". W Szczecinie w zakładach, objętych kontrolą młodociani stanowili 1 % ogółu zatrudnionych, w Bydgoszczy doliczono się ich zaledwie 0,2 %. Nie lepiej dzieje się w Krakowskim, gdzie odsetek młodocianych jest minimalny, jednocześnie zaś, według danych kuratorium, w województwie tym istnieje kilkunastotysięczna armia piętnastolatków, którzy po ukończeniu szkoły podstawowej nigdzie nie pracują i nie uczą (i to nie wliczając młodzieży wiejskiej (6). Raporty stwierdzają, że zakłady pracy nie tylko nie chcą dziś przyjmować młodocianych, ale nie przewidują ich zatrudnienia i w przyszłości.

Według podanych przez *Nowe Drogi* (wrzesień br.) obliczeń, w 1957 r. — spośród 1611 tysięcy młodzieży w wieku 14-17 lat — 747 tysięcy (46,5 %) ani nie uczyło się, ani nie przystąpiło do pracy zawodowej. A ponieważ liczba młodzieży w tym wieku będzie w ciągu lat najbliższych wzrastać corocznie (w 1965 r. dojdzie do 2621 tysięcy), problem bezrobocia młodzieży staje się coraz bardziej palący.

Trybuna Ludu (z 30 października br.) przyznaje, że w kraju „podniosły się głosy — także i w prasie — twierdzące, że ustawa jest niedobra". *Trybuna Ludu* z głosami tymi, oczywiście, nie zgadza się i próbuje ustawy bronić. Pisze więc że trudno żądać doskonałości (nikt jej nie wymagał !) od ustawy która „nie ma odpowiednika w żadnym ustawodawstwie pracy" i stwierdza, że w dziedzinie, uregulowanej ustawą „nie mamy... żadnego w gruncie rzeczy doświadczenia". To po cóż było w tych warunkach wydawać ustawę, o której z góry było wiadomo, że nie będzie wykonana.

Ustawa z lipca 1958 r. jest całkowitą przegraną systemu naginania rzeczywistości do teoretycznie ustalonych założeń. Co gorsza, utrwala ona, i tak już nazbyt dziś rozpowszechnione w społeczeństwie przekonanie, że można nie wykonywać obowiązujących przepisów prawa.

Artykuł ten nie rości sobie pretensji do wyczerpania całego problemu polityki partii w stosunku do młodzieży. Chodziło mi głównie o wykazanie, że partia nie tylko nie potrafiła zdobyć sobie wpływu ideologicznego na młodzież, ale i że nie zrobiła nic, aby zagwarantować należytą ochronę pracy młodocianych, rozwiązać problem właściwego ich zatrudniania — a dziś staje bezradna wobec zagadnienia narastającego ogromnego bezrobocia młodzieży.

Janina MIEDZIŃSKA

(6) W hucie im. Lenina jest 30 młodocianych, co wynosi 1,6 promille załogi i stanowi 3-krotnie mniejszą liczbę, niż przed dwoma laty.

Czy był możliwy front antyniemiecki?

(ZE „WSPOMNIEŃ KOWIEŃSKICH 1938-1939")

Notatki moje, pisane w 1938-1939 roku, w czasie, gdy byłem attaché wojskowym w Kownie przy Poselstwie Rzeczypospolitej na Litwie, przedstawiają mało znaną szerszemu ogółowi społeczeństwa polskiego sprawę Państw Bałtyckich, Litwy przede wszystkim, oraz Rosji Sowieckiej odnośnie utworzenia pod egidą Rzeczypospolitej Polskiej koalicyjnego wspólnego frontu przeciw ewentualnej niemieckiej agresji.

Po upływie 21 lat, w roku 1959, wspomnienia te wydawać się muszą co najmniej dziwne i nierealne. A jednak tak było rzeczywiście. Zachowanie się Rosji Sowieckiej było wtedy, w roku 1938, bardzo podobne do zachowania się jej w 1959 roku, w Genewie, z tą dużą różnicą, że wtedy Rosja Sowiecka nie osiągnęła jeszcze pełni swoich sił.

W każdym bądź razie słowa wypowiedziane do mnie przed 21 laty, w połowie grudnia 1938 roku, przez attaché wojskowego Rosji Sowieckiej na Litwie i oficera sztabu generalnego armii sowieckiej, były bez żadnego wątpienia prawdziwe: Niemcy dążą do rozpętania wojny europejskiej, a może i światowej, oraz do zagarnięcia całej Polski i Ukrainy — trzeba się temu wspólnie przeciwstawić, tworząc dopóki czas fronty dużej koalicji Zachodu i Wschodu.

Stosunki polsko-sowieckie w 1938 były właściwie nijakie. Wprawdzie mieliśmy pakt o nieagresji z 1932 roku, wprawdzie były jakieś poczynania kulturalne, był nawet jakiś układ handlowy, ale od wieków patrzyliśmy wzajemnie na siebie z wielką nieufnością.

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

11 grudnia 1938 roku. Kowno.

Pułkownik Deglaws, łotewski attaché wojskowy, pozornie z własnej inicjatywy, lecz na pewno z polecenia swego Sztabu Generalnego, poruszył w niedawnej rozmowie ze mną potrzebę natychmiastowego zapoczątkowania współpracy wojskowej wszystkich Państw Bałtyckich z Polską, dla opracowania wspólnego planu działania na wypadek wojny, wszczętej przez Rzeszę Niemiecką. Pułkownikowi Deglawsowi szło o nawiązanie rozmów między sztabami państw bałtyckich: Estonii, Łotwy i Litwy a sztabem polskim. Podkreślał usilnie, że wojna z Niemcami grozi Europie nieuchronnie, w najbliższym czasie. Było to już po słynnym ,,Monachium 1938'', po zagarnięciu Sudetów przez Niemcy i po ,,odebraniu'' Zaolzia przez wojska polskie.

Kreśląc swój plan współpracy Państw Bałtyckich z Polską, pułkownik Deglaws miał na myśli związek obronny na wypadek wojny zarówno z Niemcami, jak i z Rosją Sowiecką, ale uważał, że niebezpieczeństwo ze strony Niemiec jest bliższe w czasie, choć potencjalnie może zagrażać z obu stron. Plan płk. Deglawsa, poparty licznymi objaśnieniami na mapie, polegał na tym, że w wypadku wojny z Niemcami, siły zbrojne Państw Bałtyckich, oceniane przez niego na 15-20 dywizji piechoty, utworzyłyby na terenie Litwy północne skrzydło dla polskiego frontu przeciwniemieckiego i mogłyby być, wspólnie z siłami polskimi, użyte do działań zaczepnych, mających na celu likwidację niemieckich sił w Prusach Wschodnich. Jak wykazała ta rozmowa, płk. Deglaws orientował się bardzo dobrze w możliwościach niemieckich w Prusach Wschodnich i był zdania, że uderzenie sił polskich wzdłuż wschodniego brzegu rzeki Wisły wespół z uderzeniem sił Państw Bałtyckich wprost od wschodu, a więc łącznymi siłami 20-25 dywizji piechoty, byłoby wystarczające dla opanowania Prus Wschodnich. Warunkiem powodzenia tej operacji byłoby solidne, bezwzględne, utrzymanie reszty frontu przez siły polskie na ogólnej linii: rzeka Wisła — Bydgoszcz — Kalisz — Wieluń — Śląsk.

W ocenie sił polskich, którą podał mi w sposób dyskretny, płk Deglaws stanowczo przeceniał nasze polskie możliwości mobilizacyjne, sądząc, że Polska będzie zdolna wystawić po całkowitej mobilizacji 60 wielkich jednostek-dywizji piechoty i brygad kawalerii. (Polskie Siły Zbrojne w roku 1938 liczyły na stopie pokojowej 30 dywizji piechoty i 11 brygad kawalerii).

Omawiając warunki, na jakich byłaby możliwa współpraca Państw Bałtyckich pomiędzy sobą, a z kolei z Polską płk Deglaws zaznaczył, że są duże trudności w zespoleniu politycznym i w utworzeniu z nich jednolitego bloku działania politycznego, a przede wszystkim militarnego. Płk Deglaws oceniał dotychczasowe wyniki konferencji bałtyckich jako

zupełnie niedostateczne. Konferencje te, odbywające się periodycznie i kolejno w Kownie, Rydze i Tallinie, nie dały żadnych pozytywnych rezultatów. Panuje stały stan niezdecydowania i poszukiwania przez każdego członka „,ententy bałtyckiej" własnych dróg działania. Płk Deglaws uważał istniejący stan rzeczy za bardzo w przyszłości niebezpieczny. Ponieważ na gruncie dyplomatycznym nie udało się dotychczas doprowadzić do pełnego porozumienia pomiędzy trzema Państwami Bałtyckimi, płk Deglaws proponował, aby spróbować drogi porozumienia wojskowego przy pomocy sztabów generalnych Państw Bałtyckich i wyrażał pogląd, że inicjatywę powinna wziąć w swoje ręce Polska. W politycznym omówieniu możliwości podobnego porozumienia Polski z Państwami Bałtyckimi płk Deglaws wyraził pogląd, że Rosja Sowiecka nie byłaby wroga czy niechętna temu porozumieniu, zwróconemu wyraźnie przeciwko Niemcom, ale jednocześnie raczej bardzo niechętnie rozważał możliwość rozszerzenia przyszłego anty-niemieckiego sojuszu Państw Bałtyckich i Polski także na Rosję Sowiecką, obok mocarstw zachodnich: Francji i Wielkiej Brytanii.

Było więc dla mnie jasne, że plan ministra Becka ,,Trzeciej Europy", z którym byłem zaznajomiony, dotarł już do łotewskiego Sztabu Generalnego i że dzisiejsze wystąpienie płk. Deglawsa jest jednym z jego następstw.

Przy końcu naszej rozmowy płk Deglaws powiedział mi że, według jego zdania, powinienem wpłynąć kategorycznie na polski Sztab Generalny w Warszawie, aby już teraz, nie zwlekając ani chwili, rozpoczęto rozmowy o współpracy wojskowej na wypadek wojny z Niemcami ze Sztabami Generalnymi Państw Bałtyckich, nie wyłączając Litwy. Zapytałem go, czy sądzi, że litewski Sztab Generalny dojrzał już do tego rodzaju rozmów z Polską, i czy nie byłyby one przedwczesne z uwagi na wydarzenia z marca tego roku (nasze ultimatum do Litwy). Płk Deglaws odpowiedział mi dosłownie: ,,doprawdy czas nagli, aby wspólne dla nas zagadnienia obrony Państw Bałtyckich zostały poruszone w sposób najpoważniejszy; co do Litwy, to wiem z całą pewnością, że są w wojsku litewskim rozsądni i poważni ludzie, którzy już obecnie pragnęliby przystąpić do rozmów wojskowych z nami, z Łotwą, z Estonią, i z Polską". Nieco później płk Deglaws dał mi do zrozumienia, że można liczyć na poparcie generałów Rasztikisa i Czerniusa w zapoczątkowaniu tego rodzaju rozmów.

Dziękując za podzielenie się ze mną tymi cennymi i słusznymi poglądami oświadczyłem, że uczynię wszystko co będzie w mojej mocy, aby nadać sprawie pożądany bieg.

Propozycje płk. Deglawsa, a właściwie Sztabu Generalnego Łotewskiego, a może, jak można było przypuszczać i reszty Państw Bałtyckich, szły najwyraźniej i najzupełniej po linii zamierzeń Polskiego Sztabu, tak jak to wyłożył mi płk

Pełczyński, szef Oddziału II Sztabu Głównego, w instrukcjach danych mi 8 kwietnia 1938 roku, gdy wyjeżdżałem do Kowna.

Zdawałem sobie dokładnie sprawę, że od początkowych rozmów sztabowych do sojuszu politycznego i wojskowego między Państwami Bałtyckimi a Polską jest bardzo daleko.

Przesyłając do Sztabu Głównego w Warszawie mój raport o tej rozmowie i o propozycjach płk. Deglawsa (raczej Sztabu Łotewskiego) i nagląc o przyśpieszenie decyzji w tej kwestii, zaopatrzyłem go komentarzem, w którym podałem, że na podstawie moich obserwacji w Nadbałtyce nie uda się nam nakłonić Rządów Państw Bałtyckich i Litwy w pierwszym rzędzie, do przystąpienia do sojuszu przeciwko Niemcom, bez uzyskania przedtem błogosławieństwa Francji i Anglii i, być może, Rosji Sowieckiej.

15 *grudnia* 1938. *Kowno.*

Nie wspominałem poprzednio o moich stosunkach z sowieckim attaché wojskowym, majorem Korotkich. Po nawiązaniu znajomości w czasie tegorocznych manewrów litewskich i po wymianie wizyt, nawiązaliśmy ze sobą dość bliskie stosunki, widując się raczej często i odwiedzając się wzajemnie. Major Korotkich jest w Kownie z żoną i z córką. Mieszkają niedaleko od nas w przyjemnym, niewielkim nowoczesnym mieszkaniu i przyjmują u siebie z prawdziwie rosyjską gościnnością, z tak zwaną z rosyjska ,,chlebosolnością'', autentycznymi rosyjskimi potrawami i napojami. Major Korotkich, jak opowiadał mi o sobie, pochodzi z okolic Kijowa, gdzie ukończył wojskową szkołę artylerii, później był w Akademii Wojennej w Moskwie, a ostatnio, przed wyznaczeniem go na attaché wojskowego na Litwie był jakiś czas w Turcji na stażu. Rozmowy nasze stawały się w miarę pogłębiania znajomości coraz bardziej bezpośrednie, może nawet i szczere, i obracały się nieustannie wokoło zagadnienia niemieckiego w Europie i poszukiwania sposobów, jak znaleźć wyjście z grożącego niebezpieczeństwa, powstrzymać agresję niemiecką i zapobiec wojnie europejskiej, a może i światowej.

Wczoraj major Korotkich telefonował do mnie, że chciałby się ze mną zobaczyć i prosił, czy bym nie zaszedł do niego ,,pobiesiedowat'' — porozmawiać. Zgodziłem się chętnie, bo rozmowy z nim były zawsze niezwykle interesujące. Okazało się, że nie była to nasza kolejna rozmowa fachowa; nastąpiła ze strony majora Korotkich wyjątkowo poważna deklaracja w zasadniczych zagadnieniach, dotyczących Rzeczpospolitej Polskiej i Rosji Sowieckiej. Bez wątpienia nastąpiła ona na zlecenie Sztabu Generalnego Sowieckiego, nie wierzę aby major Korotkich mógł sam wystąpić z podobną inicjatywą.

Na wstępie major Korotkich rozwinął bardzo szczegółowo obraz położenia w Europie. W skrócie polegało to na stwierdzeniu, że Niemcy i Włochy przygotowują wojnę europejską która, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przeobrazi się w wojnę światową, ponieważ za Niemcami i Włochami pójdzie Japonia — trzeci partner „Osi'', na Dalekim Wschodzie — co automatycznie — wcześniej czy później — musi spowodować udział w wojnie Stanów Zjednoczonych. Major Korotkich oceniał, że zamiarem Niemiec jest uderzenie w pierwszym rzędzie na Francję i Polskę, a w dalszym biegu wypadków i na Rosję celem opanowania Ukrainy, przy czym uważał że Niemcy prawdopodobnie najpierw uderzą na Francję, a dopiero później na Polskę, nie chcąc ryzykować działań wojennych w pobliżu Rosji. Na moją uwagę, że Sztab Polski przewiduje odwrotny porządek działań niemieckich, a mianowicie liczy się z uderzeniem głównych sił niemieckich w pierwszej kolejności na Polskę, major Korotkich odpowiedział: „tym lepiej, że Sztab Polski tak właśnie przewiduje — będzie Panu Pułkownikowi łatwiej zgodzić się z dalszymi moimi wywodami''.

Następnie major Korotkich szerzej omówił tezę, że jest jeszcze czas na poczynienie kroków, które by mogły zapobiec wybuchowi wojny, to znaczy, które wytworzyłyby takie warunki polityczne, że Niemcy musiałyby uznać każdą dalszą agresję za nader niebezpieczne ryzyko, co powstrzymałoby ich prawdopodobnie przed rozpętaniem wojny. Major Korotkich oświadczył mi, że najbardziej skutecznym środkiem, prowadzącym do tego celu, powinno być niezwłoczne zorganizowanie koalicji anty-faszystowskiej, zwróconej w równym stopniu przeciwko Niemcom, Włochom i Japonii. Do koalicji powinnyby wejść: na Zachodzie — Francja, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone Ameryki, a na Wschodzie — Rosja, Polska oraz Czechosłowacja. Polska — mówił ze szczególnym naciskiem major Korotkich — ma do wykonania w tym ogólnym planie wielkie i zaszczytne zadanie skupienia wokół siebie innych mniejszych narodów Środkowo-Wschodniej Europy, położonych między Bałtykiem a Morzem Czarnym, których zaufanie Polska może posiąść, oraz oparcia całego tego zespołu o sojusz z Rosją.

Przechodząc do bliższego omawiania sprawy sojuszu Polski z Rosją, major Korotkich dodał z naciskiem, że warunkiem nieodwołalnym — *sine qua non* — porozumienia wojskowego i sojuszu polityczno-wojskowego między Rosją a Polską są następujące punkty: 1. zgoda ze strony Polski na prawo natychmiastowego wkroczenia wojsk rosyjskich na terytoria Państw Bałtyckich, w wypadku pierwszych oznak agresji niemieckiej, konkretnie, gdyby nastąpiło zagrożenie Polski lub Litwy ze strony Niemiec, względnie gdyby Niemcy rozpoczęły działania zaczepne przeciwko Francji; 2. upoważnienie strony

Polski dla Rosji Sowieckiej do prawa korzystania z baz i linii komunikacyjnych na obszarach Wilna i Lwowa oraz zgoda ze strony Rządu Polskiego na przemarsz wojsk rosyjskich przez obszary Wilno i Lwów, aby umożliwić rosyjskie działania na Prusy Wschodnie oraz przez Małopolskę Wschodnią na pomoc Czechosłowacji.

Rozwijając powyższe punkty, major Korotkich oświadczył mi, że Państwa Bałtyckie w obecnym układzie politycznym Europy prowadzą — być może z konieczności — chwiejną politykę wielostronnego balansowania na wszystkie strony; polityka ta nie jest jasna i nie wiadomo, czy pod naciskiem Niemiec Państwa Bałtyckie nie skapitulują i nie staną się obszarem skąd Niemcy mogliby uderzyć na północne skrzydło rosyjskie. Polska — zaznaczył major Korotkich — nie byłaby w stanie swymi siłami zbrojnymi przeszkodzić samodzielnie podobnemu biegowi wypadków; stąd niezbędna jest pomoc Rosji i tylko na tym jest oparte żądanie Rosji prawa wkroczenia — przy oznakach agresji niemieckiej w Europie — na terytoria Państw Bałtyckich. Major Korotkich, nie ukrywając że Rosji samej, bez powzięcia nadzwyczajnych kroków, trudno byłoby przekonać Państwa Bałtyckie o potrzebie takiego rozwiązania, proponował mnie, a przeze mnie Sztabowi i Rządowi Polskiemu, aby sprawa gwarancji niezależności politycznej Państw Bałtyckich — Estonii, Łotwy i Litwy — na wypadek wkroczenia wojsk rosyjskich, była załatwiona wspólnie i solidarnie przez Rosję i Polskę.

Na zakończenie swego wywodu major Korotkich raz jeszcze mocno podkreślił, że cały świat znajduje się w krytycznym momencie i że jest to ostatnia chwila, aby przez możliwie jak najszybsze porozumienie zorganizować silną, potężną koalicję przeciwfaszystowską w składzie Francja, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone Ameryki, Czechosłowacja, Polska i Rosja i w ten sposób nie dopuścić do wojny światowej którą inaczej wywołają na pewno Niemcy, Włochy i Japonia.

Byłem najzupełniej zaskoczony tym nieoczekiwanym oświadczeniem majora Korotkich, bo nie wiedziałem, jak mam sobie tłumaczyć fakt, że właśnie mnie wybrał sobie Sztab Sowiecki dla przekazania tej ważnej wiadomości do Sztabu Polskiego, a raczej do Rządu Polskiego, nie zaś polskiego attaché wojskowego w Moskwie, pułkownika Brzeszczyńskiego? Ponadto nie posiadałem żadnych instrukcji ani uprawnień do prowadzenia tego rodzaju rozmów, ani też żadnych pełnomocnictw do wypowiadania poglądów moich mocodawców: marszałka Śmigłego-Rydza względnie generała Stachiewicza, zwłaszcza wobec przedstawiciela Rosji Sowieckiej. Powiedziałem o tym majorowi Korotkich, zaznaczając, że to co mu mówię stanowi wyłącznie moje własne zdanie i że treść jego wywodów niezwłocznie przekażę do Sztabu Polskiego w Warszawie, gdzie i sam wkrótce będę.

Oświadczyłem majorowi Korotkich, że osobiście w całej pełni zgadzam się z jego oceną położenia w Europie i w całym świecie, że podzielam jego poglądy, że sytuacja jest nader niebezpieczna i że agresja niemiecka wisi nad Europą. W szczególności powiedziałem mu, że uważam porozumienie, a nawet sojusz, Polski z Rosją za nieodzowną konieczność na wypadek napaści niemieckiej na Polskę, obok jednakże równoległego sojuszu z Zachodnimi Mocarstwami, Francją i Anglią i, o ile to będzie możliwe, ze Stanami Zjednoczonymi Ameryki. Po ostatnich wydarzeniach w Czechosłowacji — mówiłem — wydaje mi się, że Niemcy są w przede dniu dalszej akcji zaczepnej — prawdopodobnie przeciwko Polsce. Sojusz, albo porozumienie wojskowe, Polski z Rosją wyobrażam sobie osobiście w ten sposób, że Polska powinna otrzymać od Rosji natychmiastową pomoc w siłach lotniczych, w jednostkach pancernych czołgów i w dostawach zaopatrzenia wojennego, a na wypadek wojny z Niemcami przede wszystkim w zapewnieniu Polsce głębokich, zorganizowanych tyłów. Polskie lądowe siły zbrojne — mówiłem do majora Korotkich — dywizje piechoty i brygady kawalerii, aczkolwiek znacznie niższe liczebnie niż niemieckie siły zbrojne, powinny wystarczyć, aby z pomocą rosyjskiego lotnictwa i broni pancernej, oraz przy pomocy zachodnich aliantów Francji i Anglii, którzy powinni niezwłocznie przejść do działań zaczepnych w razie uderzenia niemieckiego na Polskę, skutecznie oprzeć się niemieckiemu natarciu i je zatrzymać.

W tym miejscu major Korotkich przerwał mi zadając pytanie: ,,Czy to prawda, że polskie dywizje piechoty są pierwszorzędne?''. Odpowiedziałem mu twierdząco. Uważałem, że to pytanie było wymierzone w moją wiarę, że możemy obronić się przed Niemcami tylko przy pomocy polskich sił.

Mówiąc dalej, podkreśliłem bardzo silnie majorowi Korotkich, że na naszej polskiej ziemi pragniemy się bić samodzielnie, suwerennie i pod własnym polskim dowództwem. Jeśli idzie o wejścia wojsk rosyjskich na ziemie polskie do Wilna i Lwowa, to powiedziałem majorowi Korotkich, że długowieczne doświadczenie nauczyło Polaków nie ufać nikomu, a zwłaszcza Rosjanom, gdyż wiemy, że raz przez wojsko rosyjskie zajęte ziemie — Wilno i Lwów — nigdy dobrowolnie nie będą nam zwrócone. Nie znaczy to jednak — mówiłem dalej — że odrzucam udział wojsk rosyjskich na obu skrzydłach polskich: na północy w Prusach Wschodnich — łącznie z ewentualnym udziałem Państw Bałtyckich i na południu na kierunku Wiedeńskim — Czechosłowacja. W wypadku obecności wojsk sowieckich na polskich skrzydłach zagadnienie wspólnego naczelnego dowództwa dla koordynowania operacji byłoby rzeczą do omówienia i ustalenia pomiędzy Rosją a Polską.

Raz jeszcze prosiłem majora Korotkich, aby zdanie moje w tej materii zechciał traktować nie jako odpowiedź oficjalną i urzędową, a jako najzupełniej prywatny mój osobisty po-

gląd. Zawiadomiłem go jednocześnie, że natychmiast przekażę naszą rozmowę Szefowi Polskiego Sztabu Głównego i że mam nadzieję, iż wobec jej wyjątkowej doniosłości, otrzymam rychło odpowiedź.

Major Korotkich po wysłuchaniu mojej odpowiedzi bez żadnych komentarzy wrócił raz jeszcze do problemu Państw Bałtyckich, na co brak było odpowiedzi w moich słowach. Po prostu nie chciałem mówić na tematy do mnie nienależące, nawet w formie prywatnej. Ponownie, tym razem silniej niż poprzednio, zaznaczył, że Rosja Sowiecka nie jest pewna stanowiska Państw Bałtyckich w wypadku konfliktu europejskiego, spowodowanego przez Niemcy i Włochy. Dotychczasowa polityka wszystkich Bałtów — jest bardzo niejasna w stosunku do Niemiec. Szczególniej Estonia wydaje się być w jakichś niewyraźnych konszachtach z Niemcami: częste wizyty szefa niemieckiego wywiadu, admirała Canarisa, są bardzo podejrzane. Sztab Sowiecki jest zdania, że Niemcy w razie uderzenia na Wschód, na Polskę, byłyby w możności opanowania całej Nadbałtyki i Finlandii bez żadnego oporu ze działania zaczepne przeciwko Francji; 2. upoważnienie ze strony tych państw. Polska zaś nie byłaby w stanie temu przeszkodzić — mówił major Korotkich. Podobna sytuacja spowodowałaby poważne zagrożenie północnego skrzydła całego frontu sowieckiego, a nawet mogłaby grozić ewentualnością utraty Leningradu i całkowitym odcięciem Rosji od Morza Bałtyckiego. Z tych powodów sprawa zabezpieczenia na czas całego obszaru nadbałtyckiego przed ewentualnością agresji niemieckiej stanowi podstawowe zagadnienie Rządu Sowieckiego i Sztabu Generalnego Sowietów, które powinno być jak najpilniej załatwione. Major Korotkich ponownie i z dużym naciskiem stwierdził, że przede wszystkim należy załatwić sprawę wejścia wojsk rosyjskich, w razie pierwszych oznak agresji niemieckiej do Państw Bałtyckich, do Estonii, Łotwy i Litwy.

W odpowiedzi, przyznałem mu w zasadzie słuszność co do zagrożenia północnego skrzydła sowieckiego w razie agresji niemieckiej, nadmieniając że, gdyby miało dojść do rozwiązania tej sprawy w proponowany przez niego sposób, to należy bezwzględnie pamiętać o tym, aby wszystkie Państwa Bałtyckie i Finlandia otrzymały solidarnie od wszystkich członków przyszłej koalicji antyniemieckiej, a przede wszystkim od Rosji Sowieckiej gwarancję zachowania integralnej politycznej niezależności. Major Korotkich przyznał mi pełną rację — bez żadnej dyskusji. Na tym zakończyliśmy rozmowę.

Po powrocie do domu, po tej trwającej ponad cztery godziny rozmowie, pracowałem długo nad moim raportem do Szefa Sztabu Głównego w Warszawie, aby możliwie jasno oddać jej myśli przewodnie i należycie uwypuklić plan koalicji przeciwniemieckiej, według inicjatywy Sowieckiego Sztabu Generalnego. Wciąż zastanawiała mnie kwestia dlaczego właś-

nie ja, attaché wojskowy polski na Litwie, wybrany jestem przez Sztab Sowiecki do tego celu. Czyżby zaważyła tu moja znajomość z majorem Korotkich, zawarta jeszcze na manewrach litewskich?

Rozważając wszystko, uznałem podane przez majora Korotkich oświadczenie Sowieckiego Sztabu Generalnego za wydarzenie wielkiego znaczenia dla nas, dla Polski, zwłaszcza łącząc to z poprzednią rozmową z pułkownikiem Deglawsem o możliwości ustanowienia prawdziwej ,,ententy bałtyckiej'' przeciwko Niemcom, realnie popartej przez Rosję Sowiecką. Wydawało mi się, że jest obecnie rzeczą zupełnie możliwą zorganizowanie przymierza, sojuszu, Państw Bałtyckich z Rzeczypospolitą Polską w oparciu o nasz sojusz z Rosją Sowiecką. Sprawą która może przynieść dużo kłopotów, jest żądanie Sztabu Sowieckiego wejścia do Państw Bałtyckich w wypadku jakiejkolwiek agresji niemieckiej w Europie i żądanie otrzymania prawa wkroczenia do rejonów Wilno i Lwów w tym samym wypadku. Sowiety, Sztab Generalny Sowiecki, według słów majora Korotkich, zdaje się nie bardzo wierzyć w to że my, Polacy, sami sobie damy radę z Niemcami.

Kilkanaście dni przed moją rozmową z majorem Korotkich prasa polska — urzędowa ,,Gazeta Polska'' z Warszawy — ogłosiła, że stosunki polsko-rosyjskie, po napięciu, jakie istniało w czasie akcji polskiej przeciwko Czechosłowacji, doznały ostatnio dużej poprawy, oraz że rozpoczęte zostały rokowania w Moskwie o znaczne rozszerzenie stosunków handlowych pomiędzy Polską a Rosją. Na mocy tych wiadomości, bo innych o stosunkach naszych z Rosją Sowiecką nie otrzymywałem, przypuszczałem że inicjatywa ze strony Sowieckiego Sztabu Generalnego skierowana za moim pośrednictwem do Polskiego Sztabu Głównego w Warszawie, będzie należycie przyjęta i oceniona zarówno przez nasze najwyższe władze wojskowe, jak również przez sfery rządowe. Moment wydawał mi się może nieco spóźniony, wobec bardzo poważnego wstrząsu moralnego i dużego osłabienia materialnego (utrata całej linii umocnionej w Sudetach) Czechosłowacji, tym niemniej jeszcze odpowiedni do rozpoczęcia poważnej akcji, zabezpieczającej Europę, i świat cały, przed nową wojną, a więc przed Niemcami.

16 *grudnia* 1938. *Kowno.*

Dzisiaj rano miałem długą konferencję z pułkownikiem Dulksnysem, szefem II-go Oddziału Sztabu Litewskiego. Po rozmowie z nim przyszedłem do wniosku, że gdybyśmy byli w możności zapewnić Litwie rzeczywistą pomoc w sprawie Kłajpedy przeciwko Niemcom, to Litwa, a w ślad za nią i reszta Państw Bałtyckich, znalazłaby się natychmiast w so-

juszu politycznym i wojskowym z Polską. Niestety jest jasne, że to przekracza nasze siły, że sami żadnej konkretnej pomocy wojskowej Litwie okazać nie możemy oprócz miodowych słówek, niedawno wypowiedzianych w tej sprawie, przez ministra Becka ; nie obronimy własnymi siłami litewskiej Kłajpedy przed Niemcami. Polska sama nie ma na to dostatecznych sił. Byłoby to możliwe jedynie z pomocą koalicji przeciwniemieckiej, pomyślanej szeroko, od Wschodu i od Zachodu.

Idąc na rozmowę do pułkownika Dulksnysa, zamierzałem po pierwsze, zbadać, czy istotnie — jak informował mnie attaché wojskowy łotewski, pułkownik Deglaws — można już zapoczątkować ze Sztabem Litewskim rozmowy o wspólnej obronie w razie napaści niemieckiej i o związaniu się sojuszem Państw Bałtyckich z Rzeczypospolitą Polską, po drugie, zorientować się, jak zapatruje się Sztab Litewski — ściśle pułkownik Dulksnys — na rozszerzenie porozumienia przeciwniemieckiego przez udział w nim Sowieckiej Rosji (w myśl sugestii Sztabu Sowieckiego, podanych mi przez majora Korotkich), i po trzecie wybadać co myślą w Sztabie Litewskim o ewentualnym użyciu Nadbałtyki, w szczególności Litwy, jako bazy wyjściowej na Prusy Wschodnie dla sił bałtyckich i sił rosyjskich.

Rozmowę z pułkownikiem Dulksnysem, jak i wszystkie poprzednie rozmowy, prowadziłem na własną odpowiedzialność i w pewnym stopniu na własną rękę, ponieważ nie otrzymywałem nie tylko żadnych instrukcji ani wskazówek ze Sztabu Głównego w Warszawie, ale nawet potwierdzenia, czy też choćby słowa odpowiedzi, na systematycznie przesyłane przeze mnie sprawozdania, prawie że stenogramy, z każdej mojej rozmowy. Sądziłem jednak, że działam ogólnie po linii zamierzeń, jakie wskazały mi w Warszawie, w kwietniu 1938, najwyższe osobistości kierujące państwowym życiem Rzeczypospolitej Polskiej i jej polityką zagraniczną. Tym więcej że, według moich obserwacji, byłem przeświadczony, iż nadchodzi z wielką szybkością ta chwila, w której polska polityka zagraniczna, nazywana niesłusznie „polityką realnego aktywizmu", zmuszona będzie do zerwania z dotychczasowym balansem między Rosją a Niemcami i do powzięcia radykalnej, wyraźnej decyzji, ustanawiającej Polskę w pozycji niedwuznacznej wobec Rzeszy Niemieckiej. Ostatnia moja rozmowa z attaché wojskowym sowieckim majorem Korotkich wskazywałaby, że możemy pod pewnymi warunkami, liczyć na porozumienie się z Rosją Sowiecką i nawet na jej pomoc w razie wojny z Niemcami. Oczywiście, że wkroczenie wojsk sowieckich do Nadbałtyki i na obydwa skrzydła polskie (przez Wilno i przez Lwów) może przynieść ze sobą ciężkie i poważne niespodzianki. Naturalnie, istnieją duże różnice w ustrojach i w samym życiu obywateli Państw Bałtyckich i Rzeczypospolitej Polskiej i Rosji Sowieckiej, ale to jest rzecz raczej drugorzęd-

nej wagi wobec powstającej dla Polski i dla Państw Bałtyckich kwestii być, albo nie być, która się wyłania w razie zwycięstwa Niemiec. Ostatnio widoczne są niedwuznaczne przygotowania Niemiec do akcji zaczepnej w Europie; wiemy ponadto w Polsce od dawna, że Niemcy dążą do odebrania nam Gdańska i Zachodnich ziem Polski: Poznańskiego, polskiego Pomorza i Górnego Śląska.

Zapamiętałem sobie słowa, które wypowiedział w tym roku pułkownik Dulksnys, Szef Oddziału II Sztabu Litewskiego. Mam dla niego wiele szczerej sympatii i prawdziwego szacunku; po prawie rocznej z nim współpracy i bardzo częstych rozmowach poznałem, zdaje mi się, jego poglądy. W odróżnieniu od dość licznych polityków litewskich, którzy dali się ponieść prądowi szowinistycznemu, skrajnego nacjonalizmu litewskiego, i podnieśli sztandar Wielkiej Witoldowej Litwy, dzięki czemu zatracili poczucie rzeczywistości, patrząc na wydarzenia współczesne przez nierealne szkła — pułkownik Dulksnys znakomicie wyczuwa położenie Litwy; wielokrotnie mówił mi, że niezależność i niepodległość Litwy jako państwa, jest możliwa jedynie tylko w porozumieniu z innymi, z Polską w pierwszym rzędzie. Dodawał jednak zwykle — starając się nie urazić mnie jako Polaka — że gwarancja niepodległości Litwy wyłącznie ze strony Polski jest niewystarczająca.

Analizując pewnego razu następstwa ewentualnego wchłonięcia Litwy przez Niemcy albo Rosję pułkownik Dulksnys wypowiedział co następuje: „Niemcy, gdyby zajęli Litwę, z pewnością zniszczyliby bez reszty nasz cały naród, kolonizując się w Litwie i rozpędzając Litwinów po całym zajętym przez siebie obszarze Europy; bylibyśmy wyrzuceni z naszych odwiecznych siedzib, zgermanizowani i zginęlibyśmy, jako Litwini, bez śladu, nie mówiąc już o Państwie Litewskim, gdyby zaś Rosja Sowiecka zajęła nasz kraj, z pewnością wytępiłaby naszą inteligencję, zapewne „pohulałaby" z naszymi klasami posiadającymi, które wyrżnęłaby i pomordowała; na pewno zmieniłaby nasz system życia państwowego. Ale narodu litewskiego Sowiecka Rosja — przypuszczalnie — nie ruszy. Moglibyśmy utracić naszą państwowość i niezależność polityczną, kosztowałoby to nas drogo, ale naród litewski mógłby ocaleć".

Pomyślałem sobie wtedy, że to samo można odnieść do Polski w razie jeśliby weszła do niej Rosja Sowiecka.

Powracam do mojej rozmowy z pułkownikiem Dulksnyesm. Na wstępie zarysowałem mu w sposób ostrożny perspektywy, jakie mogłyby oczekiwać Litwę i inne państwa bałtyckie w razie niemieckiego uderzenia na Polskę, opierając te rozważania na ogólnym zagrożeniu pokoju Europy przez Niemcy, a to w celu, aby móc wysunąć myśl potrzeby solidarnego przeciwstawienia się wszystkich zagrożonych narodów przez złączenie swych sił dla wspólnej obrony.

Płk Dulksnys podjął bardzo chętnie ten temat; widać był na podobne wystąpienie z mojej strony przygotowany za wczasu (vide rozmowa moja z płk. Deglawsem attaché wojskowym Łotwy). Zastrzegł się jednak, że wiążącą rozmowę na ten temat będę mógł przeprowadzić dopiero po decyzjach rządu litewskiego i, że on — dla uzyskania jak najprędzej wytycznych — dziś jeszcze zamelduje o moich sugestiach generałowi Rasztikisowi. Obecnie, powiedział mi płk Dulksnys, mam prawo solennie oświadczyć, że Sztab Litewski ustosunkowuje się bezwarunkowo pozytywnie i z pełnym zrozumieniem do potrzeby porozumienia między wszystkimi państwami bałtyckimi, a z kolei zespołu tych państw z Polską dla wspólnej obrony przed ewentualnym agresorem. Warunkiem tego porozumienia, lub każdego innego sojuszu, dotyczącego Litwy z innym Państwem musi być absolutna gwarancja, że Litwa i pozostałe państwa bałtyckie zachowają swoją niepodległość w obecnym stanie niezależności politycznej i w obecnym stanie posiadania terytorialnego. W odpowiedzi na moje operacyjne rozważania o znaczeniu obszaru Nadbałtyckiego w planowaniu i wykonaniu operacji na Prusy Wschodnie przeciwko Niemcom, i na moją sugestię, że uderzenie na Prusy Wschodnie przeciw Niemcom, gdyby doszło z nimi do wojny, musi być wykonane możliwie jak najprędzej i możliwie największymi siłami, włączając w to ewentualnie i siły Rosji Sowieckiej — płk Dulksnys zasłonił się brakiem pełnomocnictw do podejmowania rozmów na tematy operacyjne. Reakcja płk. Dulksnysa na moje aluzje, co do ewentualnego udziału Rosji Sowieckiej w koalicji obronnej przeciwko Rzeszy Niemieckiej, była raczej ujemna, a odpowiedzi jego najwyraźniej wymijające.

Ostatecznie, bilans mojej rozmowy z pułkownikiem Dulksnysem był raczej dodatni i pozytywny. Sztab Litewski jest gotów mówić z Polską o porozumieniu wojskowym, łącznie z całością Państw Bałtyckich. Generał Rasztikis został powiadomiony o tym i o projekcie sojuszu wojskowego przeciw Rzeszy Niemieckiej; sprawa będzie referowana przez niego Rządowi Litewskiemu. Najwięcej nastręcza kłopotu kwestia żądań sowieckich wkroczenia na obszar państw bałtyckich i korzystania z węzłów Wilno i Lwów z prawem przemarszu wojsk sowieckich przez te punkty na terytorium polskim, jako nieodzowny warunek przystąpienia Rosji Sowieckiej do koalicji antyniemieckiej.

Poinformowałem bardzo obszernie Szefa Sztabu Głównego w Warszawie o rozmowie mojej z płk. Dulksnysem i przypuszczam, iż dostarczyłem Sztabowi Głównemu dostatecznych elementów do oceny położenia w państwach bałtyckich, na Litwie w szczególności, i zamierzeń Sowieckiego Sztabu Generalnego odnośnie Państw Bałtyckich.

Z mego punktu widzenia, czas naglił aby decyzje naszego Sztabu i ewentualnie Rządu Polskiego zapadły jak najwcześniej i aby przed wiosną (1939) mogły rozpocząć się konkretne roz-

mowy pomiędzy Warszawą a Moskwą i stolicami Państw Bałtyckich. Wydaje mi się, że wszystkie państwa bałtyckie zgodzą się na przyjęcie zbiorowej gwarancji o ich niepodległości od Francji, Anglii, Rosji Sowieckiej i Polski, a po ich uzyskaniu, być może pod naciskiem, zgodzą się na obecność i przemarsz przez ich terytorium wojsk sowieckich w wypadku zagrożenia przez Niemcy Polski (Gdańsk) i Litwy (Kłajpeda). Sądziłem również że sprawa Wilna i Lwowa tj. sprawa korzystania przez wojsko sowieckie z tych węzłów, z prawem przemarszu na Prusy Wschodnie i na Czechosłowację, będzie przez nasz Rząd pomyślnie załatwiona.

Czy byłoby możliwe uniknięcie wprowadzenia wojsk sowieckich na obszar państw bałtyckich w wypadku koalicyjnego działania przeciwko Niemcom? Odpowiedź na to pytanie wydaje się następująca: polskie lądowe siły zbrojne, wobec co najmniej dwukrotnie przewagi liczebnej niemieckiej, mogą wystarczyć najwyżej na zorganizowanie dość słabej obrony frontu między Pomorzem a Śląskiem (Grudziądz — Gniezno — Wieluń — Obszar Warowny Śląsk) pod warunkiem, że ze wschodu i z zachodu będziemy poważnie wsparci przez naszych Aliantów — lotnictwem i jednostkami pancernymi; obrona ta może być dostatecznie skuteczna. Natomiast zaczepne działania celem likwidacji Prus Wschodnich przekraczałaby w tych warunkach nasze możliwości. Siły Litwy są za słabe, aby mogły pokusić się o Prusy Wschodnie zupełnie same; połączone siły państw bałtyckich: Estonii, Łotwy i Litwy mogą liczyć 9-12 dywizji piechoty i brygadę kawalerii, albo — jak twierdził pułkownik Deglaws — 15-20 dywizji piechoty, ale byłoby to możliwe dopiero po przeprowadzeniu pełnej mobilizacji i po dostarczeniu armiom państw bałtyckich potrzebnego uzbrojenia i zaopatrzenia. Wyklucza to absolutnie szybkie uderzenie na Prusy Wschodnie co znów jest warunkiem nieodzownym w wojnie Niemiec z Polską; Prusy Wschodnie, nawet oddzielone od reszty Niemiec, stanowią ciągle groźne skrzydło niemieckie wiszące nad całą Polską. Ze względów strategicznych w chwili wybuchu wojny z Niemcami uderzenie na Prusy Wschodnie powinno nastąpić jak najwcześniej, aby w zarodku unicestwić niemiecką groźbę oskrzydlenia polskiego frontu od północy. Do tej szybkiej akcji armie państw bałtyckich same nie będą nadawały się. Wszystkie zatem powyższe argumenty potwierdzają słuszność żądań Sowieckiego Sztabu Generalnego co do wprowadzenia na teren Nadbałtyki silnej grupy armii sowieckiej dla wspólnego, koalicyjnego prowadzenia wojny przeciwko Niemcom, jeśli ona nastąpi. Obecność poważnych sił koalicyjnych na północnym skrzydle przeciw Prusom Wschodnim byłaby dla Polskiego Naczelnego Dowództwa wielce pożyteczna, ponieważ pozwalałaby na zwolnienie dużych sił polskich koniecznych dla ubezpieczenia i obrony kierunków prowadzących z Prus Wschodnich na skrzydło i tyły polskie — na Warszawę, Białystok i Grodno.

21 stycznia 1939. Kowno.

Na wszystkie moje raporty i depesze wysłane po rozmowach grudniowych 1938 roku, do Sztabu Głównego w Warszawie, a także na zasadniczy mój raport do Szefa Sztabu Głównego, w którym zestawiłem w jedną całość propozycje Sowieckiego Sztabu, sugestie Łotewskiego Sztabu i, wreszcie, punkt widzenia Sztabu Litewskiego — n i e o t r z y m a ł e m dotychczał nie tylko żadnej odpowiedzi i instrukcji, ale nie otrzymałem nawet zwykłego potwierdzenia, że Szef Sztabu Głównego dostał te raporty i że docenia znaczenie spraw, które tam są poruszone.

Generał Wacław Stachiewicz i pułkownik Tadeusz Pełczyński — być może z przyczyn od nich zupełnie niezależnych — nie uznali za potrzebne podjęcie tych spraw: porozumienia z Rosją Sowiecką i sojuszu z Państwami Bałtyckimi. Przekonałem się o tym, będąc osobiście w Warszawie w drugiej połowie grudnia 1938 roku. Szef Oddziału II-go Sztabu Głównego, pułkownik Tadeusz Pełczyński, u którego byłem, zapytany przeze mnie czy dostał moje ostatnie raporty, odpowiedział twierdząco. Na mój raport w sprawie attaché niemieckiego w Kownie, pułkownika Justa, który po prostu nachodził mnie ze swoimi uprzejmościami, bardzo podejrzanie wyglądającymi wobec całego korpusu dyplomatycznego i wobec Litwinów, pułkownik Pełczyński powiedział: „a to dopiero drań! cóż on sobie myśli! — przecież my będziemy się prędko bili z Niemcami!" (1).

W sprawie moich raportów o rozmowach z sowieckim attaché wojskowym majorem Korotkich, płk. Deglawsem i płk. Dulksnysem płk Pełczyński oświadczył mi, że sprawa czynnego udziału Rosji Sowieckiej w razie wojny naszej z Niemcami nie była brana w rachubę przez Rząd Polski; co do Państw Bałtyckich, da mi odpowiedź później, gdy zapadną odpowiednie decyzje Rządu Polskiego.

Przyznam się, że stanowisko Polskiego Sztabu Głównego, łącznie z Rządem Polskim, a raczej Ministerstwem Spraw Zagranicznych, jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Podałem plan utworzenia koalicji przeciwniemieckiej z udziałem wszystkich państw bałtyckich przy boku Rzeczypospolitej Polskiej i w oparciu o sojusze z Rosją Sowiecką, Francją i Wielką Brytanią w formie takiej, w jakiej było mi to zakomunikowane

(1) Pułkownik Just, niemiecki attaché wojskowy na Litwie, od chwili swego przyjazdu do Kowna, późną jesienią 1938 roku, zasypywał mnie największymi uprzejmościami i tysiącem grzeczności. Zaczął to od uroczystego przedstawienia się mnie, wspólnie z niemieckim attaché morskim, w galowych mundurach, z „Heil Hitler", z podniesieniem ręki, u mnie, w gabinecie służbowym i oświadczeniem: „Führer nakazał mi specjalnie, abym z Panem Pułkownikiem nawiązał ścisły i przyjazny kontakt".

przez przedstawicieli Sztabów Bałtyckich i sowieckiego attaché wojskowego z ich w ł a s n e j inicjatywy, względnie z inicjatywy ich mocodawców. Przekazałem więc nie swój plan, który może nie zasługiwałby na uwagę, ale cudze plany, a przede wszystkim plan Sowieckiego Sztabu Generalnego. Rzecz chyba sama w sobie dostatecznie poważna, by Polski Sztab Główny nawet jeśli posiada inną opinię w tej sprawie i odmienne wiadomości (z Moskwy), albo jeżeli sądzi, że byłem przedmiotem inspiracji ze strony sowieckiej, to powinien mnie o tym poinformować. Dotychczas nie otrzymałem ani słowa wyjaśnienia w tej sprawie.

30 *stycznia* 1939. *Kowno.*

W ostatnich dniach stycznia br. zostałem nagle wezwany depeszą Sztabu Głównego do Wilna. Ucieszony szalenie że wreszcie będzie to odpowiedź na moje raporty w sprawie Nadbałtyki — pojechałem koleją. Zima była w tym roku ostra, bardzo śnieżna i jazda samochodem nastręczałaby za dużo trudności. W Wilnie zgłosiłem się w Inspektoracie Armii generała Dąb-Biernackiego, u jego szefa sztabu, pułkownika Tomasza Obertyńskiego, starego i dobrego znajomego z czasów wojny bolszewickiej 1919-20 roku. Pułkownik Obertyński powiedział mi, że zostałem dlatego wezwany z Kowna do Wilna, aby rozmowa telefoniczna, którą zamówił Szef Oddziału II-go Sztabu Głównego ze mną, nie była przejęta na terenie Litwy. Czekałem z dużą niecierpliwością na tę rozmowę, oczekując ważnych decyzyj. Pułkownik Pełczyński był przy telefonie w Warszawie. Powiedział mi — ni mniej, ni więcej — abym udał się niezwłocznie do Rygi i tam natychmiast wizytował estońskiego attaché wojskowego na Litwie pułkownika Saarsena, który skarżył się przed polskim attaché wojskowym w Rydze, że go dotychczas nie wizytowałem. To była cała rozmowa. Byłem po prostu wstrząśnięty! Nie pamiętam nawet, co odpowiedziałem płk. Pełczyńskiemu; dla takiego głupstwa wzywać mnie do Wilna, robić z tego wielką sprawę, kiedy można to było tak samo, bez telefonu przez Litwę, załatwić pisemnie z Warszawy do Kowna. Zawiodłem się bardzo. Oczekiwałem, że ta rozmowa co innego będzie miała na celu: odpowiedzi na propozycje bałtyckie dotąd nie otrzymałem.

Pojechałem więc do Rygi. W Rydze uzyskałem interesujące i nawet cenne wiadomości, co do naszych możliwości jeśli idzie o wpływy Polski na całym obszarze Bałtyckim. To, co usłyszałem, było dla mnie niezwykle gorzką do połknięcia pigułką, jakkolwiek podana mi była ona w uczciwych intencjach i, niestety, odpowiadała prawdzie. Oświadczono mi, że Polska jest szanowana i uznawana za ,,coś'' przez wszystkie

państwa bałtyckie jedynie z tytułu posiadania (jak tu, w Nadbałtyce, sądzą) poważnych sił zbrojnych. Nasze wpływy i możliwości pod każdym innym względem są dosłownie żadne. Gospodarczo, a zatem praktycznie rzecz biorąc także i politycznie, wpływami w państwach bałtyckich dzielą się Wielka Brytania (z Francją), Niemcy i Rosja Sowiecka. Podział wpływów jest oczywiście nierówny. Gospodarczo najwięcej ma do mówienia w Nadbałtyce Wielka Brytania, politycznie zaś Niemcy i Rosja Sowiecka. Polityka zagraniczna Państw Bałtyckich usiłuje możliwie jak najzręczniej lawirować pomiędzy tymi trzema potęgami, aby nie natrafić na jakąś rafę podwodną. Obawy tego rodzaju dotyczą w największym stopniu Niemiec i Rosji Sowieckiej jako ewentualnych agresorów. Informator mój — cudzoziemiec — zakończył, że Polska nie posiada żadnych prawdziwych wpływów na Łotwie i w Estonii: ,,nie liczą się z wami jako mocarstwem, zdolnym do prowadzenia samodzielnej polityki — natomiast poważają wasze wojsko i pragnęliby mieć waszą pomoc w wypadku konfliktu, który, w zasadzie, uważają tutaj za bardziej prawdopodobny z Rosją Sowiecką, aniżeli z Niemcami''.



W końcu stycznia br. przyszedł do mnie sowiecki attaché wojskowy major Korotkich i zawiadomił mnie, że Sowiecki Sztab Generalny posiada wiarogodne informacje, iż Niemcy w najbliższym czasie zajmą litewską Kłajpedę za pomocą lokalnego puczu, względnie przez odpowiedni nacisk na Litwinów. W rozmowie tej, o tyle dla mnie kłopotliwej, że nie odpowiedziałem mu dotychczas nic na jego propozycje z dnia 16 grudnia 1938, major Korotkich, o nic nie pytając się, raz jeszcze powtórzył z dużym naciskiem, że sytuacja europejska staje się coraz bardziej poważna i niebezpieczna i że Rzesza Niemiecka jest gotowa do dalszej ofensywy.

12 *marca* 1939. *Kowno.*

Naczelny Wódz Wojska Litewskiego generał Stasys Rastikis w rozmowie ze mną 10 marca br., po obiedzie u mnie w domu, złożył mi oświadczenie o konieczności natychmiastowego wojskowego porozumienia między Litwą a Polską w obliczu zagrożenia niemieckiego i jednocześnie wyraził życzenie złożenia wizyty w Warszawie, celem nawiązania osobistego kontaktu z polskimi najwyższymi władzami wojskowymi: marszałkiem Rydzem-Śmigłym, generałem Kasprzyckim i generałem Stachiewiczem. Po omówieniu ze mną w cztery oczy sprawy wizyty w Warszawie, generał Rastikis powtórzył to

samo w mojej obecności, obecnemu na przyjęciu w moim domu, naszemu posłowi na Litwie p. Charwatowi. Z mojej rozmowy z generałem Rastikisem wywnioskowałem, że przyjął on koncepcję zorganizowania sojuszu wojskowego trzech Państw Bałtyckich w oparciu o sojusz z Polską, z gwarancją tego sojuszu przez mocarstwa zachodnie i Rosję Sowiecką. Oświadczenie generała Rastikisa z dnia 10 marca 1939 roku przyjąłem jako odpowiedź Rządu Litewskiego na moje sugestie zgłoszone 16 grudnia 1938 roku pułkownikowi Dulksnysowi. W obecnej sytuacji niezbędne jest, aby wizyta generała Rastikisa w Warszawie nastąpiła możliwie jak najprędzej; przedstawiłem też odpowiednio sprawę Szefowi Sztabu Głównego w Warszawie. W raporcie moim poruszyłem raz jeszcze całość problemu Bałtyckiego z Prusami Wschodnimi i ponowne propozycje sowieckie w tej sprawie.

Decyzja wizyty generała Rastikisa w Polsce jest bez żadnej wątpliwości polityczną decyzją Rządu Litewskiego i dlatego zasługuje na dużą uwagę, mimo że nastąpiła właściwie za późno. Rząd Litewski, wobec wyraźnego zagrożenia Kłajpedy, zdecydował się na przyjęcie bardziej stanowczej polityki wobec Rzeszy Niemieckiej. Przypuszczam obecnie, że Rząd Litewski skłonny jest do przyjęcia planu sojuszu polsko-bałtyckiego, gwarantowanego przez zachodnie mocarstwa oraz podpartego praktycznie przez sojusz z Rosją Sowiecką, według propozycji z dnia 16 grudnia 1938 roku. Mam natomiast, spóźnione co prawda, obawy czy w ten sam sposób oceniają ogólne polityczne położenie w Europie — zachowanie i zamiary Rzeszy Niemieckiej — polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych i Polski Sztab Główny. — Szef Sztabu Głównego, generał Stachiewicz, dotychczas nie odpowiedział mi na szereg raportów z propozycjami złożonymi na moje ręce w grudniu 1938 roku przez attaché wojskowego Rosji Sowieckiej i attaché wojskowego Łotwy. Nie wiem sam, co o tym sądzić. Chyba, że odpowiedź uzyska w Warszawie osobiście sam generał Rastikis.

18 *marca* 1939. *Kowno.*

14 marca 1939 roku nadeszły wiadomości o akcji niemieckiej przeciwko Czechosłowacji i o koncentracji wojsk niemieckich nad granicą czesko-niemiecką. Słowacja ogłosiła oddzielenie się od Czech i proklamowała się jako niezależne państwo. Na Rusi Zakarpackiej przygotowywana jest podobna komedia niemiecka — o ile wcześniej nie zajmą tego obszaru Węgry. Rzesza Niemiecka pod wodzą Adolfa Hitlera nadaje jednak tempo wydarzeniom politycznym w Europie. Ponownie, zaledwie po upływie paru miesięcy po zajęciu Sudetów, cały

świat został wstrząśnięty nowym niemieckim faktem dokonanym: 15 marca 1939 roku — ku wiecznej hańbie gwarantów Traktatu Wersalskiego i założycieli Ligi Narodów i w pewnym stopniu innych — wojska niemieckie pod wodzą Adolfa Hitlera zajęły całe terytorium Czechosłowacji. Oporu ze strony Czechosłowacji nie było zupełnie. Czesi, w osobie swego Prezydenta Hachy, skapitulowali, przyjmując protektorat Rzeszy Niemieckiej nad Czechosłowacją. Słowacja pozostała nominalnie niezależnym państwem — być może, jako przedmiot do niemieckich przetargów terytorialnych. Jednocześnie z działaniami wojsk niemieckich w Czechach Ruś Zakarpacka została zajęta przez wojska węgierskie. Dało to Polsce tak bardzo gorąco upragnioną wspólną granicę z Węgrami. Ale w jakich okolicznościach !

24 marca 1939. *Kowno.*

21 marca 1939 roku Niemcy zajęli litewską Kłajpedę, nazywając ją z powrotem — Memel... Odebranie Kłajpedy Litwie połączyli Niemcy z zawarciem paktu o nieagresji pomiędzy Rzeszą Niemiecką a Litwą. Układ ten pod surowymi rygorami zakazuje Litwie, wiązania się z trzecią stroną jakimikolwiek klauzulami wojskowymi w ewentualnych umowach. Zwrócone jest to, rzecz jasna, przeciwko Polsce i Rosji Sowieckiej. Identyczne układy będą w najbliższych dniach zawarte przez Niemcy z Estonią i z Łotwą.

26 kwietnia 1939. *Kowno.*

Generał Rastikis powrócił z Berlina, dokąd jeździł na 50-tą rocznicę urodzin Adolfa Hitlera... Byłem na zaproszeniu generała Rastikisa u niego... Przy zakończeniu rozmowy ze mną, generał Rastikis przeszedł z własnej inicjatywy do omawiania sprawy stosunków polsko-litewskich oświadczając mi, że Litwa zachowa postawę bezwzględnej zbrojnej neutralności w wypadku konfliktu niemiecko-polskiego. ,,Na początku konfliktu między Niemcami a Polską nie możemy inaczej postąpić — potem, w miarę rozwoju sytuacji — zobaczymy; wydaje się, że nolens-volens, znajdziemy się po tej stronie, po której będzie Polska'' — powiedział do mnie generał Rastikis. Chociaż już wiedziałem o co chodzi, zwróciłem generałowi Rastikisowi uwagę, że zachodzi ogromna i bardzo poważna różnica ze stanowiskiem, jakie on sam zajął poprzednio, w dniu 10 marca 1939 roku, kiedy sam prononował porozumienie wojskowe trzech państw bałtyckich z Polską i w związku z tym swoj

wizytę w Warszawie. Generał Rastikis zamiast odpowiedzi rozłożył ręce ruchem bezradnym, mówiąc, że od czasu naszej ostatniej rozmowy wiele rzeczy się zmieniło w położeniu Litwy, państw bałtyckich i w położeniu Europy, że w tej sytuacji nie ma innego wyjścia, jak to że Litwa będzie absolutnie neutralna razem ze wszystkimi państwami bałtyckimi.

7 maja 1939. *Kowno.*

Jednak generał Rastikis pojedzie do Warszawy... W związku z zapowiedzianą wizytą generała Rastikisa byłem 5 maja 1939 w Warszawie u gen. Stachiewicza i płk. Józefa Smoleńskiego, który właśnie objął Oddział II Sztabu Głównego po pułkowniku Pełczyńskim, oraz tegoż dnia po południu byłem przyjęty przez Generalnego Inspektora Polskich Sił Zbrojnych, marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego.

W Warszawie zastałem wszystko bez większych zmian; ruch przechodniów na ulicach Warszawy bardzo ożywiony, publiczność warszawska jest wesoła, pełna humoru i ciętego dowcipu; kawiarnie warszawskie są przepełnione. O polityce, o ewentualności wojny z Niemcami, nikt nie myśli, a w każdym razie o tym się nie mówi. To jest: W a r s z a w a !



Gen. Stachiewicz i płk Smoleński nie poruszali w rozmowie ze mną w ogóle sprawy państw bałtyckich i Rosji Sowieckiej w razie wojny Polski z Niemcami. Nie poruszono nawet tych zagadnień, które przedstawiłem im w grudniu 1938 r. Nie otrzymałem również i teraz żadnych pod tym względem wskazówek, ani najmniejszych informacji. Wydawało mi się, że Sztab Główny, na mocy oceny Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zupełnie nie liczy na porozumienie wojskowe z Rosją Sowiecką i, w związku z tym, na ułożenie w odpowiedni sposób stosunków z państwami bałtyckimi i z Litwą w szczególności.

U marszałka Rydza-Śmigłego byłem, tym razem, krótko. Na wstępie byłem nieco zdziwiony zapytaniem marszałka Śmigłego: ,,w jakim celu przyjeżdża tu gen. Rastikis i czego będzie tutaj sobie życzył''. Odpowiedziałem, że obecnie, po ostatnich wypadkach w Europie, a zwłaszcza w Niemczech oficjalna wizyta generała Rastikisa w Polsce stanowić będzie politycznie dla Litwy wyrównanie poprzedniej jego wizyty w Berlinie i będzie przedstawiona na Litwie i na całym świecie, jako manifestacja przyjaznych i już zupełnie normalnych stosunków między Litwą a Polską. Już tylko to samo wystarcza, ażeby ocenić wizytę generała Rastikisa pozytywnie i jako poważne wydarzenie polityczne. Zwróciłem uwagę marszałka Śmigłego, że decyzje co do wizyty generała Rastikisa w War-

szawie powziął ostatnio Rząd Litewski, który oświadczył się — pod naciskiem Niemców — za neutralnością Litwy w każdym wypadku wojny w Europie z Niemcami. Generał Rastikis w związku z tym zmienił radykalnie swoje stanowisko, zajęte parę tygodni temu: od propozycji porozumienia wojskowego wszystkich państw bałtyckich z Polską, przeszedł do absolutnej neutralności w wypadku wojny z Niemcami. Jednak — kontynuowałem — myślę, że generałowi Rastikisowi będzie bardzo zależało na wyjaśnieniu naszego stanowiska względem Niemiec i Rosji Sowieckiej. Rola Rosji Sowieckiej będzie miała decydujące znaczenie w postawie państw bałtyckich w razie wojny z Niemcami. Wyraziłem przy tym zdanie, że generał Rastikis pójdzie ewentualnie na współpracę wojskową z Polską tylko wtedy, gdy przekona się, że jesteśmy zdecydowani do podjęcia walki z Niemcami i że nie będziemy w tej walce odosobnieni, to znaczy, że Polska będzie miała za sobą z jednej strony Wielką Brytanię i Francję,a z drugiej strony Rosję Sowiecką.

Marszałek Śmigły wysłuchał mnie bez żadnych uwag, ani zapytań. Miałem wrażenie, że raporty moje z grudnia 1938 roku w ogóle do niego nie dotarły. Gdy skończyłem mówić, zadał mi szereg zapytań, które potwierdzały moje poprzednie przypuszczenia, co do jego oceny położenia państw bałtyckich i Rosji Sowieckiej. Pytania marszałka Śmigłego były następujące: ,,Jak zachowa się Litwa w razie wojny polsko-niemieckiej b e z u d z i a ł u Sowietów?" — Odpowiedziałem, że przypuszczam, że Litwa na początku konfliktu zachowa ścisłą neutralność, tak zresztą jak i pozostałe państwa bałtyckie, a później, w dalszej fazie wojny, ewentualnie, mogłaby przystąpić do wojny po stronie anty-niemieckiej, ale, z zasady sądzę, po tej stronie, która będzie miała większe szanse wygrania. Dodałem jednak po chwili zastanowienia się, że nie myślę, aby Litwa wystąpiła nawet w późniejszej fazie wojny po stronie niemieckiej. Następne pytanie marszałka Śmigłego brzmiało: ,,czy Litwa zechce wykorzystać sytuację, gdybyśmy byli w trudnym położeniu, walcząc ciężko na zachodzie z Niemcami, i, czy nie pokusi się o zajęcie Wilna?" Odpowiedź moja była kategorycznie negatywna; powiedziałem marszałkowi Śmigłemu, że na tyle już poznałem Litwinów, że dopóki Polska będzie w walce z Niemcami, Litwini nie wystąpią przeciwko Polsce, że zachowają neutralność i nie pójdą na Wilno.

Na tym moja rozmowa z marszałkiem Rydzem-Śmigłym się skończyła. Odmeldowałem się i wyszedłem. Tegoż wieczoru wyjechałem z powrotem z Warszawy do Kowna.



Marszałek Edward Rydz-Śmigły przedstawia sobą wyjątkowo piękną, wykwintną sylwetkę żołnierską. Jego wygląd zewnętrzny jest doskonały pod każdym względem: ubrany jest wytwornie, w bardzo dobrze skrojonym, eleganckim mun-

durze z marszałkowskimi emblematami, w szykownych butach od Hiszpańskiego, błyszczących jak słońce. Marszałek Śmigły jeszcze młodo wygląda, jest on dopiero po pięćdziesiątce; jest bardzo szczupły, raczej średniego wzrostu, trzyma się prosto, ale bez przesady; głowa ogołona zupełnie na gładko i bardzo duże gęste czarne brwi na wydłużonej, z wzniosłym czołem, twarzy, gładko wygolonej o trochę śniadym odcieniu. Najciekawsze są jednak oczy marszałka Śmigłego: bardzo duże, osadzone nieco głęboko, czarne jak węgiel, i tryskające prawdziwą inteligencją, patrzą przenikliwie wprost w oczy swego rozmówcy. Cała postać marszałka Śmigłego tchnie niekłamanym urokiem szlachetnej dobroci i prawdziwego wyrozumienia dla wszystkich. Marszałek Śmigły mówi, jakby przeciągając trochę, z ledwie zauważalnym akcentem małopolskim; mówi z namysłem, ważąc każde słowo; zawsze jest spokojny, nigdy nie unosi się gniewem i, jak głosi o nim vox populi całego Wojska Polskiego, ma u wszystkich swoich podkomendnych opinię dobrego, sprawiedliwego przełożonego. Timbre jego głosu — niski baryton — jest bardzo przyjemny z dodatkiem przemiłego, prawdziwie przyjaznego uśmiechu oczu i ust. Marszałek Śmigły znany jest ze swego dowcipu i dobrej gry w bridge'a; ma wrodzone poczucie humoru. Dziś jednakże, 5 maja 1939 roku, marszałek Śmigły-Rydz wygląda jakby nieco przepracowany i przemęczony; wydał mi się on inny niż wtedy, gdy byłem u niego ostatnio; nie ma już tego dominującego poczucia pewności siebie, gdy dawał mnie instrukcje w związku z Litwą w marcu 1938 roku; nie miał też zwykłego uśmiechu na twarzy.



Dla zakończenia mych notatek przytaczam wyjątek z pracy Józefa Becka:

„Niedługo po tym wydarzeniu — w końcu czerwca 1939 roku — Francja i Anglia rozpoczęły z inicjatywy francuskiej konkretne negocjacje w Moskwie o pakt wzajemnej pomocy przeciw Niemcom. Sowiety prowadziły te rozmowy działając wyraźnie na zwłokę i wykazując w swych żądaniach stałe tendencje do ustalenia gwarancji mocarstw dla szeregu mniejszych państw, nie licząc się zupełnie z pozycją zainteresowanych. Odnosiło się to w szczególności do p a ń s t w b a ł t y c k i c h. Kiedy negocjacje o układ polityczny... zbliżały się do końca, Rząd Sowiecki zmienił taktykę i zażądał, jako *condition préalable* zawarcia konwencji wojskowej, deklarując dopiero potem gotowość do podpisania układu politycznego. W tym okresie negocjacji, poza informacjami, udzielanymi nam dokładnie ze strony brytyjskiej, a bardzo ogólnikowo ze strony francuskiej, n i e s p o t k a l i ś m y s i ę z ż a d n e j s t r o n y z żądaniem wzięcia udziału w rozmowach. Problem ten został dopiero przez Francuzów... poruszony, kiedy przyszło do rozmów wojskowych. Oświadczono nam, że prawdopodobnie będzie żądanie obecności polskiego obserwatora przy tych rozmowach. Do Moskwy przybyły misje wojskowe fran-

cuska i angielska. Anglicy... przewodnictwo i wszystkie sprawy lądowe zostawili Francuzom. Rozmowy wojskowe potoczyły się... szybciej... Woroszyłow oświadczył delegacji francusko-brytyjskiej, że Rząd Sowiecki oczekuje od swych partnerów, ażeby dla zapewnienia skutecznej pomocy armii czerwonej (w wojnie przeciw Niemcom), Francja i Anglia uzyskały od Polski zgodę na przemarsz sił sowieckich przez terytorium Polski i to w dwóch rejonach: 1. przez Wilno i 2. przez Małopolskę Wschodnią (Lwów). — Generał Douminge, szef misji francuskiej, zajął w pierwszej chwili, moim zdaniem, jedyne stanowisko, oświadczając, że Polska jest państwem suwerennym, skutkiem czego tego rodzaju zagadnienia mogą być omawiane tylko wprost z Polską. Po dłuższej debacie i naradzie Woroszyłowa z Rządem (Sowieckim), Woroszyłow oświadczył, że między ZSSR a Polską niema umów, które by uzasadniały tego rodzaju wystąpienie, którego też Rząd Sowiecki nie ma zamiaru uczynić, pozostawiając kontrahentom załatwienie tej sprawy w Warszawie. Przewodniczący delegacji wojskowej (Francji i Anglii) podjął się tym razem — nie informując nas z góry — wysondowania terenu. Odpowiednia *démarche* została zrobiona nie kanałem wojskowym, lecz u mnie (w Ministerstwie Spraw Zagranicznych), przez ambasadora francuskiego z naciskiem, i przez ambasadora angielskiego poparta — dla formy. Przedstawiłem to zagadnienie najwyższym czynnikom państwowym, oświadczając ze swej strony, że formę wystąpienia sowieckiego uważam za niedopuszczalną, redukowałaby ona Polskę do roli obiektu martwego w całej tej sprawie. Mój punkt widzenia nie wywołał zastrzeżeń. Wobec tego odpowiedziałem ambasadorom Francji i Anglii, że stanowisko zajęte przez generała Douminge uważam za słuszne i że Rząd Polski inaczej patrzeć na to nie może. Jesteśmy zainteresowani w życzliwym stanowisku Sowietów w ramach ich realnych możliwości w razie konfliktu na Zachodzie (z Niemcami), ale nie możemy dopuścić do traktowania naszego terytorium, jako przedmiotu negocjacji między państwami trzecimi. Dla ambasadora angielskiego odpowiedź ta była wystarczająca. Ambasador francuski nalegał na znalezienie jakiegoś wyjścia i sugerował przeniesienie rozmów na negocjacje między sztabami generalnymi Rosji i Polski. Odpowiedziałem, że w Polsce istnieje jedna polityka i jedna metoda działania państwowego, a zatem Sztab Główny nie może odpowiedzieć nic innego, niż ja. Analogicznej odpowiedzi udzielił generał Wacław Stachiewicz (Szef Sztabu Głównego) attachés wojskowym francuskiemu i angielskiemu. Mimo, że dla nas taktyka sowiecka była jasna i nie budząca żadnego zaufania, tym razem zrobiłem jeszcze wysiłek, aby nie utrudniać akcji naszych Aliantów. W wyniku rozmów uzgodniliśmy oświadczenie szefa misji wojskowej francuskiej (alianckiej) w Moskwie, brzmiące w ten mniej więcej sposób: Sztaby Generalne Francuski i Brytyjski mają pewność, że w razie konfliktu państw sprzymierzonych z Niemcami, wywołanego agresją niemiecką, istnieją podstawy do życzliwego porozumienia między Polską a Związkiem Sowieckim. Ramy tego porozumienia winny być ustalone między obu zainteresowanymi państwami... O ile mnie pamięć nie myli... Woroszyłow wysłuchał tego oświadczenia bez reakcji... Obrady wojskowe między Woroszyłowym a misją aliancką formalnie zostały odroczone. Bezpośrednio po tym Rząd Sowiecki wydał komunikat o decyzji (swej) zawarcia paktu o nieagresji między Niemcami a Sowietami".

Tyle o tym pisze, już po fakcie w roku 1940, internowany w Rumunii, były Minister Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej, pułkownik dyplomowany Józef Beck (2).



Jeśli strategia ma stanowić przedłużenie polityki zagranicznej państwa, według słów Clausevitza, może obecnie już przestarzałych, to Polskie Siły Zbrojne w wojnie z Rzeszą Niemiecką, we wrześniu 1939 roku, były postawione przez politykę zagraniczną swego Rządu, a w szczególności przez jego kierownika polityki zagranicznej, w sytuację nieprawdopodobnie trudną, prawie że bez wyjścia. Mogliśmy, pod pewnymi warunkami, jak to wynika z podanych przeze mnie faktów, walczyć z Rzeszą Niemiecką na froncie Wschodnim w dużym towarzystwie; moglibyśmy mieć osłonięte obydwa skrzydła: północne w Prusach Wschodnich i południowe przez Małopolskę Wschodnią w Czechosłowacji. Zamiast tego Polskie Siły Zbrojne, naiwnie wierząc w rychłą pomoc z Zachodu, zostały skazane na nierówną walkę, z przygniatającą potęgą Rzeszy Niemieckiej, a właściwie na beznadziejne konanie, w pojedynkę, zupełnie same, bez najmniejszej pomocy ze strony swych sojuszników zachodnich.

Niemiecki Sztab Generalny uderzył we wrześniu 1939 roku na obydwa skrzydła polskie: na północy przez Prusy Wschodnie i na południu przez Słowację biorąc od razu całość Polskich Sił Zbrojnych w stalowe kleszcze.

Koniec kampanii wrześniowej był dla Rzeczypospolitej Polskiej całkowicie nieoczekiwany: Rosja Sowiecka 17 września 1939 roku wkroczyła do wschodnich województw Rzeczypospolitej Polskiej, jako najwierniejszy, usłużny sojusznik hitlerowskich Niemiec.

Leon MITKIEWICZ

(2) *Dernier rapport* par Colonel J. Beck. Neuchatel. 1951.

Guliwer i królestwo Liliputów

Polska literatura pamiętnikarska z okresu ubiegłej wojny, wychodziła dotychczas przeważnie spod pióra wojskowych. Nawet jeżeli przypadkowo autorami byli ,,cywile'', to tematyka dotyczyła jednak niemal wyłącznie działań zbrojnych. Odpowiada to na ogół naszemu ,,wkładowi'' w ostatnią wojnę, a na pewno odpowiadało także *ówczesnemu* naszemu temperamentowi. Patrząc z perspektywy na wydarzenia lat 1939-1945, trudno zaiste oprzeć się wrażeniu, że jako naród wzięliśmy wzór z Sienkiewiczowskiego Rocha Kowalskiego. Nie bardzo rozumiejąc, co się *naprawdę* wokoło nas dzieje, cały ,,rozum'' umieściliśmy w szabli — tak właśnie, jak Roch w swojej ,,pani Kowalskiej''. Z licznych wspomnień, zwłaszcza na temat kampanii wrześniowej, które ukazały się ostatnio, można się o tym bez trudu przekonać. Jeszcze gorzej jest z literaturą pamiętnikarską odnoszącą się do naszej działalności *politycznej* w latach wojny. Ludzie posiadający najpełniejsze kompetencje, aby pozostawić nam swoją wersję — nie tylko *wydarzeń,* które rozegrały się na powierzchni, i które są dlatego na ogół znane — ale także *przyczyn,* zazwyczaj ukrytych, a często rozmyślnie zamaskowanych — niemal zawsze dających się najrozmaiciej oceniać i komentować — wieloznacznych i kontrowersyjnych — ci ludzie niestety nie żyją, i *nie* pozostawili pamiętników. Myślę tutaj przede wszystkim o generale Sikorskim, o przewodniczącym podziemnej Rady Jedności Narodowej, Kazimierzu Pużaku, o wicepremierze i delegacie rządu na Kraj Jankowskim, o generale Grocie-Roweckim. Jestem głęboko przekonany, że nasza wiedza o polityce polskiej w latach wojny wzbogaciłaby się o niejedną rewelację, gdyby wymienieni powyżej mogli byli pozostawić jakieś swoje przyczynki, czy też *poprawki historyczne*... Nie wykluczam również, że sama polityka nasza byłaby się, być może, potoczyła nieco inaczej, gdy-

by w decydującym okresie ostatnich dwu lat wojny żył jeszcze i Sikorski i Rowecki. Ale to są bezpłodne rozważania. Tak, jak sprawy stoją, o *cywilnym* podziemiu w Kraju mamy dotąd zaledwie trzy relacje trochę obszerniejsze: Stefana Korbońskiego — pod nieco pretensjonalnym tytułem ,,W imieniu Rzeczypospolitej'' oraz dwa pamiętniki napisane z temperamentem — Zbigniewa Stypułkowskiego i Zygmunta Zaremby (1). Książka Goetla pt. ,,Czasy wojny'', mimo pewnego materiału dokumentarnego, jest przede wszystkim dziełem literackim. To samo muszę z całą skromnością powiedzieć o moich ,,Opowiadaniach warszawskich''. Nie wiele tego, wszystko bardzo subiektywne. Początek został jednak zrobiony. Natomiast oświetlenie polskich działań *politycznych na emigracji,* gdzie przecież znajdowały się w tym czasie nasze centra dyspozycji, (Prezydent Rzplitej, rząd, Wódz Naczelny) — oczekuje dopiero na swego dziejopisa. To dżungla. Źle mówię! To dżungla, w której założyło swoje królestwo jakieś plemię Liliputów! Podziwiam determinację Tadeusza Katelbacha, który podjął się roli jego kronikarza (2).

W skupieniu przepisuję poniżej kilka zdań z pamiętnika lilipuciego Kadłubka:

,,5 stycznia, wtorek, po północy.

,,Rosjanom wciąż się powodzi. Martwi to nas. Równocześnie ustały plotki na temat prób niemieckich tworzenia ,,rządu'' w Polsce. Za to w naszym środowisku mówi się o jakichś zmianach rządowych i rozwiązaniu Rady Narodowej.

,,Cieszę się ze zmian, ale nie wierzę, by do nich doszło. Po fatalnym układzie w lipcu 1941 roku, Sikorski spowodował rozwiązanie Rady Narodowej, by nie dopuścić do dyskusji na temat tego układu. W grudniu tegoż roku powołał drugą Radę, już sobie na ogół posłuszną, która mu kadzi, wszystko akceptuje i utrwala swym zachowaniem fikcję normalnych stosunków polsko-sowieckich i w ogóle wielu innych fikcji. Między innymi fikcję demokratycznych rządów Sikorskiego... Po cóż więc miałby rozwiązywać Radę, czy reorganizować rząd?''.

Rola Guliwera w tym bajecznym królestwie przypadła, jak widzimy, Sikorskiemu. O nim czytamy także w następnym zapisie kronikarza:

,,7 stycznia, czwartek wieczorem.

,,Prasa angielska trąbi dalej o sukcesach sowieckich. Rozpływa się nad swym sojusznikiem. Nic dziwnego, że od chwili, gdy Sikorski w grudniu wyjechał do Stanów, nic nie pisze o jego podróży... Zdaje się, że Sikorski nic nie zdziałał w Waszyngtonie. Kołatał o pomoc w sprawie naszych granic

(1) Ostatnio ukazał się w Londynie tom wspomnień okupacyjnych Stanisława Kauzika (pseudonim ,,Dołęga Modrzewski'') pod tytułem ,,Polskie Państwo Podziemne''.

(2) *Tadeusz Katelbach: Rok złych wróżb,* Biblioteka ,,Kultury'', tom XXXVI, Instytut Literacki, Paryż, 1959. Str. 223.

wschodnich, ale poradzono mu, by się zwrócił pod właściwym adresem, tj. do Moskwy"...

Cóż na to nasz nieszczęsny premier? Opowiada nam o tym pamiętnikarz. Po powrocie ze swej *całkowicie nieudanej podróży,* zarządził wielką koncentrację naszych oddziałów stacjonowanych w tym czasie w Szkocji, celem uroczystego powitania go przez wojsko. Górą fikcja! Jesteśmy nadal ,,silni, zwarci, gotowi" — i wszystko jest jak najlepiej. Do masy wojska zgromadzonego w miejscowości Gullan, Sikorski wygłosił przemówienie. Kronikarz charakteryzuje mowę Naczelnego Wodza (i premiera) w następujących słowach:

...,,w czasie masówki żołnierskiej Sikorski używał zgoła wiecowych zwrotów. Między innymi wykrzykiwał, że nie odda Wilna i Lwowa. Śmiano się, gdy charakteryzując swe wysiłki w Stanach wołał: ,,40 dni i nocy pracowałem bez przerwy", lub — ,,wyniki mojej podróży przeszły wszelkie oczekiwania".

Kronikarz wspomina jeszcze o ,,teatralnych gestach" oraz o ,,bombastycznych frazesach" Naczelnego Wodza i premiera.

Pod datą 24 stycznia Katelbach notuje: ,,Ktoś z kolegów odkrył mi nieco kulisy amerykańskiej wycieczki Sikorskiego. Sprawy stoją źle, jak najgorzej. Alianci umywają ręce. Po Anglikach — Amerykanie. W naszym M.S.Z. mówią, że alianci coraz widoczniej zostawiają nas — *sam na sam z Moskwą.* A Moskwa już przesądziła sprawę granic wschodnich. Raporty naszej ambasady nie pozostawiają żadnych złudzeń. To samo potwierdzają w ustnych relacjach urzędnicy ambasady, przyjeżdżający z Rosji do Londynu"...

Więc już *w styczniu* 1943 wszystko było wiadome, wszystko przegrane. Tymczasem... ,,Sikorski jest w doskonałym humorze. Jak zawsze pewny siebie i ufny w swoją gwiazdę". (Notatka z 27 stycznia). ,,Wiem z kancelarii Prezydenta — notuje dalej Katelbach — że w sprawie granic Polski Sikorski na pewno niczego nie uzyskał. Ale premier, jakby nigdy nic, robi dobrą minę i dalej ze swym otoczeniem ciska gromy na każdego, kto ośmieli się krytykować... Z ,,Dziennika" oczywiście prawdy nie można się dowiedzieć".

No, tak. Pod tym względem zmieniło się nie wiele.

Uwag i obserwacji tego rodzaju można by przytoczyć znacznie więcej. Ale — po co? Już wiemy, jaki był ten nasz Guliwer. ,,Nikt mu nie wierzy. Nie ma do niego zaufania, ani wojsko tu, ani wojsko, którym dowodzi gen. Anders" — stwierdza pamiętnikarz na stronie 49. Cóż w takim razie — zastanawiamy się ze zgrozą — o naszym wodzu i premierze mogli sądzić obcy? Kronikarz tak odpowiada:

,,...odwiedziliśmy wspólnie z bratem pewnego oficera wywiadu brytyjskiego, który jeszcze niedawno nosił mundur polski (!) ...Stale powtarza, że Brytyjczycy nie biorą poważnie

Sikorskiego. Prawią mu komplementy, bo wiedzą, że jest na nie czuły. Jest im przede wszystkim wygodny — do czasu".

Poznaliśmy już opinię o naszym Guliwerze i swoich i obcych. Spójrzmy obecnie oczami kronikarza na samo plemię Liliputów. Najpierw, oczywiście, świta, czyli tzw. otoczenie:

,,Nasi wojskowi za często jakoś mylą się w sprawie frontu wschodniego"... ,,Sympatyczny płk. Kijak, niezrażony upadkiem Charkowa, pociesza nas, że Niemcy jeszcze pokażą zęby"... ,,Nasi dygnitarze rządowi robią czasem wrażenie stukniętych"... ,,Żebyż choć jeden człowiek w otoczeniu Sikorskiego miał sens w głowie"... (Strony 36, 37 i 39).

Moja cierpliwość już się powoli wyczerpuje. Ale to są jedynie niewinne westchnienia udręczonego dziejopisa. Charakterystyka rządzącego zespołu wygląda tak:

,,Cóż może wymyślić radzący w permanencji komitet przedstawicieli czterech stronnictw, wchodzących do rządu? Co nazwisko — to luminarz! Kwapiński w roli głównego przedstawiciela PPS! Seyda, ciężko myślący rzemieślnik-polityk, szef kilkuosobowej frondy ze Stronnictwa Narodowego. Wycwaniony Popiel, przedstawiciel papierowego Stronnictwa Pracy i wreszcie — analfabeta polityczny, napchany przedwojennymi urazami — Mikołajczyk. Wszyscy ci panowie wyczekują podobno na przyjazd Kota. Bo, mimo groźnych tonów polemicznych, myślą ze strachem o przyszłości. Kot w roli wybawcy! Oto obraz rządowego grajdołka".

Nie podzielam katastrofalnej opinii, jaką Katelbach przy każdej okazji wypowiada o profesorze Kocie. Zdaję sobie oczywiście sprawę z pewnych cech charakteru prof. Kota, które spowodowały, że był znienawidzony, ale to wszystko wydaje mi się zbyt łatwym uproszczeniem. Kot nie jest ani demonem, na jakiego stara się go ucharakteryzować nasz pamiętnikarz, ani — złym Polakiem. Wiem natomiast, że jest wybitnym uczonym. Ostatecznie musiał mieć jakieś zalety, skoro przez kilka lat trząsł ,,grajdołkiem" londyńskim. Trudno mi także pogodzić się z określaniem Mikołajczyka, jako ,,analfabety politycznego". Orłem nie jest, zapewne, ale któryż z polityków ubiegłej wojny (nie tylko polskich) mógłby pretendować do tej nazwy? Churchill? Stalin? Któż jeszcze? Nie widzę również nic niesamowitego w uznawaniu Kwapińskiego za ,,głównego przedstawiciela PPS". Zostawmy inwektywy. Inwektywy użyte zamiast argumentów nie trafiają do przekonania, budzą podejrzliwość, a nawet — jeżeli o mnie chodzi — budzą wewnętrzny sprzeciw. Spróbujmy spojrzeć na rzeczy wreszcie *sine ira*. Sprawa jest wcale zasadnicza, i *nie chodzi w niej o przeszłość*. Pytanie brzmi: jak wyłaniać rząd — skoro nie ma parlamentu? Na emigracji, w latach wojny, wydaje mi się, postąpiono raczej demokratycznie: uznano za reprezentatywne główne stronnictwa. Czy miano postąpić inaczej? A teraz — ludzie. Weźmy dla przykładu Kwapińskiego. Otóż, Kwapiński nie

spadł do Londynu z księżyca. Całe życie spędził w PPS. Może się on komuś podobać, może się nie podobać (mnie się nie podoba). Ale któż, odważy się twierdzić, że Kwapiński nie jest kwintesencją PPS'u, taką, jaką ją ukształtowały nasze dzieje. (Organizacja Bojowa z okresu pierwszej rewolucji, Rogów, wyrok śmierci zamieniony na dożywocie, dziesięć lat katorgi w Orle, powrót do Kraju, strajki rolne w pierwszych latach niepodległości, Sejm, Komisja Centralna Związków Zawodowych, więzienie w Mysłowicach w okresie Brześcia — wreszcie więzienie sowieckie w latach 1939-1941. Nie mało. To się wszystko w polityce sumuje. Potem w duszach ludzkich fermentuje. I tak moim zdaniem być powinno!).

W suchym wyliczeniu „haseł", które dopiero *wzięte razem* dają migawkową sylwetkę Kwapińskiego, jego tytuł ostatni: „minister", nie wydaje mi się ani najważniejszy, ani nawet najbardziej zaszczytny. Małoż to jest ministrów na świecie, i kto o nich pamięta — w kwadrans po dymisji. Co innego stanowisko przewodniczącego Komisji Centralnej, nimb „bojowca", albo urągliwe przezwisko „król fornali"! To się liczy. Nie w protokule dyplomatycznym co prawda, ale — pozwólmy sobie jeden raz na patos — w protokole historii. Jeżeli wolno małe porównywać z dużym, to powiem kilka słów o sobie. Los, czyli zbieg rozmaitych przypadków sprawił, że zostałem prezesem Związku Pisarzy na obczyźnie. Zaszczyt duży. W moim wypadku, przy zatrważająco nikłym tzw. dorobku pisarskim, chyba jeszcze większy. A czy państwo uwierzą — nie odczuwam żadnego w ogóle zaszczytu. Znam po prostu mechanikę rzeczy — i to mi psuje zabawę. Wiem, co „jest w środku"... (Powolny ale stały proces dezintegracji, obumieranie, martwica, uwiąd, neurastenia, zwyczajne starzenie się — i rozliczne psychozy emigracyjne. O tym ostatnim zjawisku pisał przed paru laty Artur Koestler — ciekawych odsyłam do niego. W moim wypadku, po prostu, nie było innego kandydata).

Coś podobnego (wciąż z zachowaniem należnej proporcji) przydarzyło się, jak sądzę, w roku 1943 Kwapińskiemu. Tutaj należy wszakże powiedzieć parę słów o emigracyjnej PPS. Zwykle tak bywa, że katastrofa powoduje swoistą selekcję. Gdy do wyboru stoją jedynie dwie drogi — łatwiejsza i trudniejsza — pewien typ ludzi wybiera zazwyczaj pierwszą, a inny znowu typ — drugą. W Kraju pozostali: Arciszewski, Pużak, Kwapiński, Żuławski, Zdanowski, Niedziałkowski — Dubois, Zaremba, Czapiński, Dzięgielewski, Grzecznarowski... wymieniam jedynie nazwiska, które wydają mi się najpowszechniej znane. Pozostali zatem, jak widzimy, *wszyscy* przywódcy — zarówno Partii jak Związków Zawodowych (A. Kuryłowicz, W. Topinek, M. Nowicki, W. Baranowski, K. Dobrowolski... i wielu, wielu innych) — cały legion — niemal wszyscy. Bardzo liczni z wymienionych za swój wybór (*dokonany we wrześniu*) zapłacili życiem. (Zdanowski, Pużak i Dzięgielew-

ski przetrwali Niemców — zamęczyła ich dopiero Bezpieka). Nikt z nich nie żywił złudzeń, wiedzieli na co się narażają. Stanisław Dubois powiedział mi wczesną jesienią 1939 r., że szansę uniknięcia aresztowania przez Gestapo oblicza dla siebie jak 1 na 1.000! Socjalista żydowski Szmul Zygielbojm (3) w takich słowach streścił swoją rozmowę z Niedziałkowskim, odbytą nazajutrz po kapitulacji Warszawy w roku 1939 :

,,Spotkaliśmy się w na wpół zburzonym ratuszu, w małym bocznym pokoju, w którym mieścił się wtedy gabinet Starzyńskiego. Patrzyliśmy na grupę niemieckich lotników, którzy z widocznym zadowoleniem oglądali ruiny Teatru Wielkiego. Twarz Niedziałkowskiego była blada i zmięta. Lecz na wargach błądził zwykły, spokojny uśmiech. Dłuższą chwilę paliliśmy w milczeniu papierosy. Potem oświadczył mi, że zaczyna *publicznie* urzędować, jako wiceprzewodniczący Komitetu Obywatelskiego. Nie zamierza ani uciekać, ani ukrywać się. Pracy swojej nie uważa za skończoną. Mówił o nowym ruchu podziemnym...

— ,,Trzeba przetrwać...

,,Zdobyłem się na odwagę i powiedziałem to, co wszyscy wtedy myśleliśmy :

— ,,Jakiż to ma sens, że się tak publicznie eskponujecie? Mogą Was przecież każdej chwili aresztować. Dlaczego nie mielibyście się ukryć, jak...

,,Przerwał mi :

— ,,Ukryć się...

,,Ujął mnie pod ramię i podprowadził do okna. Palcem wskazał na plakat z imionami skazanych na śmierć wyrokiem niemieckiego sądu polowego.

— ,,Czy oni zdołali się ukryć, by uniknąć swego losu? Czy miasto zdoła się ukryć? Nie, nie mogę się ukryć i nie chcę tego. Przeciwnie... przeciwnie...

— ,,Ależ nie możecie teraz i tak nic robić. Nie ma żadnego celu wystawiać się bez potrzeby na niebezpieczeństwo — nalegałem.

,,Odpowiedział cicho, jakby samemu sobie :

— ,,W tym jest cel. Właśnie teraz jest w tym cel i sens...''.

Czy decyzja pozostania *do końca,* pozostania *za wszelką cenę,* to jest także za cenę swojego życia... — czy ta decyzja była u Niedziałkowskiego li tylko heroicznym gestem, czy też logiczną konsekwencją jego postawy ideowej — i czy w tym *świadomym* wyborze męczeńskiej śmierci był istotnie jakiś sens i cel? — nie podejmuję się tego rozstrzygać. Różne okresy walki wymagają różnych jej form. Jedno jest dla mnie atoli

(3) Zygielbojm zdołał się z Polski wydostać. Czas jakiś był członkiem Rady Narodowej w Londynie, jako przedstawiciel żydowskiej robotniczej partii socjalistycznej BUND. W maju 1943 odebrał sobie życie. Pochowany jest w Londynie. Ginęło wtedy warszawskie getto.

pewne: *etyczna* postawa Niedziałkowskiego, strona *moralna* pojmowania przez niego obowiązków, była najwyższego rzędu. Zbyt wiele widzieliśmy w owych latach szaleńczej odwagi i gotowości do największych ofiar, by się nad tym tutaj dłużej rozwodzić. Zgodzimy się jednak chyba na to, że ci, którzy *wybrali* pozostanie w Kraju, stanowili pewien odrębny typ psychiczny. A ci inni?... Nie wymieniajmy nazwisk. Tzw. amnestia (druga połowa 1941) umożliwiła przyjazd do Londynu *paru* pe-pe-sowcom, wśród których był na pewno najwybitniejszym Kwapiński. Tak, jak rzeczy stały w roku 1942 i 1943, *w danej sytuacji* politycznej i personalnej, powołanie do rządu Kwapińskiego było najzupełniej prawidłowe. To nie tytuł ministra dodawał splendoru Kwapińskiemu, ale *on* swoją długą (chociaż kontrowersyjną) służbą publiczną zdobił ministerialną suknię... (Sława. Cóż to jest sława? J. Huxley dał kiedyś taką formułę: „Liczne, możliwie głośno wypowiadane, sprzeczne opinie o kimś, powodują sławę...”).

Niekrótszy *stage* w życiu publicznym ma Kot i Popiel. (Do obu zresztą da się zastosować formuła Huxley'a). Nieco krótszy jest żywot polityczny Mikołajczyka — bo jest młodszy. Sikorski rozpoczął pracę polityczną, gdy był studentem politechniki — we Lwowie, przed pierwszą wojną. Pod względem reprezentatywności (oczywiście *względnej* reprezentatywności) nie wiele można by naszemu londyńskiemu rządowi w czasie wojny zarzucić. A że *qualitas* panów ministrów była marna, mój Boże! Nie jestem takim pesymistą, jak Wacław Zbyszewski („...Nasz nieszczęsny kraj nie miał dobrych oficerów, nie miał wybitnych polityków, nie miał mężów stanu, nie miał dyplomatów, nie miał administratorów, nie miał finansistów, nie miał... nie miał...” itd.) — ale wydaje mi się, że śp. Raczkiewicz istotnie *nie miał* wielkiego wyboru. Gwiazdorami, ku którym od jesieni 1939 zwracali permanentnie wzrok wszyscy „antysikorszczycy” i „antymikołajczykowcy”, którym zdawało się, że wszystko potrafiliby zrobić lepiej — byli August Zaleski i gen. Sosnkowski. Sikorski od dawna nie żyje, Mikołajczyk jest od lat pod anatemą, i co? Kapitalna katastrofa narodowa ubiegłej wojny — Powstanie Warszawskie — dokonała się w czasie, gdy Wodzem Naczelnym był Sosnkowski; ostateczny uwiąd jakichkolwiek poważnych działań politycznych emigracji nastąpił „pod auspicjami” Zaleskiego. A inni rzekomo zapoznani geniusze? Gdzież ich szukać?

Muszę tutaj zrobić jeszcze jeden nawias. Publikując obecnie swój pamiętnik, Katelbach daje nam oczywiście obraz rzeczywistości, jaki widział wówczas, przed piętnastu laty. Posłuszny wskazaniom Karola Irzykowskiego, który zalecał, aby zawsze zarówno ludzi jak tekstv brać *in optima forma*, przyjmuję, że w roku 1943 Katelbach uznawał rzeczywiście koncepcje polityczne Sikorskiego, Kota, Mikołajczyka, Kwapińskiego itd. — za zgubne. Sądzić więc wolno, że tym „zgubnym” koncepcjom przeciwstawiał jakieś inne, lepsze. Sprawą

kluczową był oczywiście *stosunek do Rosji*. Wszystko inne, to były akcesoria, rzeczy drugorzędne, nie godne właściwie uwagi. Wiem, chociaż przebywałem wtedy w Polsce, że właśnie na tle tej sprawy nastąpiło w roku 1943 głębokie pęknięcie i w rządzie i wśród garstki cywilnych emigrantów londyńskich (przeważnie urzędników), i że głęboki ten rozdźwięk nie oszczędził nawet wojska. O niezliczonych ,,juntach'' oficerskich tego okresu książka Katelbacha przynosi szczególnie dużo interesującego materiału. Otóż, przestudiowałem uważnie całą tę dokumentację, niestety żadnego *alternatywnego* programu politycznego nie znalazłem. Krytyka, owszem — tego w książce nie braknie. Poszukiwałem wszakże jakiejś myśli konstruktywnej. Katelbach jest moim bardzo dawnym kolegą. Obaj jesteśmy przede wszystkim dziennikarzami. Znamy ten fach. *Rok złych wróżb*... No, dobrze. To jest efektowny tytuł. Ale jakąż ,,dobrą wróżbę'' można było przeciwstawić *w danej sytuacji* ,,złowróżbnej'' polityce Sikorskiego i jego rządu? Na to pytanie Katelbach nie daje niestety bezpośredniej odpowiedzi. Często natomiast komplementuje innego pe-pe-sowca — ,,dobrego'' — którego najwidoczniej przeciwstawia ,,złemu'': Kwapińskiemu. Tym ,,dobrym'' politykiem z PPS był zdaniem pamiętnikarza Adam Ciołkosz. Na podstawie wielu wzmianek w książce sądzić wolno, że Katelbach solidaryzował się w omawianym okresie z polityczną postawą Ciołkosza. Także i Ciołkosz jest moim bardzo dawnym kolegą i przyjacielem. Nie jedną walkę prowadziliśmy wspólnie. Także obecnie przysłuchuję się chętnie jego opiniom. W *Roku złych wróżb* znajduję jedną, bardzo charakterystyczną wygłoszoną przez Ciołkosza na jakimś zebraniu angielskim. Oto ona:

,,Być może ktoś powie nam: Jesteście w trudnym położeniu, więc przyłączcie się do Związku Sowieckiego. Moja odpowiedź jest bardzo krótka: Po was, mój panie! Lecz was chroni geografia, a geografia jest przeciw nam. Bardzo dobrze, będziemy więc walczyć przeciwko najeźdźcom niemieckim, przeciw faszyzmowi i przeciw geografii''.

Hm... Właśnie. Akustyka widocznie się zmieniła. W roku 1943 i ja, być może, tak myślałem.

Rzecz zabawna: tyradę powyższą przepisał Katelbach z broszury Stanisława Mackiewicza, który w owym czasie należał do wielkich admiratorów Ciołkosza. To wtedy zdaje się niezrównany ,,Cat'' ukuł o Ciołkoszu głośne swego czasu powiedzenie: ,,Książę Józef socjalizmu polskiego''...

Hm... No tak. Bardzo podniosłe. Tylko, że ks. Józef skoczył do Elstery, co trudno zaiste uznać za program dla narodu. Osobiście, owszem, bywają sytuację, w których nie ma honorowego odwrotu. Ale ,,honor narodu''... Lękam się takich metafizycznych uogólnień. Jest w granej niedawno w Londynie sztuce Brandstaetera taka scena, gdy główny bohater dramatu (,,Milczenie'') bierze pod psychologiczny mikroskop pojęcie charakteru. Kto z nas ma charakter? Co to

jest ,,charakter'' ? Pytania nie należy stawiać sobie na ławeczce w Hyde Parku, ani za biurkiem jakiejś instytucji propagandowej specjalizującej się w tzw. wojnie nerwów, ale w ciemnym lochu, jakim w pewnych sytuacjach może się stać całe życie ludzkie (Np w ustroju sowieckim w okresie masowego terroru). Wtedy, proszę panów, należy kontrolować swój charakter. Podobnie jest, jak sądzę, z ,,honorem narodu''. A, przede wszystkim — skąd pewność, że to nam właśnie został on powierzony?

Jeszcze jedna kronikarska wzmianka, którą chciałbym przytoczyć. ,,9 marca, 1-sza minut 20 w nocy'' (Bawi mnie ta niebywała precyzja w drobiazgach nie mających żadnego znaczenia): Katelbach zapisuje:

,,Na zakończenie dzisiejszych notatek — Ciołkosz... Przybity. Pesymista. Zdaniem jego klamka w sprawie ziem wschodnich zapadła definitywnie. A Labour Party? Naturalnie, oczywiście, są za niepodległością Polski, lecz... Dalszego ciągu nie słuchałem''.

Dopiero w tej chwili uświadamiam sobie, że mieszkając od dwunastu lat w Anglii, nie poszedłem do Parlamentu ani raz, gdy w debacie na temat polityki zagranicznej przemawiali przedstawiciele Labour Party... Coś w tym widocznie musi być. ,,Są za niepodległością Polski, lecz...''.



Obok Guliwera i jego ,,otoczenia'' opisany jest w pamiętniku również i sam ludek Liliputów. Igraszkom tym poświęcimy tylko tyle uwagi, ile trzeba, by zaznaczyć miły *couleur locale* środowiska. Zaczyna się zaraz na wstępie: (7 stycznia).

,,...plotkowano dziś w naszych urzędach na potęgę. Najwięcej jednak o jakiejś kradzieży u pani ministrowej Stańczykowej i o jakowychś jej brylantach. Też się PPS-owi udał ten Stańczyk ?''.

27 stycznia:

,,Po ministerstwie krążyła dziś plotka, że na pewnym przyjęciu podchmielony pan minister groził palcem generałowej Sosnkowskiej''...

Miła atmosfera rodzima zagęszcza się zazwyczaj, gdy ktoś w naszym towarzystwie wypowie parszywe słowo ,,łaps''. W czasie czytania kroniki emigracyjnej Katelbacha robiło mi się w oczach ciemno — od wzmianek o ,,łapsach''.

20 marca. W Londynie odbyła się akademia ku czci Piłsudskiego. Komentarz kronikarza: ,,Chciałbym widzieć miny naszych rządzących wodzów, jak im łapsy będą referowały przebieg uroczystości''.

8 maja:

,,Rozmawiałem także z Drohojowskim. Wciąż uprzejmy. Łaskawie tytułuje mnie nawet ,,panem senatorem''. Wiem

jednak, że zarzuca mi, iż zbyt się afiszuję na Piccadilly z Sosnkowskim. Skąd mu się wziął ten widok Sosnkowskiego spacerującego ze mną pod ramię na Piccadilly, kiedy to nigdy nie miało miejsca? Widocznie łapsy — komponują".

Na następnej stronie:

„Łapsy grasują wszędzie. Pełno ich w naszym ministerstwie. Chyba duża część interesantów, odwiedzających Kota — to łapsy".

25 maja (Zapis uczyniony w ciszy nocnej: „wtorek, 1.15 w nocy").

„Facet bliski wywiadu brytyjskiego ostrzega mnie wciąż przed łapsami. Wszędzie ich pełno, a na łapsowskiej piramidzie siedzi mój szef — Kot. Tymczasem, o nieba, ten sam Kot dał mi drugą kategorię, o której przy Strońskim nie mogłem marzyć".

Okazuje się, że nawet z łapsami — żyć można. Poprzedniego wieczoru pamiętnikarz był „całą rodziną" na „Wesołej Wdówce". Notuje: „Doskonałe przedstawienie. Przypomniała się Warszawa"..., po czym — zaraz o łapsach! Psychoanalityk mógłby, być może, powiedzieć tutaj coś uczonego o mechanice kojarzenia myśli. Mnie Warszawa nie kojarzy się wprawdzie z operetką — zapewne dlatego, że przebywaliśmy w innych środowiskach, ale z łapsami, niestety — kojarzy się... Dość wszakże o tym. Zanotujmy tylko, że także na emigracji mieliśmy swój „rządowy urząd bezpieczeństwa". Na stronie 64 pamiętnikarz podaje nazwisko jego szefa.

Jeszcze coś bardzo swojskiego. Oto dowiadujemy się z pamiętnika, że w latach wojny nasze Prezydium Rady Ministrów mieściło się w pałacu Rotschildów, w tzw. Alei Milionerów.

Cela suffit — jak mawiał Napoleon Bonaparte. Zapewne — ale naszym Liliputom nie wystarczało! Meble Rotschildowskie nie wyglądały podobno dosyć reprezentatywnie. Może była w nich nawet pewna dystynkcja, tylko że innego rodzaju: kosmopolityczna jakaś, bankierska... Rotschildowie, to bądź co bądź Żydzi. Bogaci wprawdzie Żydzi, ale jednak — Żydzi. Więc wypożyczono od wielkiej firmy meblarskiej dywany, obrazy i super-komplet antyków do całego pałacu za czynszem dzierżawnym płatnym rocznie, którego wysokość olśniła mnie, gdy mi ją kiedyś wymieniono. Może się przesłyszałem. Dlatego kwoty nie powtarzam. Była to w każdym razie, piękna wielozerowa cyfra. (Myślałem o niej kilka lat później, gdy likwidując ministerstwo informacji ładowałem z por. Jankiem Konopką na ręczny wózek parę połamanych krzeseł — wszystko, co pozostało z ministerialnego blasku i wojennej *prosperity*. Działo się to równo dziesięć lat temu, w roku 1949, w ogródku przed obskurną ruderą pod numerem 86 przy Avenue Road (N.W.3.), gdzie niesławne ministerstwo dokonało swego nędznego żywota. Wszystko, co posiadało jakąkolwiek wartość zdołano już roztrwonić, zmarnować, jeżeli nie wręcz wyszabrować. Pozostały te właśnie połamane krzesła, kilka obdra-

panych stołów i dwie zepsute maszyny do pisania. Był jeszcze portrecik Paderewskiego jakiegoś cennego pendzla, ale — zaginął. W ogródku walały się gnijące skórki od pomarańcz, obierzyny kartoflane i stare opakowania filmów z polskich pobojowisk. Trawa nigdy w czasie tej polskiej gospodarki nie strzyżona zarosła dziko, była skudłaczona i brudna, jak zarost włóczęgi. Komunikat PAT'a o dymisji gen. Bora, długim przesileniu i powierzeniu przez Prezydenta Rzplitej tzw. misji Tadeuszowi Tomaszewskiemu (prezesowi Najwyższej Izby Kontroli) — wydałem za 15 funtów, pożyczonych od dyrektora drukarni ,,Gryfu'' p. Władysława Kowalewskiego. Jestem mu do dzisiaj winien wdzięczność — i tę sumę. Gdy objąłem stanowisko dyrektora Gabinetu i kierownika Polskiej Agencji Telegraficznej, rząd już nie płacił pensji (4). Ale w roku 1943 urzędowało się jeszcze w Alei Milionerów!

Pamiętnik Katelbacha urywa się na dacie 30 grudnia. Autor zastanawia się: ,,Koniec roku. Jakże bym określił rok miniony? Szukam definicji i innej nie znajduję jak tylko, niestety, jedną. Nazwałbym go złowróżbnym rokiem. Czarne chmury pokryły polskie niebo''. Tak się pamiętnik kończy.

Przypomnijmy po krótce wydarzenia, które nasunęły pamiętnikarzowi to ponure określenie. Oto najważniejsze z nich: 12 kwietnia wybuchła ,,ukrywana od dawna przez rząd Sikorskiego'' sprawa katyńska, co w konsekwencji stało się dla Moskwy *pretekstem* do zerwania stosunków dyplomatycznych z rządem polskim — nawiązanych z takim trudem i przy okazaniu przez Polskę maksimum dobrej woli po uderzeniu Niemiec na Związek Sowiecki; 5 lipca dowiedział się polski Londyn o tragicznej śmierci gen. Sikorskiego. (,,Dowiedziałem się o niej dziś w Strattonie od T. Zabłockiego, zwanego Pomidorem. Była 10-ta rano. Zabłocki był bardzo zaaferowany Mniej śmiercią, a bardziej poszukiwaniem T. Bieleckiego'') Rozpoczął się chocholi obertas w poszukiwaniu nowego premiera. Jak to zazwyczaj bywa wśród Polaków, zwyciężył frazes. Tym razem — frazes z Wyspiańskiego: ,,Chłop potęga jest, i basta...''. Premierem został Mikołajczyk, co w następstwie zachwiało jednolitą dotychczas postawą (przynajmniej na zewnątrz) polskiego kierownictwa politycznego, tak w Kraju jak na emigracji. Wreszcie — około 7 grudnia — wybuchła ,,bomba o Teheranie''. (,,...podano do publicznej wiadomości że toczą się narady Churchilla, Roosevelta i Stalina. W prasie angielskiej — jak notuje teraz nasza urzędówka — rozlegają się same ,,głosy zadowolenia''. Prasa angielska po prostu pieści się wzruszającymi szczegółami spotkania ,,wielkiej trójki''. Stalin pił zdrowie Churchilla, Churchill ,,wielkiego Stali

(4) Podkreśla to nie bez melancholijnego uznania Stanisław Mackiewicz w swojej ostatniej książce o emigracji (,,Zielone oczy'') na stronie 239. Książka ukazała się przed paru miesiącami nakładem wydawnictwa ,,PAX'' w Warszawie. Napiszę o niej.

na", w kaukaskiej „papasze" na głowie. Jak gwiazdor! Oczywiście, rozpromieniony, uśmiechnięty". Cóż za znakomity aktor!... Co się za tym zadowolonym wyrazem twarzy kryje — nie mamy pojęcia. ...W jednej restauracji na Piccadilly żegnaliśmy z żoną i Janeczką Kazika C. Ulatnia się z Anglii. Będzie zrzucony do Polski. Jest pełen optymizmu...").

My w Kraju nie mieliśmy tak łatwego dostępu do informacji, jak urzędnicy „Strattonu". Nie mieliśmy też — tym bardziej — niemal żadnych podstaw do krytycznej analizy. Mimo to pamiętam do dziś potęgujące się uczucie przygnębienia, jakim napawały nas w tym okresie skąpe wiadomości przenikające z Londynu — z reguły niekompletne, osłodzone lukrem propagandowych kłamstw. Odbieraliśmy je ze ściśniętym sercem. Ale mimo to — także byliśmy optymistami. Jak ów skoczek-Kazik.

(Moim „telegrafistą", jak zresztą większości Żoliborzan z Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej — był Wincenty Saks — pe-pe-sowiec, spółdzielca, esperantysta, wolnomyśliciel — i nieustraszony polski żołnierz. Zginął w więzieniu żydowskim na Dzielnej w czasie likwidacji ghetta. Klęski Teherańskiej już nie dożył.

Gdy wrócę do Warszawy i obejmę moją dawną pracę w W.S.M., postawię na Walnym Zebraniu wniosek, by naszej VII kolonii nadać imię Wincentego Saksa. Tam bowiem w jego nędzarskiej półtoraizbówce biło przez trzy lata serce dzielnicowej konspiracji. Szalone serce! Wplecione w misterną sieć radiowego odbiornika — jak w koło udręki — nie dopuszczało myśli o zdradzie — i wierzyło naszemu ministerstwu informacji. Gdy wrócę... jeżeli wrócę... postawię na pewno taki wniosek. Obawiam się jedynie, że długie rządy komunistyczne tak utwierdzą reakcyjne nastroje wśród polskiej klasy robotniczej, że wniosek mój upadnie — z powodu antysemityzmu. To trudno. Będziemy w takim razie walczyć od nowa z antysemityzmem).

Tak oto dobiegliśmy do końca niniejszych rozważań — ze wzrokiem zwróconym *ku przyszłości*. Tak trzeba. Mógłby ktoś, dość przewidujący, by pomyśleć, że pewne sytuacje ze „złowróżbnego" roku mogą się jeszcze powtórzyć — postawić mi zarzut lekkomyślności — ponieważ nie przyłączam się do „patriotycznego" chóru pokrzykującego od lat: „Huzia na Sikorskiego!", „Huzia na Mikołajczyka!" (Autor omawianego pamiętnika należy do takiego chóru). Otóż — nie! Osobiście Sikorski był mi niesympatyczny, Mikołajczyk ani mnie ziębi ani grzeje. Ale — przecież tutaj nie chodzi o Sikorskiego, ani w ogóle o przeszłość. Chodzi o to, by na politycznych klęskach ubiegłej wojny uczyć się narodowego *comon sensu*, to jest stawiać przed narodem jedynie takie doraźne cele polityczne, które *w danej sytuacji* mają szanse urzeczywistnienia. (*Die Kunst des Möglichen* — jak to formułował Bismark). Program mojego przyjaciela Ciołkosza („...będziemy walczyć... przeciw

geografii"...), który swego czasu tak zachwycił „realistę" Mackiewicza, nie mieści się, jak mi się wydaje, w ramach *żadnej* rozsądnej formuły. A co do narażenia się na niepopularność... Mój Boże, powołam się raz jeszcze — na Bismarka. (Jak wisieć to za obie nogi). Otóż powiedział Bismark : „Uważam za nędznego chłystka takiego ministra, który w pewnych okolicznościach nie ryzykuje swojej głowy i swojego honoru, aby ratować ojczyznę — nawet przeciw woli większości". (Dosłownie : *Ich halte den Minister für einen elenden Feigling, der nicht unter Umständen seinen Kopf und seine Ehre daransetzt, sein Vaterland auch gegen den Willen von Majoritäten zu retten*). Nie tutaj miejsce, by snuć dalej te rozważania — piszę tylko recenzję. Ale nie mogę się wyzbyć myśli o jakiejś *przyszłej* „konferencji teherańskiej" z tym jednakże, że oprócz Rosji wezmą w niej udział także Niemcy... Jest o czym myśleć.

W nawiasie jeszcze jeden obrazek godny Arystofanesa. W dzień po śmierci Sikorskiego, gdy rozpoczął się wyścig do opróżnionych nagle obu najwyższych stanowisk (premiera i Wodza Naczelnego) „...zaufany Kota, Antoni Słonimski, wykrzykiwał histerycznie na korytarzach Strattonu : „Anders, tylko Anders !" (Str. 116). Chodziło rzecz prosta o spławienie gen. Sosnkowskiego, co — jak potwierdził rozwój późniejszych wydarzeń — byłoby raczej pożyteczne, ale Słonimski w roli koniunkturalnego „Andersowca" wydaje mi się jednak figurą wzruszającą. W roku 1947 czytałem gdzieś wierszyk przypisywany Słonimskiemu :

„Grosz u Bieruta, a Rubel u Andersa,
Nic nie rozumiem. Mogłoby być vice-versa".

Istotnie. Mogłoby.

Pamiętnik Katelbacha dużo mnie nauczył. Zdumiewają mnie dlatego łatwe wnioski, do których doszli niektórzy recenzenci, a nawet tak utalentowany pisarz, jak Jarosław Iwaszkiewicz. Wyraża on zdziwienie, że *Rok złych wróżb* ukazał się w druku na emigracji, tak dalece zdaniem Iwaszkiewicza nas kompromituje. Cóż to za nadwrażliwość nie z tego świata. Co w ogóle, w kontekście epoki, w której nam żyć wypadło — znaczy słowo kompromitacja, i jaką może mieć wagę ? Czyżby szczęśliwy Iwaszkiewicz tkwił wciąż, i psychicznie i mentalnie, w atmosferze sprzed pierwszej wojny światowej, kiedy to skompromitowani dżentelmeni palili sobie w łeb — albo wyjeżdżali do Ameryki ? Dzisiaj kompromitacja nie wiele znaczy. Czy mam to Iwaszkiewiczowi powiedzieć wyraźniej ? Niech sobie przypomni przebieg Walnego Zebrania Związku Literatów sprzed dwu lat — i to, co wtedy sam mówił — o sobie... I jakoś chodzi nadal po Warszawie — syt sławy i chwały.

Jestem wdzięczny Katelbachowi za jego prawdomówną książkę. Stała się ona kanwą niniejszych rozważań. Nie moja wina, że po sumiennym rozważeniu wszystkich *pro* i *contra*,

Sikorski wbrew intencjom autora wydaje mi się mimo wszystko — olbrzymem. Oczywiście, *toute proportion gardée:* olbrzymem na tle Liliputów.

Wiesław WOHNOUT

Pierwsza Pancerna

Franciszek Skibiński należał do malowniczych postaci ostatniej wojny, do której zresztą nie bardzo pasował. Dla tego oficera o typie zagończyka, odpowiedniejszą ramą byłby pułk konny gdzieś na Ukrainie w 1920 r. kiedy ten, kto miał kilkaset szabel za sobą, był panem życia i śmierci na wielkich przestrzeniach, gdzie mogły się wyżywać fantazja, temperament, zamiłowanie do efektu i ,,fasoniarstwa''. Zresztą już w Polsce, w przedwojennych garnizonach, jak np. Rzeszów, były z nim kłopoty, bo tego ,,fasonu'' nie bardzo rozumiano.

Po raz pierwszy spotkałem go jako podchorąży w Grudziądzu, gdzie rtm. Skibiński imponował młodym adeptom oficerskim monoklem i grymasem twarzy, którego nikt nie umiał naśladować. Niemal całą wojnę przeszliśmy u Maczka. Po wojnie wrócił do Polski, gdzie oczywiście ,,siedział'', co wszyscy przewidywali, tylko nie on. Przeżywał w więzieniu chwile tragiczne. Dziś jest generałem w studiach wojsk obcych.

Książka ,,Pierwsza Pancerna'' stanowi jego wspomnienia z trzech kampanii — z wrześniowej 1939 r., z francuskiej 1940 i z walk 1 Dyw. Panc. od Normandii po Niemcy w 1944-45. W pierwszej i w drugiej był szefem sztabu brygady, w trzeciej najpierw zastępcą, a później dowódcą brygady w ramach dywizji.

Jak zaznacza we wstępie, są tylko wspomnienia, a nie historia walk; to ich opis z jego ,,prywatnego punktu widzenia — prawie wyłącznie na podstawie notatek, prowadzonych na gorąco w czasie działań''. Jeżeli tak, to tytuł nie jest bardzo odpowiedni, bo na czytelniku może robić wrażenie właśnie opracowania historycznego, przed czym autor się broni.

Książka podzielona jest na trzy części, odpowiadające trzem kampaniom.



Kampanię wrześniową rozpoczyna w chwili, gdy 10 Brygada Kawalerii (całkowicie zmotoryzowana) znalazła się w rejonie Krakowa jako odwód Armii ,,Kraków'', przewidziany do użycia dopiero po kilku dniach działań w kierunku zachodnim. Oczywiście została użyta już w pierwszym dniu i to na południe na

(1) Franciszek Skibiński — ,,Pierwsza Pancerna'' — Wyd. Czytelnik, Warszawa 1959.

kierunek Nowego Targu, który Niemcy opanowali przed nami. Okres walk w górach opisany jest żywo i barwnie. Brygada dawała sobie radę z dwoma niemieckimi dywizjami panc. mot. które dusiły się w ciasnych dolinach górskich i nie mogły się rozwinąć. Opuściła góry nie dlatego, że wyparł ją ,,jej'' przeciwnik, lecz na skutek ogólnego położenia Armii ,,Kraków''. Po wyjściu na główny kierunek odwrotu Armii, od 6 września, wszystko się zmieniło. Wspomnienia Skibińskiego doskonale to oddają.

Przyszło przekroczenie Dunajca pod Żabnem, Rzeszów, Łańcut, Jarosław, Krakowiec, lasy janowskie i wreszcie walki pod Lwowem. Autor pomija wiele szczegółów milczeniem, choć w gronie kolegów często i tak interesująco je opowiadał, choćby tylko wymienić pewne aspekty działania Grupy ,,Boruta'', lub w jakim stanie i gdzie znaleziono Armię ,,Karpaty''. Ze względu na prawdę historyczną należałoby je podać — ale osobiste wspomnienia nie są historią i autor ich ma prawo kierowania się pewnym poczuciem koleżeństwa. Tak... w takim razie może nie wypadało na stronie 144 pozwolić sobie na bardzo niekoleżeńskie ,,kręcenie nosem'' wobec ,,ludzkiego'' odruchu swego własnego dowódcy, bo to wygląda na złośliwość, zwłaszcza gdy ten odruch był zupełnie prawidłowy. Jeżeli już mowa o ,,kręceniu nosem'', to tylko dodam, że w Brygadzie również nim kręcono, gdy jej szef sztabu, natychmiast po rozbrojeniu oddziałów przez Węgrów, wziął ,,siedzenie w troki'' i w kilka dni znalazł się we Francji, gdzie nikt specjalnie na niego nie czekał i gdzie nawet dziwiono się temu pośpiechowi. A w tym samym czasie zacny i dzielny płk. Dworak, na czele swego 24 p. Ul., piechotą pomaszerował na stację kolejową, by odjechać z żołnierzami do obozu internowania. Nie szedł on z boku, trotuarem — lecz środkiem ulicy, jak na defiladzie. To była ciężka chwila, tak dla żołnierzy jak i dla oficerów. Mówi Skibiński, że sztab przestał istnieć, że nie był potrzebny. Otóż okazało się, że był i to bardzo bo ktoś musiał zająć się organizacją ucieczki z obozów i ewakuacji do Francji niemal całości Brygady. Ponieważ zabrakło sztabu, zajęli się tym inni ludzie.

◆

Druga część książki, poświęcona kampanii francuskiej 1940 r. dużo traci na wartości na skutek przeładowania jej banalnymi drwinkami i złośliwościami pod adresem Francuzów. Taki styl bawił po wojnie, ale dziś się już przejadł, a poza tym jaka z tego korzyść? Raczej szkoda. Z drugiej strony Brygada działała na oczach ludzi obcych, a autor ,,Pierwszej Pancernej'' kilkakrotnie powtarzał kolegom, że ,,ważne jest oczywiście, jak się bitwę rozegra, ale dużo ważniejsze jak się ją później opisze''. Otóż ci wszyscy dowódcy francuscy, którzy zetknęli się z Brygadą, opisali ją w swoich relacjach i to trzeba było z góry zakładać, pisząc własne wspomnienia. A więc bardzo sumiennie i szczegółowo podawać wszystko, co dotyczyło zadań

i ich wykonania. Niestety tu są braki i luki. Trudno tu porównywać poszczególne relacje ze wspomnieniami Skibińskiego, bo zajęłoby to zbyt wiele miejsca, ale wystarczy przytoczyć jeden przykład. Tak według Skibińskiego jak i według relacji francuskich Brygada otrzymała w Szampanii na dzień 13 czerwca zadanie ,,osłony lewego (zach.) skrzydła 20 Dyw. Piech. w łączności z 59 Dyw. Piech.''. Między dwoma dywizjami była luka. Dca 6 Armii stwierdza, i gen. Corbé, dca 20 D.P. mówi to samo, że Brygada tego zadania nie wykonała. Dca 59 D.P. gen. Lascroux podaje zupełnie inną wersję zetknięcia się z Brygadą od tej, która figuruje u Skibińskiego. Również francuski oficer łącznikowy przy Brygadzie, płk. Duchon, szczegółowo opisał ten dzień i też twierdzi, że Brygada odeszła na płd. bez wykonania swego zadania. Tymczasem Skibiński lakonicznie stwierdza: ,,Otrzymaliśmy meldunek, że 20 D.P. wycofała się poza pasmo bagien St. Gond. Zadanie było wykonane''. Od kogo meldunek? Jak przekazany? O której godzinie? Dziś tego sobie już chyba nikt nie przypomni i jeżeli szef sztabu tak ważnej rzeczy nie zanotował, to polemika z Francuzami, którzy przyczynami własnych niepowodzeń chcą obarczyć innych, jest bardzo utrudniona.

◆

Trzecia część wspomnień obejmuje działania 1-ej Dywizji Panc. od wylądowania w Normandii w lecie 1944 do zakończenia wojny w maju 1945. W czasie walk normandzkich płk. Skibiński był najpierw zcą dcy 10 Bryg. Kaw. Panc. później został dcą 3 Bryg. Strzelców, by w styczniu 1945 w Holandii objąć 10 Brygadę, w której zaczął karierę wojenną jako szef sztabu w Polsce we wrześniu.

Nasza Dywizja weszła w skład 2-ej Armii kanadyjskiej i 8 sierpnia natarła wraz z 4 Dyw. Panc. kanadyjską wzdłuż szosy Caen-Falaise przez lukę, którą w ugrupowaniu niemieckim miały wybić dwie dywizje piechoty. Nie wybiły jej, ale zrobiły więcej niż tylko przejście przez pozycję ubezpieczeń, jak pisze Skibiński (tego dnia wieczorem feldmarszałek von Kluge telefonował do gen. Haussera z 7 Armii: ,,Pod Caen nastąpiło przełamanie, jakiegośmy nigdy nie widzieli...''). Natarcie obu dywizji pancernych załamało się jednak ze stratami i nad powodami tego niepowodzenia muszę się chwilę zatrzymać, bo obraz, przedstawiony przez Skibińskiego nie wszędzie jest zgodny z tym, jaki ja, jako szef sztabu 10 Bryg. Kaw. szczegółowo zanotowałem. Na usprawiedliwienie autora należy podać fakt, o którym sam zresztą wspomina, że ze względu na różnice poglądów na dowodzenie jednostką pancerną i oczywiście dość chłodne stosunki osobiste, Skibiński jako zca dcy 10 Bryg. poprosił jej dowódcę, płk. Majewskiego, by ten go zwolnił od jakiejkolwiek współodpowiedzialności za dowodzenie i by uważał go w Brygadzie jako stażystę. W tym to charakterze więc uczestniczył on w bitwie Caen-Chambois.

Dywizja ugrupowała się do natarcia w ten sposób, że w I rzucie szła 10 Bryg. a w II 3 Bryg. Strzelców. 10 Bryg. miała zająć podstawy wyjściowe na godz. 13.45 i na nich czekać na rozkaz ruszenia ,,w dym bomb lotniczych'', mających obezwładnić pozycje, do których nie doszło natarcie nocne piechoty. Rozkaz 2 Korpusu kanad. 8 1/Ops, 6 Aug. 44 ,,Totalize'' — Air Programme ustalił wsparcie lotnicze w dwóch fazach. I faza, zbombardowanie ciężkimi bombowcami nocnymi przedmiotów na skrzydłach natarcia, zapalniki ze zwłoką dla tworzenia kraterów. Cel : odizolowanie korytarza natarcia od skrzydeł (Skibiński twierdzi zaś, że o skrzydle wsch. w ogóle na wyższym szczeblu nie pomyślano i to jego zdaniem było zasadniczym powodem załamania się naszego natarcia i strat). W II fazie ciężkie bombowce dzienne miały zbombardować cele nazwane 6, 7, 8 i 9 zapalnikami bez zwłoki, by nie tworzyć lejów, utrudniających ruch naszej broni panc. Z tych czterech celów dwa znajdowały się na naszym kierunku natarcia, a mianowicie 7 (St. Sylvain) i 8 (Cauvicourt-Hautesmenil).

10 Bryg. wyszła z Caen o godz. 08.00 i ruszyła w kierunku podstaw. Wkrótce w ogniu artylerii i w terenie oczyszczanym od npla tempo jej marszu niebezpiecznie zahamowało się. To jest pierwsza przyczyna niepowodzenia : pułki zamiast być gotowe o godz. 13.45 do natarcia, doszły do rejonu podstaw o godz. 13.50 i o godz. 13.55 otrzymały rozkaz do natarcia (hasło ,,Jagiellończyk''). Ruszyły więc z kolumn, bez rozpoznania terenu, bez rozpoznania pozycji npla, bez ustalenia choćby najprostszego planu ognia. Oczywiście pułk odwodowy (1 P. Panc.) nie miał czasu na zajęcie odpowiednich stanowisk ogniowych, z których mógłby skutecznie ,,osłaniać i wspierać natarcie pułków czołowych'', jak to otrzymał w zadaniu.

Druga przyczyna niepowodzenia to niewykonanie bombardowania przez lotnictwo celów 7 i 8 na kierunku naszego natarcia. Skibiński podaje co się stało — ta olbrzymia wyprawa omyłkowo rzuciła bomby w rej. Caen i nie tylko że nam nie pomogła, ale jeszcze obezwładniła stojącą tam na stanowiskach artylerię, która miała wspierać natarcie. Skibiński popełnia jednak błąd, gdy twierdzi, że 2 Pułk Panc. poniósł straty głównie z kierunku swego lewego skrzydła, a nawet z tyłu, oraz że spalono mu 32 czołgi. Pułk w tym natarciu stracił, według swoich własnych meldunków, 26 czołgów, a 24 Pułk Uł. — 8. Z tych 26 czołgów 2 Pułku tylko 9 było spalonych, jak później szczegółowo meldował oficer techniczny Brygady, a reszta była poważniej lub lżej uszkodzona; kilka rozbiegło się, a jeden dojechał nawet do rzutu A2 pod Caen. Ogień dział i czołgów niemieckich pochodził od czoła z rej. Robertmesnil i z lasków na wsch. Tak meldowały pułki, ten kierunek potwierdziły oględziny zniszczonych czołgów po walce i tak wreszcie podaje oficjalna wersja dywizyjna w książce ,,1 Dywizja Pancerna w Walce'' (str. 54). Wersja uzgodniona jak wiadomo, przez specjalną komisję.

Lotnictwo nie miało bombardować tych celów i powinny one być obezwładnione własnym ogniem pułków i potężnym ogniem artylerii; natarcie wspierały dwie AGRA — grupy ciężkiej artylerii armii — plus pułki dywizyjne. Na skutek nieszczęśliwej pomyłki lotnictwa artyleria w najkrytyczniejszej chwili zamilkła, a pułki — jak wspomniano — weszły do natarcia z kolumn, bez przygotowania. Czołgi nadziały się na nietknięte lufy armat niemieckich.

Odpowiedzialność za to moim zdaniem ponosi kanadyjski dowódca Korpusu, który dowodził całością. To on podobno przy objaśnianiu tej operacji użył słowa ,,szarża'' czołgów w dym bomb lotniczych. Gdy więc stwierdził, że ta ,,szarża'' nie została przygotowana, a dym bomb lotniczych uniósł się gdzie indziej, powinien natychmiast wstrzymać wyruszenie natarcia, by dać oddziałom co najmniej godzinę lub dwie na przygotowanie normalnego wgryzania się w pozycję npla, a nie szarżowania.



Jeszcze jeden fragment opisu bitwy Caen-Falaise-Chambois przez Skibińskiego wymaga omówienia. 15 sierpnia Dywizja otrzymała zadanie wyjścia z kotła, w którym kręciła się od 8-go i wykorzystania na Trun. 17 wiecz. sam Montgomery dał jej rozkaz natychmiastowego ruszenia na Chambois, by tam zamknąć jedyną drogę odwrotu niemieckiego. Dca 10 Bryg. tej samej nocy ruszył 2 Pułk Panc. z 8 Baonem Strzelców z dyonem ppanc., które jednak wyszły późno, pomyliły drogę i wplątały się w walkę na zupełnie odwrotnym kierunku. Spowodowało to opóźnienie manewru Brygady i w rezultacie całości Dywizji na Chambois, co miało swój wpływ tak na późniejszą organizację dowodzenia, jak i nawet na prowadzenie walki. Są to ważne szczegóły, bo przez bitwę pod Chambois Dywizja wzięła udział w najpoważniejszej operacji w swej historii, w jednej z decydujących bitew ostatniej wojny i co ważniejsze, odegrała w niej czołową rolę. Opis tych działań wymaga więc szczególnie sumiennego i krytycznego podejścia. Tymczasem tu właśnie Skibiński stawia dwa poważne zarzuty, które przez swoje sformułowania mogą dać czytelnikowi dużo do myślenia, a w jednym wypadku są niewątpliwie krzywdzące dla dcy 10 Brygady, który poniósł główny ciężar tej niesłychanie trudnej i ciężkiej bitwy. Najpierw ,,z zażenowaniem'' wysuwa Skibiński zastrzeżenia odnośnie organizacji dowodzenia, a później ,,protestuje przeciw metodom dowodzenia'' płk. Majewskiego, przypominając jakiś ,,nigdy nie zapomniany żal za czterdziesty rok, za las pod Moloy''. Wygląda, że wchodzi tu bardzo niewskazany, nawet we wspomnieniach, element porachunków osobistych.

O co tu chodzi? O to że w wyniku walki tak się złożyło, iż obie Brygady znalazły się pod dowództwem płk. Majewskiego, dcy 10 Bryg. Kaw. Panc. i że ten w pewnej chwili przesunął rzut bojowy sztabu do tyłu.

19 sierpnia krystalizuje się koncepcja walki o zamknięcie worka Falaise w rej. Chambois. Gen. Maczek orientuje się, że wyjście z niego zamyka nie tyle położone w dole miasteczko Chambois, ile leżące na płc. wsch. wzgórze, które nazwał „Maczugą", (północną jego część nazwaliśmy „Górną Maczugą", a południową „Dolną Maczugą"). Rozkaz Dywizji przewiduje trzy zgrupowania: 10 Pułk Drag. z 24 P. Uł. ma opanować samo Chambois, 1 P. Panc. z Baonem Strz. Podhal. Dolną Maczugę, a 2 P. Panc. z 8 i 9 Baonem Strz. Górną Maczugę. Po przyjęciu tego ugrupowania dca 10 Bryg. ma dowodzić zgrupowaniem Chambois i Dolnej Maczugi, a dca 3 Bryg. Strz. Górnej Maczugi. Ale w dniu 19 sierpnia jeszcze daleko do tego.

Na Górną Maczugę idzie zgrupowanie 1 Pułku Panc. z Podhalanami, bo 2 P. Panc. i 8 Baon Strz. po nocnych przygodach nie są zdolne do natychmiastowej akcji, a 8 Baon nawet dość wykrwawiony. Zgrupowanie Dragonów opanowuje Chambois, a 1 P. Panc. pod wieczór z Górnej Maczugi zaskakuje wielkie kolumny niemieckie i ogniem dział czołgowych niszczy je całkowicie. Gęsty dym z pożarów i zapadająca noc uniemożliwiają zgrupowaniu 1-go Panc. przejście na Dolną Maczugę, podczas gdy dołącza do niego 2-gi Panc. i dwa pozostałe baony strzelców. W nocy 19/20 są więc tylko dwa zgrupowania, w tym na Górnej Maczudze wszystkie 3 baony Brygady Strzelców. Sztab 10 Brygady przechodzi ze wzg. 259 do Bourdon. Skibiński dziwi się temu bo „punkt ten leżał w dolinie, nie miał żadnych warunków obserwacji, łączność radiowa była jeszcze gorsza".

Dlaczego więc sztab 10 Bryg. tam się przesunął? Miał poważne powody, które widocznie umknęły się uwadze Skibińskiego. Po opanowaniu Chambois i po zniszczeniu kolumn niemieckich z Maczugi tak w sztabie Brygady jak i Dywizji panuje nastrój sukcesu. Do tego pod wieczór przychodzi drogą przez Dywizję rozkaz Korpusu, podający, że w zamkniętym kotle znajdują się bezładne i zdezorganizowane grupy Niemców, gotowe do poddawania się, wobec tego „należy na ważniejszych skrzyżowaniach wystawić placówki z rkm. dla zbierania jeńców". Na żaden oddział Brygady nikt nie naciera. Co w takiej sytuacji staje się główną troską dowódcy? Zaopatrzenie i uporządkowanie oddziałów i pod tym kątem widzenia wybrano Bourdon na m.p. sztabu Brygady. Był ten punkt na kierunku dalszego ruchu na Chambois i na skrzyżowaniu dróg, prowadzących tak do obu zgrupowań, jak do rzutów zaopatrzeniowych, które podciągnięto tej nocy do RV przy kościele Neuphe-sur-Dives.

Szybko jednak okazało się, że Niemcy nie są wcale skłonni do poddawania się, rzut zaopatrzeniowy 1 Pułku Panc. został napadnięty i prawie wszystkie wozy spalone, a do Chambois w ogóle nie można było dojść. Sytuacja zaopatrzeniowa w tym ostatnim zgrupowaniu stała się tak krytyczna, że trzeba było przez Dywizję żądać zaopatrzenia drogą powietrzną.

Rano 20 sierpnia zgrupowanie 1 P. Panc. z Podhalanami miało przesunąć się na Dolną Maczugę, a za nim sztab 10 Bryg. do rej. Chambois. Oto wyjątek z mego notatnika: ,,Od świtu wzmaga się strzelanina. Zgorzelski melduje o ostrych natarciach na Chambois, a Stefanowicz (1 P. Panc.) o zorganizowanych oddziałach nacierających od płd. zach. na wzg. 262 (Górna Maczuga). Zaczęły one tak przybierać na sile — piechota z czołgami — że zażądaliśmy wsparcia lotniczego, którego jednak nie otrzymaliśmy ze względu na przemieszanie własnych oddziałów z nplem. Mowy nie może być o żadnym przegrupowaniu, wszystko jest związane w walce. W pewnej chwili nastąpiło zamieszanie w naszej Kw. Gł. gdzie w środek ugrupowania wjechał niemiecki wóz terenowy...''. Ten epizod opisany jest przez Skibińskiego, zakończony jego ,,polowaniem'' na tych Niemców.

Co miał w tej sytuacji robić dowódca Brygady? To nie był tylko sam sztab w Bourdon, lecz całe zgrupowanie, jeden dyon ppanc. plut. sap. i obydwa pułki artylerii dywizyjnej, punkt sanit. itd. To nie drobnostka, z którą można galopować po przedpolu, jak za samochodem niemieckim. Zostać w miejscu? Ten punkt na dowodzenie w tym dniu nie był przewidziany, zresztą trzeba by było ustawić się na jeża i co najmniej część artylerii użyć do ognia na wprost, zamiast do wsparcia walczących oddziałów. Przebijać się do tego czy innego zgrupowania, gdzie nie było warunków dowodzenia całością? Przecież nie trzeba zapominać, że płk. Majewski w tej chwili dowodził wszystkimi oddziałami obu Brygad. Tak w wyniku walki wyszło i trzeba było z tego wyciągnąć wnioski. Zresztą gdy w oddziałach zaczął zagrażać kryzys, nie było chyba warunków na zmianę organizacji dowodzenia i strojenie sieci. Dowódca Brygady musiał pójść tam, skąd mógł dowodzić i interweniować na korzyść całości. Takim punktem było Hordousseaux na płd. stoku 259 (a nie m.p. z poprzedniego dnia, jak twierdzi Skibiński). Przesunięcie to było uzgodnione z szefem sztabu Dywizji. Z tego wspaniałego obserwatorium dca Brygady mógł interweniować — i interweniował — potężnym elementem, który mu został w ręku, ogniem artylerii, w tym AGRA, bo dca artylerii dywizyjnej znalazł się przy nas. Gdy po bitwie oglądaliśmy teren, dziwiliśmy się wielkim ilościom zniszczonego sprzętu i trupów niemieckich w martwych polach ognia Maczugi. To były ofiary artylerii, głównie kierowanej z Hordousseaux.

Dolna Maczuga pozostała nieobsadzona i przez nią przypuszczalnie mogła się wymknąć część oddziałów niemieckich bez sprzętu. Ale gdy przypomnę sobie ciężki kryzys na Górnej Maczudze, na której dwa pułki pancerne i trzy baony strzelców z ledwością utrzymały się w obliczu fanatycznych i dwustronnych natarć elitarnych oddziałów niemieckich, jestem głęboko przekonany, że szczęście żołnierskie było po naszej stronie, gdy sytuacja zaistniała 19 sierpnia wiecz., i 20 rano nie zezwoliła na przegrupowanie się. Moim zdaniem Górna Maczuga, bro-

niona jedynie przez wyczerpane i wykrwawione zgrupowanie 2 P. Panc. i 8 Baonu Strz. z 9 Baonem mogłaby paść i wtedy cmentarz wojenny w Langannerie miałby o wiele więcej białych krzyży, niż ma obecnie, a Dywizja Pancerna tak prędko jako dywizja do akcji ponownie by nie weszła. Ta ciężka bitwa została rozegrana przy minimalnych stratach z naszej strony — a mogłaby kosztować drogo, gdyby tylko pozwolono sobie na jakieś efekty. I tu jest wielka zasługa Majewskiego, bo choć można było mieć wiele zastrzeżeń do jego sposobu dowodzenia, to trzeba mu oddać, że w wykonaniu każdego zadania, w każdej sytuacji, jego zasadniczym założeniem była głęboka troska o oszczędność krwi żołnierskiej. Co o nie wszystkich dowódcach można było powiedzieć...



Jest jeszcze szereg fragmentów książki, które wymagałyby może pewnych omówień, raczej drobnych, ale to zaprowadziłoby nas za daleko. Zakończę trzema uwagami ogólnymi. Skibiński nie zapomina o zwykłym żołnierzu i zachowuje dla niego odpowiednie miejsce w swoich wspomnieniach. Natomiast może za bardzo podkreśla jak mu przyjemnie i wygodnie przeszła reszta wojny w Dywizji Panc., która w jego opisie przedstawia się luksusowo — a dla żołnierza jednak nie zawsze taka była. Wreszcie blado wygląda stosunek autora do swego dowódcy, do generała Maczka, z którym bądź co bądź przeszedł trzy kampanie. Ten stosunek jest poprawny (z wyj. wspomnianego incydentu) i nic więcej. Tymczasem osobiste wspomnienia mogły być doskonałą okazją do przedstawienia czytelnikom tej ciekawej sylwetki, bo jednak „Pierwsza Pancerna" od swych początków, od 1939 roku jest nierozerwalnie związana z nazwiskiem Maczka.

Marian CZARNECKI

Aktualność Szeptyckiego

W 1 listopada 1959 r. upłynęło 15 lat od śmierci Andrzeja Szeptyckiego, arcybiskupa lwowskiego i metropolity halickiego. Blisko 80-cioletni metropolita umierał *in odore sanctitatis*, świadczy o tym nie tylko legenda, która rozeszła się wśród Ukraińców w całym świecie, ale także fakt, że Rzym — jak wiadomo bardzo ostrożny w tych sprawach — już w 11 lat po śmierci Szeptyckiego polecił rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego. Legendy są na pewno najbardziej poetyczną częścią wspomnień o Szeptyckim, ale też najmniej wystarczającą dla

trzeźwych urzędników Kongregacji rzymskiej, którzy domagają się ,,faktów''; nic więc dziwnego, że dopiero niedawno ukazały się w języku włoskim staraniem Postulatora beatyfikacji ks. M. Hrynczyszyna, tzw. artykuły (1) zawierające również biografię Szeptyckiego. Jest może więcej niż szczęśliwym przypadkiem, że broszurka ta ukazuje się za pontyfikatu Jana XXIII, podobnie jak Szeptycki rzecznika Unii ze Wschodem.

Biografia Szeptyckiego przesiana przez sito krytyczne i ujęta w suche paragrafy, zapewne zgodnie z wymaganiami odpowiedniego regulaminu św. Kongregacji, czyta się jednak jak powieść czy może jak dramat. Urodzony w 1865 jako syn hr. Jana Szeptyckiego i hr. Zofii Fredro (a więc wnuk Aleksandra Fredry), ochrzczony w obrządku łacińskim (rzymsko-katolickim), bowiem — jak pisze ks. Hrynczyszyn — przodkowie rodziny Szeptyckich ,,uwiedzeni wspaniałością kultury polskiej *sedotti dallo splendore della cultura polacca,* porzucili byli obrządek wschodni''. W wieku lat 18 postanowił wstąpić do zakonu Bazylianów (co oznaczało przejście na obrządek grecko-katolicki), aby poświęcić się pracy dla ludu ukraińskiego. Trudno sobie dziś wyobrazić co oznaczała taka decyzja w r. 1883 nie tylko pod względem narodowym, zerwanie z tradycją polsko-łacińską w której był wychowany, ale — co wówczas znaczyło zapewne więcej — zerwanie ze swą klasą społeczną: obrządek grecko-katolicki uważany był wówczas powszechnie w Galicji za religię chłopską.

Ojciec młodego Szeptyckiego sprzeciwiał się długo jego powołaniu. Jednakże przeszkody udało się pokonać, młody człowiek zwrócił na siebie zainteresowanie wyższych kół kościelnych, w r. 1888 przyjęty został wraz z matką na specjalnej audiencji przez Leona XIII, który zainteresował się żywo wiadomością, że chce on zostać bazylianinem. To spotkanie nie zostało bez wpływu na losy przyszłego mnicha: wyświęcony na księdza w 1892, po ukończeniu teologii w Krakowie mianowany ihumenem (przeorem) klasztoru św. Onufrego we Lwowie w 1896, profesorem teologii w Krystynopolu w 1898. Gdy w 1899 kard. Ledóchowski zaproponował go na biskupa stanisławowskiego, Szeptycki oparł się kategorycznie i dopiero osobista interwencja Leona XIII, który nie zapomniał audiencji sprzed 11 lat, skłoniła go do przyjęcia nominacji. W dwa lata później był już arcybiskupem-metropolitą lwowskim. Miał lat 36.

Przeszło 40-letnie rządy biskupie wypełnione są działalnością we wszystkich możliwych dziedzinach. Najciekawsza może dzisiaj jest praca w kierunku unii kościelnej ze Wschodem. W r. 1907 Szeptycki był jednym z inicjatorów i przewodniczącym pierwszego kongresu teologów poświęconego stosunkom Wschodu z Zachodem, który miał miejsce w Velehradzie

(1) Beatificationis et canonizationis Servi Dei Andreae Szeptyckyj... articuli pro causae instructione... Romae 1958, 77 pp.

w Czechach. Coraz częstsze dziś spotkania tego rodzaju wywodzą się z owego pierwszego kongresu w Velehradzie.

Mało kto wie, że Szeptycki zajmował się czynnie sprawą połączenia Cerkwi rosyjskiej z Rzymem. W latach bezpośrednio poprzedzających rewolucję wśród inteligencji rosyjskiej bardzo żywe były prądy życzliwe wobec katolicyzmu (wystarczy wspomnieć filozofa Wł. Sołowjowa). Szeptycki, jako tytularny biskup Kamieńca Podolskiego, uważał się za uprawnionego do działania na terytorium ówczesnej Rosji. Możliwości takiego działania otworzyły się w 1905 po ukazie carskim zezwalającym na działalność unicką.

Szeptycki zdawał sobie sprawę jaką nienawiścią otoczone jest wśród Rosjan słowo ,,łacinnik'', toteż uważał, że katolicyzm może się w Rosji szerzyć tylko w formie wschodniej, posiadającej tam tysiącletnią tradycję. W początku 1907 r. wyłożył osobiście Piusowi X to co można zrobić potajemnie w Rosji, a mianowicie wyświęcać księży i biskupów. Dodał, że jako metropolita lwowsko-halicki i biskup Kamieńca uważa się za uprawnionego do tego rodzaju akcji. Papież odpowiedział: *utere iure suo* (korzystaj z twych uprawnień).

W tymże roku metropolita udał się incognito do Moskwy, gdzie zetknął się z kilkoma biskupami prawosławnymi przychylnymi Rzymowi. W tym samym czasie mianował swym wikarym generalnym na diecezję kamieniecką Rosjanina A. Żerczaninowa, duchownego prawosławnego, który pod wpływem Szeptyckiego przyjął potajemnie Unię.

W 1908 Pius X rozszerzył jurysdykcję metropolity na terytorium całego imperium carskiego, otrzymał on w ten sposób uprawnienia równe prerogatywom patriarchy maronickiego (na Bliskim Wschodzie); innymi słowy miał prawo mianować księży i biskupów bez uprzedniego porozumienia z Rzymem. Nic dziwnego, że doczekał się przydomku (złośliwego w ustach jednych, pełnego podziwu u drugich) *alter Papa in Oriente*. Sytuacja polityczna wymagała zresztą utrzymania tej jurysdykcji w tajemnicy.

Nadszedł rok 1914, Szeptycki był już wówczas na tyle znany zagranicą a zwłaszcza w Rosji, że w tydzień po zajęciu Lwowa przez wojska carskie wywieziono go (trzeba przyznać w towarzystwie spowiednika, sekretarza i służącego) do Kijowa a stamtąd do Suzdala. Z właściwą sobie przytomnością umysłu natychmiast skorzystał z okazji i przybywszy do Kijowa wyświęcił swego spowiednika na biskupa łuckiego (unickiego).

Uwolniony w 1917 po wybuchu rewolucji udał się do Petersburga, gdzie mianował duchownego rosyjskiego L. Feodorowa swym egzarchą (delegatem apostolskim) na Rosję (Wielkorosję), zachowując osobno dawne kraje Unii, Białoruś i Ukrainę. Co więcej, udało mu się uzyskać uznanie przez Rząd Tymczasowy ks. Feodorowa jako głowy Kościoła unickiego

w Rosji. 7 listopada 1917 (w przeddzień „rewolucji” październikowej) minister Wyznań Religijnych Rządu Tymczasowego uznał oficjalnie istnienie Kościoła unickiego w Rosji (dotąd zakazanego). Oczywiście te początkowe sukcesy utonęły w zawierusze rewolucyjnej (ks. Feodorow zmarł wywieziony).

Jednakże bolszewicy nie opanowali od razu Ukrainy, i 21 czerwca 1918 ukraiński synod prawosławny w Kijowie postanowił stworzyć patriarchat ukraiński niezależny od Moskwy i ofiarować godność patriarchy Szeptyckiemu, co równało się pośrednio propozycji unii. Niestety i tutaj wypadki historyczne potoczyły się w innym kierunku.

Pierwsze lata powojenne wypełniły Szeptyckiemu mało przynoszące nam chluby szykany ze strony władz polskich (a także kalumnie ze strony Francuzów, którzy nie mogli mu zapomnieć, że był członkiem austriackiej Izby Panów). Nie mogąc wrócić do Lwowa spędził lata 1921-23 w Zachodniej Europie i w Ameryce. Z tego okresu działalności na rzecz Unii datuje się popularność Szeptyckiego w kołach kościelnych zachodniej Europy zainteresowanych Unią. Z czasów wizyty w Ameryce pochodzi również projekt stworzenia osobnej hierarchii biskupiej dla Ukraińców w Ameryce Północnej, która to hierarchia powstała w kilka lat później. Są to najliczniejsze dziś chyba cyfrowo diecezje unickie w wolnym świecie posiadające (od niedawna) własnego metropolitę, licznych biskupów i ponad 500 księży.

Po powrocie do Polski Szeptyckiemu było dane — i to aż do 1939 — spotkać się z małością i zawiścią polską. Internowano go w Poznaniu we wrześniu 1923 i wypuszczono dopiero na interwencję Piusa XI w styczniu 1924 (mówi się też, choć nie wiadomo z jaką dozą prawdy, że rząd polski sprzeciwił się kategorycznie przyznaniu kapelusza kardynalskiego Szeptyckiemu).

W latach poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej Metropolita poświęcił się z początku odbudowie materialnej swego kraju, następnie zaś podniesieniu kultury religijnej Galicji. W 1924 stworzył kwartalnik teologiczny „Bohosłowia”, a w 1928 akademię teologiczną o poziomie uniwersyteckim. Akademia ta zastępowała w pewnym sensie uniwersytet ukraiński we Lwowie, którego stworzenie, uchwalone teoretycznie przez sejm Rzplitej, uniemożliwiła z kolei małoduszność społeczeństwa polskiego.

W 1939 okupacja sowiecka zastała Szeptyckiego w wieku lat 74, niemal całkowicie sparaliżowanego. Zamiast przygnębienia wykazuje on zadziwiającą energię, można by wprost powiedzieć, że rzuca się na dawno oczekiwaną okazję, że przystępuje do ataku. Już 9 października 1939 korzystając z dawnych uprawnień Piusa X (potwierdzonych co prawda przez Piusa XI, ale nie przez Piusa XII) mianuje czterech nowych biskupów-egzarchów: Wołyń, Białoruś, Rosja z Syberią

i Wielka Ukraina (w rok później dotarł do Szeptyckiego list kardynała-sekretarza stanu cofający nadzwyczajne prerogatywy. Szeptycki zawiadomił nowo kreowanych biskupów, że nie ma nawet prawa przyjąć od nich dymisji. W ten sposób pozostawali oni nadal na swych miejscach). Pod pierwszą okupacją sowiecką Szeptycki organizuje całe życie religijne Galicji z myślą o możliwych prześladowanych i deportacjach, zakazując m.in. księżom opuszczania parafii, przygotowując w każdej parafii odpowiedzialnych wiernych, którzy mogliby zastąpić księdza (chrzcząc z wody itp.), organizuje (1.IV. 1940) dzień eucharystyczny poświęcony nawracaniu ateistów (!), a wreszcie zbiera pod nosem NKWD synod diecezjalny, na którym obok kwestii administracyjnych miały również miejsce dyskusje teologiczne.

O nieustraszonym zachowaniu Metropolity wobec obu okupantów krążą liczne legendy. Faktem jest, że w 1939 r., w liście odręcznym do papieża prosił, by ten ,,delegował go na śmierć za wiarę i Kościół''. Podczas prześladowania Żydów, w którym brała też udział ukraińska Hilfspolizei, Metropolita interweniował energicznie u kierownika tej policji w 1941, gdy to nie pomogło ogłosił (w 1942) list pasterski biorąc za temat ,,Nie zabijaj'', a wreszcie w 1943 wystosował list do Hitlera protestując przeciw zbrodniom Gestapo.

Zmarł wkrótce po ponownym zajęciu Lwowa przez Rosjan, którzy woleli go nie ruszać. Prześladowania rozpoczęły się w kilka miesięcy po jego śmierci: wszyscy biskupi zostali wywiezieni (jeden z nich staruszek Kocyłowski porwany z Przemyśla, leżącego jak wiadomo na ,,suwerennym'' terytorium PRL). Następca Szeptyckiego arcyb. Slipyj skazany został na 15 lat obozu, wypuszczono go w 1956, ale niedawno ponownie skazano na 7 lat, podobno za próbę wysłania listu pasterskiego do Galicji.

To suche zestawienie faktów może dać tylko najogólniejsze pojęcie o Andrzeju Szeptyckim. Osobny ustęp, a raczej osobne studium należałoby się ludzkim cechom Szeptyckiego: jego życzliwości wobec wszystkich niezależnie od narodowości i wyznania (w r. 1919 przyjął z otwartymi rękami dwóch uciekających arcybiskupów rosyjskich, którzy odznaczyli się w prześladowaniu unitów), jego iście fredrowskiemu humorowi, a wreszcie czemuś, o czym świadczą wszyscy, którzy go znali, a co można by chyba tylko nazwać wielkością. Dziełko ks. Hryńczyszyna zajmuje się, jak przystało na tego rodzaju studium, w jeszcze większej mierze tak zwanymi cnotami heroicznymi Metropolity; te jednak leżą poza zasięgiem notatki w ,,Kulturze''. Dla szerszych kół najciekawszy jest chyba, wobec aktualności kwestii Soboru powszechnego poświęconego Unii kościelnej, aspekt unijny jego życia. Jednym z pierwszych jego zamiarów było stworzenie placówki katolickiej w Bułgarii. Wiadomo też, że był jednym z nielicznych biskupów katolic-

kich dobrze widzianych w Konstantynopolu. Nie jest może przypadkiem, że ideę unii podjął obecny papież, który w Bułgarii i w Grecji szedł w pewnym sensie po śladach Szeptyckiego.

(*av*)

Atom jest nie tylko sprawą scjentyfiki

Omawiałem swego czasu w ,,Kulturze'' krajowe ,,Problemy'', świetne, na wysokim poziomie (treści, choć nie druku i papieru) czasopismo popularno-naukowe. Imponuje mi szerokość zainteresowań, kompetencja naukowa i zręczność redaktorska tego pisma, które nie miało odpowiednika w Polsce przedwojennej i nie ma na emigracji. ,,Problemy'' świadczą o przemianie głębszej niż płycizna rzeczywistości politycznej. Przemianie oczywistej i zrozumiałej. Cały świat — nie tylko Polska — wszedł w nową fazę kulturalną, która na przekór wróżbie Miłosza (w ,,Kulturze'' z października 1959 r.) nie jest odwracalna. Przemiany są zbyt gwałtowne i mnożą się progresją geometryczną. Sputnik, zapowiadający podróże międzygwiaździste, uzmysłowił nam to lepiej niż trudne i zwłaszcza dla starszego pokolenia (młodych ludzi w moim wieku) niezwykłe teorie.

Rozwój intelektualny emigracji nie dotrzymał niestety kroku tym przemianom. Mamuty emigracyjne wciąż jeszcze przeżuwają trawę tundr paleolitycznych. Jak się stało, że żyjąc na Zachodzie, w atmosferze niebywałego fermentu intelektualnego, nie zainteresowaliśmy się sprawami scjentyfiki? Pozostawiam tę zagadkę dla badaczy psycho-patologii naszej emigracji. Faktem jednak jest, że rozpisana polska emigracja nie miałaby prawie literatury scjentyficznej gdyby nie pracowitość i zapobiegliwość Tadeusza Felsztyna. Jego ostatnie dwie książki (1) (ostatnie z wielu) są typowe dla działalności popularno-scjentyficznej dr. Felsztyna i dla stosunku emigracji wobec scjentyfiki. A te dwie sprawy są ważniejsze niż wartość książek: pierwszej dobra, drugiej mierna.

Atom w służbie ludzkości jest książką o zastosowaniach współczesnej wiedzy atomowej. Tytuł ściśle wyraża treść. Jest książka praktyczną, która teorii poświęca minimum miejsca. Jest także książką przystępną, bez parafernalii formułek i wykresów. Jeśli mimo to trudno się czyta, nie należy winić autora ani przedmiotu, ale raczej czytelnika, którego wykształcenie scjentyficzne lub ciekawość intelektualna nie są dostateczne. Essay Hostowca, poemat Miłosza lub proza Gombrowicza, są równie trudne i ,,nieczytelne''. Nie porównuję Felsztyna z Hostowcem, Miłoszem i Gombrowiczem. Porównuję humanistykę ze scjentyfiką. Snobizm i otrzaskanie pozwalają nam przyjmować trudny essay, wiersz lub prozę, ale kręcimy nosem na równie trudne — choć bardziej dziś ważne — sprawy scjenty-

(1) *Atom w Służbie ludzkości* (Veritas, Londyn, 1958, str. 334).
Rakiety i podróże międzyplanetarne (B. Świderski, Londyn, str. 226).

ficzne. Dużo zawinił także kompleks purystyczny, który sprawia, że polska terminologia scjentyficzna, która razi nawet uczonych w Polsce, jest niezrozumiała dla Polaków żyjących i kształcących się za granicą. Irena Joliot-Curie powiedziała raz: „Znam trochę język polski, rozumiem prawie wszystko, mogę się wysłowić, ale czytać prace naukowe po polsku — to już wolę w jakimś zupełnie nieznanym mi języku" (2). Książki Felsztyna, grzeszą na równi z krajową literaturą scjentyficzną przesadnym puryzmem.

Atom jest nie tylko sprawą scjentyfiki. Hiroszima i Nagasaki rzutują atom w strategię i taktykę wojenną; rywalizacja mocarstw wprowadza go w politykę; energia nuklearna jest problemem gospodarczym; opady radioaktywne stwarzają problem medyczny i genetyczny; historia i archeologia są głęboko zainteresowane węglem 14; kosmologia i kosmogonia — podstawowe i najżywotniejsze problemy filozofii — opierają się o teorie atomu; medycyna i biologia wchodzą w okres rewolucyjnych przemian dzięki znaczonym atomom i to samo można powiedzieć o rolnictwie, które może przecież nadąży przyrostowi ludności; materiały plastyczne które 30 lat temu błędnie wróżyły nową erę materialnego dobrobytu, nabrały dzięki radiacjom atomowym zupełnie nowego wymiaru a innych zastosowań przemysłowych jest tak wiele, jak materiałów jakie wytwarzamy; komunikacja — morska, lądowa, powietrzna, elektroniczna i międzyplanetarna — zmienia świat nie do poznania, dzięki atomowi.

Jaka moralność, etyka, filozofia będą rządziły tym nowym światem jest pytaniem, które głęboko niepokoi filozofów i moralistów. Ale o tym głucho w emigracyjnym światku. C.P. Snow niedawno zauważył, że humaniści zaanektowali prawem kaduka nazwę „intelektualista", która w ich pojęciu nie obejmuje „ani Rutherforda, ani Eddingtona, ani Diraca", ani Plancka, Einsteina, Maxwella, de Broglie, Schroedingera, Fermi, Heisenberga, Bohra czy plejady innych najświetniejszych mózgów jakie ludzkość wydała. Arogancja polskich „intelektualistów" emigracyjnych, dla których humanizm wspominkarstwa i podwórkowych rozgrywek politycznych jest pępkiem świata, ale którzy „nie interesują się sprawami scjentyfiki" (jak mi powiedział pewien redaktor emigracyjny) jest tym bardziej groteskowa. Jak wielu „Akademików" londyńskich „Wiadomości" wie jak wygląda wnętrze atomu w świetle nauki współczesnej, jak wielu pojmuje zawiłości stosów i siłowni atomowych, jak wielu orientuje się w znaczeniu izotopów radioaktywnych, jak wielu wie co to jest komora Wilsona i akcelerator cząsteczkowy, jak wielu przestudiowało problem opadów radioaktywnych? *Atom w służbie ludzkości* omawia te sprawy ale jak wielu „akademików" czytało książkę dr. Felsztyna, jedyną książkę o atomie wydaną po polsku na emigracji?

Książka jest czytelna, starannie i systematycznie opracowana i dla laików najzupełniej wystarczająca. Skorowidz mógłby być obszerniejszy i bardziej szczegółowy, ale zręczne użycie podtytułów i tłustego druku pozwala znaleźć każdą potrzebną informację. Osobiście widziałbym chętnie także skorowidz bibliograficzny, ale to byłoby chyba — jak mówią Anglicy — *gilding the lilly*.

Zadowolenie intelektualne i fachowe jakie mi dała część scjentyficzna *Atomu w służbie ludzkości* upoważnia mnie jednak do stwierdzenia że ostatni ustęp („Problemy moralne związane z energią atomową") jest zbyt ułatwiony frazesami i nieprzekonywującym wyznaniem wiary — religijnej, politycznej, ekonomicznej. Nawet najbardziej katolicki punkt

(2) Cytowane według doc. dr. inż. E. Görlich i dr. inż. S. Orsini „Spolszczanie nazw technicznych — ale jakie?" („Problemy", nr 9-1959).

widzenia nie musi być aż tak błagonadiożny, a tendencyjność polityczna wyraźnie przemogła scjentyficzną obiektywność autora. Pokora i skromność są najwłaściwszą postawą w obliczu spraw tak zawiłych i nie wolno ułatwiać problemów naiwnym oportunizmem. George Russell Harrison, wybitny fizyk amerykański (autor analogicznej książki pt. ,,Atoms in Action") opowiada (3), że był raz na audiencji u papieża Piusa XII. Papież w swym przemówieniu mówił o znaczeniu i naukowej ważności astronomii dla świata i Harrison, który nie jest katolikiem, widział w jego słowach sprawiedliwość dziejową, która kazała papieżowi przepraszać świat za krzywdę jaką kościół wyrządził Galileuszowi. Po przemówieniu papież przyjął prywatnie grupę uczonych amerykańskich. W toku rozmowy, pewien młody i popędliwy astronom zapytał papieża: ,,Czy istnieje życie na Marsie?" ,,Skąd *ja* mogę o tym wiedzieć?" odrzekł papież z uśmiechem. ,,I tak, po upływie 500 lat zeszły się dwie drogi poszukiwania prawdy", kończy Harrison swoją anegdotę.

Rakiety i podróże międzyplanetarne są książką równie znamienną dla działalności dr. Felsztyna, choć niewspółmierną z *Atomem*. Eksploatacja sensacji sputnikowej skusiła go do rzucenie na rynek księgarski książki niezbyt dobrze wypracowanej. Zbiór reportaży naukowych z pracy codziennej, nawet ,,poprawiony" i ,,uzupełniony", tylko rzadko nadaje się do książkowej publikacji. Dr Felsztyn nie docenił inteligencji swych czytelników. Jego książki są przeznaczone dla humanistów, którzy zdają sobie sprawę, że współczesna postawa humanistyczna wymaga znajomości najważniejszych wydarzeń scjentyficznych oraz dla scjentystów, którzy w rozdrobnieniu specjalizacji nie mają czasu na czytanie źródłowych prac naukowych w innych dziedzinach. Obie grupy muszą się zniechęcić denerwującą rozwlekłością, powtarzaniami, przestarzałym i prześcigniętym ,,julesverne'yzmem", naiwną kurierkową stronniczością polityczną, kolokwializmami, które graniczą z banałem. Szkoda, bo zasadniczo *Rakiety* są książką potrzebną, fakty dr. Felsztyna są poprawne i nadzwyczaj ciekawe, temat jest żywotny i aktualny a autor jest na pewno powołany aby taką książkę napisać. Innego czytelnika może bawić ,,frywolność" stylu i ,,lekkość" podejścia, ale mnie nieodparcie przypominało to artykuł w pewnym prowincjonalnym amerykańskim magazynie, w którym autor uporczywie zamiast ,,William" pisał ,,Bill Shakespeare".

Henryk SCHOENFELD

Górny Śląsk

Wśród ostatnich publikacji poświęconych Śląskowi książka N.J.G. Pounds'a (1) zajmuje zupełnie specjalne miejsce. Jest to studium Górnego Śląska jako jednostki geograficzno-gospodarczej.

(3) George Russel Harrison: *What Man may be* (W. Morrow & Co., New York, 1956).

(1) Pounds, *Norman J.G. The Upper Silesian Region. Indiana University Publications, Bloomington,* 1958, 242 *pp.* (*Slavic and East European* Series, v. 11).

Autor tej monografii ma już za sobą podobne opracowanie o innym kompleksie węglowo-stalowym Europy. Jego praca o Ruhrze należy do podstawowych publikacji na ten temat i utrwaliła nazwisko naukowe autora wśród najwybitniejszych znawców przedmiotu w świecie. Książka o Śląsku leży więc na linii zasadniczych zainteresowań autora. Jej naukowy obiektywizm stawia ją ponad literaturą naładowaną pasjami politycznymi. Oczywiście autor jest świadomy, że Śląsk to zagadnienie, w którym krzyżują się interesy polityczne wielu czynników. Imperialistyczne parcie Niemiec na ten właśnie obszar widnieje u podstaw nieprzeliczonej ilości publikacji pseudonaukowych, opartych wyłącznie o literaturę niemiecką. Prof. Pounds do gruntownej znajomości niemieckiej literatury przedmiotu i samych Niemiec dodał takąż samą znajomość literatury i dziejów ekonomiczno-politycznych Polski. Aby żadne z zasadniczych źródeł nie uszło jego uwagi — nauczył się języka polskiego i odwiedził Polskę dwukrotnie w ciągu ostatnich lat.

Norman J.G. Pounds jest pełnym profesorem geografii na Uniwersytecie Indiana. W ostatnich tygodniach objął specjalnie stworzoną tu profesurę, która się nazywa w języku angielskim ,,University Professorship'' i jest najbliższym stopniem do stanowiska : ,,Distinguished Service Professor''. Z pochodzenia jest Brytyjczykiem. Studia swe ukończył i pierwsze kroki w pracy naukowej stawiał w Cambridge i w Londynie. W Stanach Zjednoczonych wykładał w Madison (Wisc.) i w Kansas. Z Indianą związany jest od r. 1950 wykładając na wydziale geografii. Do ostatniego roku był też równocześnie prezesem Instytutu Studiów Wschodnio-Europejskich.

Sprawie Śląska poświęcił dużo uwagi. Prócz omawianej książki ogłosił kilka artykułów w fachowej prasie. Jeden z nich : Planning in the Upper Silesian Industrial Region ukazał się w Journal of Central European Affairs 18:410-422, ze stycznia 1959 r. i w odbitce.

Książka o górnośląskim okręgu przemysłowym rozpoczyna się rozdziałem : Śląsk w 18 wieku, od momentu zagarnięcia go przez Fryderyka II. Fakt ten, nie pozostawiający wątpliwości co do swego zaborczego charakteru, jest przedstawiony na tle ogólnej charakterystyki przeszłości dziejowej Śląska i jego przynależności do Polski, Czech i Austrii. Mimo długoletniego oderwania od Polski w chwili obejmowania Śląska przez Prusy język polski panował prawie wyłącznie na wschód od Odry. Po zapoznaniu czytelnika z cechami geograficznymi okręgu autor opisuje dalej i ocenia system administracyjny na tych ziemiach w w. 18-tym, obejmując swoimi uwagami rozwój kopalń węgla, żelaza, ołowiu i cynku. Trzeci rozdział został poświęcony w całości ogólnej charakterystyce i ocenie złóż mineralnych Śląska, które następnie są przedmiotem szczegółowej analizy oddzielnie dla węgla, a oddzielnie dla innych kopalin. Udział wszystkich zainteresowanych czynników w rozwoju Śląska, włącznie z Rosją po r. 1815, jest opracowany w odrębnych rozdziałach, obejmujących okres aż do podziału Śląska po pierwszej wojnie światowej. ,,Śląsk podzielony'' — to specjalny rozdział w dziejach Śląska i w książce. Wreszcie ostatni rozdział omawia przemiany w ramach wschodnioeuropejskiej rewolucji, jaka się dokonuje w okresie po ostatniej wojnie światowej.

Autor przypomina, że Śląsk leży na jednym ze złóż węglowych, które ciągną się na południowej krawędzi pasa wielkich nizin, biegnących od północnej Francji po Ukrainę. Basen węglowy Górnego Śląska oblicza

on na 2000 mil kwadratowych, czyli uważa go za rozleglejszy od Ruhry. Pokłady węgla są grube i bogate ; w pobliżu znajduje się ruda żelaza, choć w małej ilości, oraz ołów i cynk.

Górny Śląsk jest jednostką geograficzno-gospodarczą. Cały charakter ekonomiczny i funkcjonalny tej jednostki przeciwstawia się podziałom Śląska między różne organizmy polityczne, gospodarcze i administracyjne. Niestety, po pierwszej wojnie światowej doszło do takiego podziału w okolicznościach, które z góry stawiały powstającą Polskę w sytuacji niekorzystnej i krzywdzącej. Jedność funkcjonalną Śląska zachowały po r. 1921 instytucje prawa międzynarodowego, którym obydwie części Śląska były poddane.

Polska odziedziczyła po pierwszej wojnie światowej te części Śląska, które uprzednio należały do Prus, Austrii i do Rosji poprzez Królestwo Kongresowe. Pozostałości różnych poziomów ekonomicznych i różnych systemów administracyjno-politycznych i społecznych dodatkowo utrudniały zadanie odbudowanego państwa polskiego. W okresie tym wszakże proces rozwoju Górnego Śląska postępuje naprzód. Przerywa go wojna r. 1939. Okres okupacji hitlerowskiej cechuje eksploatacja i brak nakładów inwestycyjnych. Od r. 1939 do 1944 samego węgla Niemcy wydobyli na własny użytek 400 milionów ton, nie troszcząc się o odpowiednie do tego wydobycia zabezpieczenie wewnętrznych urządzeń i odnowienie sprzętu. Śląsk więc wchodził w nowy okres swego rozwoju po r. 1945 w stanie wołającym o poważne inwestycje i w obliczu wymagań produkcyjnych, które musiały zaspokoić potrzeby odbudowy kraju i zobowiązania węglowe wobec Rosji Sowieckiej.

Autor notuje szczegółowo wszystkie objawy rozwoju ekonomicznego Śląska i nowe formy organizacyjne, w których gospodarka Śląska znalazła się w obecnym okresie. W szczególności analizuje dzisiejszą produkcję węgla, cynku i ołowiu, nowe ośrodki przemysłowe w Nowej Hucie i w okręgu Częstochowy, oraz budowę Górno-śląskiego Okręgu Przemysłowego (GOP), ,,który może uczynić ze Śląska Ruhrę Wschodu''. Autor poświęca dużo uwagi współpracy gospodarczej ze Śląskim czeskim. W konkluzji podkreśla niewątpliwą integrację Górnego Śląska z gospodarką i z życiem Polski.

Wszystkie rozdziały książki są zaopatrzone w obszerną bibliografię. Rozpoczynają je trafnie dobrane motta, które wiążą rzeczową analizę książki z szerszymi zjawiskami kulturalnymi i społecznymi i są wyrazem zainteresowań literackich i artystycznych autora. Przed następnym wydaniem pisownia polskich cytatów i nazwisk powinna być przejrzana, układ graficzny dedykacji będzie zapewne zmieniony, a takie usterki jak daty odstąpienia przez Piastów Śląska Czechom (konkretnie przez Kazimierza Wielkiego, w 14, a nie w 13 wieku) i opanowania go przez Habsburgów — łatwo skorygowane.

Książka jest wydana w ramach publikacji Uniwersytetu Indiany, jako 11-ty tom serii słowiańskiej i wschodnio-europejskiej. Dedykowana została ,,Przyjaciołom z Towarzystwa Geograficznego w Katowicach''. Jest wykonana estetycznie techniką offsetową, zbliżoną do druku, w okładce papierowej. Prócz wspomnianej bibliografii zawiera spis nazw miejscowości w języku polskim, czeskim, niemieckim i angielskim, oraz indeks rzeczowy.

Kosztuje $4.00 i jest do nabycia pod adresem: Editorial Committee, Slavic and East European Series, Indiana University, Bloomington, Indiana.

Praca prof. Pounds'a jest świetnym źródłem podstawowych wiadomości o Górnym Śląsku jako okręgu przemysłowym. Dobre poinformowanie w tej dziedzinie zapewne wzbogaci nie tylko wiedzę ogólną o tym okręgu ale także zwiększy świadomość ogromnego znaczenia Śląska dla Polski.

Wacław SOROKA

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU LITERACKIEGO UFUNDOWANEGO PRZEZ POLAKÓW Z WENEZUELI

Zarząd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie zawiadamia, że Jury Konkursu Literackiego ufundowanego z inicjatywy i dzięki ofiarności Polaków zamieszkałych w Wenezueli, w składzie: T. Terlecki — przewodniczący, oraz J. Jaksiński, J. Kisielewski, T. Sułkowski i W. Tarnawski — członkowie, przeprowadziło dyskusję nad 24 pracami nadesłanymi na Konkurs. W wyniku dyskusji postanowiono przyznać: I nagrodę w wysokości funtów 150 pracy pt. „Ziemia pojona gniewem", godło „Zawrat" — autorka *Stefania Zahorska;* II nagrodę w wysokości funtów 100 pracy pt. „Szkice Mickiewiczowskie", godło „Konstancja" — autorka *Maria Czapska;* III nagrodę w wysokości funtów 60 pracy pt. „Wiecznie męskie", godło „Znany żołnierz" — autor *Juliusz Sakowski.*

Ponadto Jury postanowiło wyróżnić w następującej kolejności prace:

1. „Pieśń" — godło „Isztar", autor Jerzy Niemojowski,
2. „Chleb moich braci" — g. „Bellatrix", autor Bolesław Pomian Piątkowski,
3. „Wiersze zebrane" — g. „Sindbad", autor Mieczysław Lurczyński,
4. „Naokoło świata" — g. „Sindbad", autor Stefan Łegeżyński,
5. „Nieśmiertelne cienie" — g. „Moriar nec moriar", aut. J.A. Teslar,
6. „Poezje i wiersze" — g. „Goplana", autor Józef Jenne,
7. „Tamta ziemia" — g. „Wanda Jolanta", autor Andrzej Chciuk,
8. „Małgosia" — g. „Zygzak", autor Jadwiga Pomorska.

Ogłaszając wyniki Konkursu Zarząd Związku Pisarzy uważa za swój obowiązek raz jeszcze podziękować Polakom zamieszkałym w Wenezueli za ich szlachetną inicjatywę i ofiarność.

Nadesłane nowości wydawnicze

DOŁĘGA-MODRZEWSKI (Stanisław). *Polskie państwo podziemne*. Str. 95. (White Eagle Press Ltd, London, 1959. Skład Główny: Zw. Żołnierzy Armii Krajowej, 46, Eardley Crescent, London, S.W.5. Cena 5 sh. plus 6d za przesyłkę pocztową).

PANKOWSKI (Marian). *Matuga idzie*. Przygody. Str. 228. Frontispis namalował Jef Verbrak.(Nakładem Autora. Do nabycia wyłącznie drogą subskrypcji. Bruksela, 1959).

GUL (Roman). *Azef*. Istoriczeskij roman. Str. 320. (Wyd. „Most", New York, 1959, cena dol. 3.50).

PODOSKI (Wiktor). *Młodzież a My*. Str. 60. (Wyd. w Ottawie, Kanada, 1959, cena 75 c.).

POLIAKOV (Léon) WULF Joseph. *Das Dritte Reich und seine Denker. Dokumente*. Str. 560 z indeksem nazwisk. (Wyd. Arami Verlag — GMBH, Berlin-Grunewald, 1959).

WIENIEWSKI (Ignacy). *Prawda i uluda historyczna w „Irydionie"*. Str. 10. Odbitka z książki zbiorowej „Krasiński Żywy", wydanej staraniem Zw. Pisarzy Polskich na Obczyźnie. B. Świderski, Londyn, 1959).

BRAHMER (Mieczysław). *La Biblioteca dei Pinocci*. Un episodio nella storia degli Italiani in Polonia. Str. 13. (Zeszyt 2, odczyt z 18 października 1957 w Bibliotece Akademii Polskiej w Rzymie. Wyd. Angelo Signorelli Editore, Roma).

Hans Koch zum Gedenken. Str. 32. (Sonderdruck aus Jahrbuecher fuer Geschichte Osteuropas Band 7, Heft 2, Muenchen, 1959).

MICHALSKI (Stanisław) i WARNIA (S.J.Z.). *Mord kapturowy*. Ballada bohaterska. Str. 52. (Nakładem Zrzeszenia Poetów Prześladowanych im. Borysa Pasternaka, Montreal, 1959).

ŻÓŁKIEWSKI (Stanisław Hetman). *Expedition to Moscow*. A Memoir. Translated from the original Polish. Introduction and Notes by Jędrzej Giertych. Preface by Robert Bruce Lockhart, K.C.M.G. Str. 167. (Edited by Jędrzej Giertych. Polonica Series Nº 1, Polonica Publications, London, 1959, cena 18/6).

KOT (Stanisław). *Rozmowy z Kremlem*. Str. 336. (Nakładem autora, Londyn, 1959. Skład Główny „Jutro Polski", 69, Edith Grove, London, S.W. 10).

SHNEIDERMAN (S.L.). *The Warsaw Heresy*. A startling story of communist unrest. Str. 253. (Ed. Horizon Press, New York, 1959, cena dol. 4,95).

WITTLIN (Joseph). *Poe in the Bronx*. Str. 12. Tłum. na jęz. angielski Rulka Langner. (Odbitka z „The Polish Review, Vol. IV, Nº 1-2, 1959, New York).

BILIŃSKI (Bronisław). *Accio ed i Gracchi*. Contributo alla storia della plebe et della tragedia romana. Str. 52. (Zeszyt 3, odczyt 5 grudnia 1957 w Bibliotece Polskiej w Rzymie. Wyd. Angelo Signorelli Editore, Roma).

UCRAINICA

TIS (Jurij). *Konotop*. Opowidania. Str. 172. (Nakł. Wydawnyctwa „Homin Ukrainy", Toronto, 1959).

JANIW (Wołodymyr). *Zawdania i Dijalnist U.H.R*. Str. 128. (Paryż, Muenchen, Hottingham ,Brussel, 1959).

KURYLAS (Bohdan, R.R.P.P.) et BOSSCHAERT (C.S.S.R.). *Lettres sur l'Ukraine*. T. I. Str. 152. (Ed. Service de Presse Catholique Ukrainiènne en Europe Occidentale, Paris-Bruxelles, 1959.

KURYLAS (Bohdan, R.R.P.P.) et BOSSCHAERT (C.S.S.R.). *Lettres sur l'Ukraine*. T. II. Souvenirs des Missionnaires Belges et Ukrainiens, de la Congrégation de Très Saint Rédempteur sur l'Ukraine (les années 1900-1953). Str. 136. (Ed. Service de Presse Catholique Ukrainienne en Europe Occidentale, Mons (Belgique), 1953).

KURYLAS (Bohdan, R.R.P.P.) et BOSSCHAERT (C.S.S.R.). *Lettres sur l'Ukraine*. T. III. à l'honneur du Jubilé du Cinquantenaire de la Branche Ukrainiènne CSSR au Canada (1906-1956). Str. 104. (Ed. du Service de Presse Catholique Ukrainiènne en Europe Occidante, Mons (Belgique, Paris, 1956).

WOROPAJ (Ołeksa). *Zwiczaji naszoho narodu*. T.I. Str. 449. (Wydawnyctwo Ukrańskie, Muenchen 1958).

POPOWYCZ (Damascène). *L'Eglise Catholique en Ukraine Occidentale*. Traduit de l'ukrainien par H. Collet. Str. 48. (Ed. Service de Presse Catholique Ukrainiènne en Europe Occidentale, Mons, Belgique).

SHANDRUK (Pavlo, Lt. General). *Arms of Valor*. Przedmowa prof. Romana Smal-Stockiego. Tłum. Roman Oleśnicki. Str. 320 z indeksem nazwisk. (Wyd. Robert Speller & Sons Publishers, Inc., New York, 1959, cena dol. 6).

KOSTETZKY (Eaghor G.). *Shakespeares Werk in der Ukraine*. Str. 216-224. (Sonderdruck aus dem „Shakespeare-Jahrbuch" herausgegeben im Auftrage der Deutschen Shakespeare-Gesellschaft, Band 95/1959).

Ukr. Nacionalna Jednist u Franciji: 10 rokiw praci. Str. 54. (Wyd. Nacjonalistyczne Wydawnyctwo w Europi, Paryż, 1959).

Pamiati Peremyskoho Władyki Josefata Kocyłowskoho. Spomyn. Str. 47. (Wyd. „Chrystyjanskyj Hołos", Muenchen, 1956).

Listy do Redakcji

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

Tygodnik ,,Polityka" ogłosił w nrze z 3. X.1959 artykuł pt.: ,,Wolna Europa", zawierający fałszywe informacje o Kongresie Wolności Kultury.

Napisałem do naczelnego redaktora ,,Polityki" list ze sprostowaniem, z którego ,,Polityka" ogłosiła w nrze 45 zaledwie dwa zdania, wyjęte z kontekstu. Pragnąc aby opinia polska w drobnej przynajmniej części zapoznała się z prawdziwą działalnością Kongresu, zdeformowaną przez ,,Politykę", pozwalam sobie przesłać Panu kopię mego listu do redaktora ,,Polityki" z prośbą o łaskawe zamieszczenie w ,,Kulturze".

Proszę Pana Redaktora o przyjęcie wyrazów przyjaznego szacunku.

Nicolas NABOKOV

Paryż, 21.X.1959

Pan M.F. Rakowski, redaktor naczelny ,,Polityki"
Al. Jerozolimskie 37, Warszawa

Szanowny Panie Redaktorze,

Zwrócono moją uwagę na artykuł pt.: ,,Wolna Europa", podpisany inicjałami D.P. w nrze 40 (135) ,,Polityki" z 3 października 1959. Artykuł ten zawiera fałszywe informacje, dotyczące Kongresu Wolności Kultury.

Jako sekretarz generalny Kongresu proszę Pana o zamieszczanie niniejszego sprostowania:

Kongres Wolności Kultury nie był nigdy związany politycznie, organizacyjnie czy finansowo z ,,Komitetem Narodowym Wolnej Europy" ani z żadnym z jego wydziałów.

Kongres Wolności Kultury jest międzynarodowym, niezależnym zrzeszeniem uczonych, pisarzy i artystów, założonym w roku 1950, w celu obrony wolności intelektualnych przed wszystkim co może zagrażać twórczemu i krytycznemu umysłowi człowieka. Dwadzieścia pięć komitetów narodowych i centrów regionalnych jest dziś związanych z Kongresem. Prezesami honorowymi Kongresu są, po śmierci dwóch spośród nich: Benedetta Croce i Johna Dewey'a: Karl Jaspers, Salvador de Madariaga, Jacques Maritain, Jayaprakash Narayan, Reinhold Niebuhr i Theodor Heuss.

Działalność Kongresu — jego seminaria, miesięczniki, festiwale muzyki i wystawy sztuki — ma na celu zgromadzenie szerokiej międzynarodowej społeczności intelektualistów, ułatwienie rozwoju kultury w warunkach wolności i stworzenie płaszczyzny, na której mogą być rozpatrywane wielkie problemy naszego czasu. Działalność ta jest kierowana przez Komitet Wykonawczy, którego prezesem jest Denis de Rougemont, a w którego skład wchodzą: Raymond Aron, Carlo Schmid, Ignazio Silone, Stephen Spender.

Działalność ta została nam umożliwiona przez publiczne dary, które Kongres Wolności Kultury otrzymywał i otrzymuje od prywatnych fundacji amerykańskich i europejskich, a w szczególności od Fundacji Forda i Fundacji Rockefellera.

Kilka nazwisk przyjaciół Kongresu którzy stale uczestniczą w jego działalności, więcej powie czytelnikowi ,,Polityki'' o jego obliczu, niżby to mógł zrobić mój list.

Niemcy: Max Brauer, Willy Brandt, Rudolf Hagelstange, Rudolf Pechel i Bruno Snell.

Wielka Brytania: Colin Clark, C.A.R. Crosland, R.H.S. Crossman, Hugh Gaitskell i Herbert Read.

Stany Zjednoczone: George F. Kennan, Kenneth Galbraith, Robert Oppenheimer i Arthur Schlesinger, jr.

Między uczestnikami jugosłowiańskimi maszych seminariów: Aszer Deleon, Branko Horwat.

Prawdą jest że Kongres Wolności Kultury często podnosił głos przeciwko stosowaniu pewnych metod w krajach komunistycznych, zanim jeszcze te metody zostały tak silnie napiętnowane w Polsce. Ale Kongres Wolności Kultury nie stoi bynajmniej *a priori* po stronie takiego czy innego systemu gospodarczego czy politycznego, a jedynie po stronie autonomii kultury i wolności słowa. Kongres protestuje wszędzie przeciw totalitarnemu terrorowi, przeciw zastraszaniu umysłów, przeciw wszelkiej społecznej dyskryminacji, gdziekolwiek by się one przejawiały. Brak nam miejsca na wyliczenie wszystkich posunięć Kongresu i jego komitetów narodowych w tej dziedzinie. Kierowaliśmy je przeciw dyktaturze Franca w Hiszpanii, Batisty na Kubie, Perona w Argentynie, i przeciw innym dyktaturom. W Niemczech Kongres interweniował przeciw wszelkim przejawom działalności neo-nazistów; we Włoszech przeciw wszelkiej infiltracji neo-faszystowskiej w życiu publicznym, przeciw cenzurze rządowej, w obronie Danila Dolci i jego ruchu; w Stanach Zjednoczonych przeciw kampanii zastraszania, którą prowadził MacCarthy; w Afryce Południowej przeciw wyrokowi godzącemu w pana Ronalda Segal, redaktora liberalnego miesięcznika ,,Africa South'', wydanemu przez rząd południowo-afrykański pod śmiesznym pretekstem ,,Aktu o walce z komunizmem''.

Jeśli chodzi o szczegóły, chciałbym zaznaczyć, że p. Michael Josselson nie ,,kieruje'' Kongresem, ale jest sekretarzem jego Komitetu Wykonaw-

czego; że p. J. Mieroszewski nigdy nie przystąpił do naszego zrzeszenia; że Kongres nie subwencjonuje miesięcznika ,,Kultura".

Proszę Pana Redaktora o przyjęcie wyrazów należnego poważania.

Nicolas NABOKOV
Sekretarz Generalny
Kongresu Wolności Kultury

◆

Londyn, 10 listopada, 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałem niedawno ,,Wspomnienia kowieńskie" płk. dypl. Leona Mitkiewicza-Żółtko, ogłoszone w nr. 141-42 Pańskiej ,,Kultury".

Byłem — stwierdzam to szczerze — przyjemnie zaskoczony barwną ekspozycją tego co zaobserwował nasz pierwszy a zarazem ostatni attaché wojskowy w Kownie. Jeszcze bardziej — trafnością charakterystyki wyższych oficerów litewskich. Większość wymienionych przez płk. Mitkiewicza poznałem jeszcze przed ,,ultimatum", zawdzięczając to uprzejmości mych kolegów kowieńskich. Nie byłbym reporterem, gdybym się nie pochwalił, że jeden z nich jest dzisiaj w Litewskiej SSR lokalnym odpowiednikiem... Woroszyłowa.

Ale, do rzeczy. Min. Franciszek Charwat, Poseł R.P., ani za swych czasów ,,ryskich", ani — tym bardziej — ,,kowieńskich", nie wykazywał wobec mnie (podobnie zresztą jak i wobec mego poprzednika na stanowisku korespondenta ATE z krajów Bałtyckich — Józefa Radzimińskiego) nadmiernej życzliwości. To na pewno nie. Mimo to, ani rusz nie potrafię zgodzić się z tym fragmentem wspomnień płk. Mitkiewicza, w którym opowiadając tak uroczo dowcipnie o galowym obiedzie wydanym przez min. Charwata w kowieńskim Metropolisie w dn. 3 maja 1938 r., autor wkłada w usta Posła R.P. toast : ,,*Obyśmy my, Poselstwo Rzeczypospolitej w Litwie, stali się tutaj jak najrychlej województwem kowieńskim*".

Wydaje mi się, że znałem nieco min. Charwata. Był to człowiek osobliwy, o dość specjalnej mentalności, która na pewno nie jednała mu przyjaciół. Z tym wszystkim, był to człowiek mądry. Najważniejszą, bo... życiową mądrością. Wierzę, że mógł z podobną, bardzo w stylu epoki, deklaracją wystąpić ewentualnie w prywatnej rozmowie z płk. Mitkiewiczem. Nie wyobrażam sobie natomiast aby wygłosił ją publicznie. I to w litewskim, państwowym Metropolisie. Jestem niemalże pewien, iż w tym konkretnym wypadku Autorowi wspomnień kowieńskich bodajże pamięć nie dopisała.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, życzliwe pozdrowienia.

Włodzimierz V. POPŁAWSKI

Londyn, 3 listopad 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Po przeczytaniu w „Kulturze" z października 59 r. artykułu gen. W. Stachiewicza, czytelnicy przekonali się o doskonałej pamięci lub bogactwie notatek Autora, podaje on bowiem nie tylko daty, ale nawet godziny zdarzeń.

Wobec tego nikt nie ośmieli się wątpić że wkrótce gen. Stachiewicz opowie równie szczegółowo o losach pożyczki lotniczej. Każdy, kto stykał się z centralnymi władzami wojskowymi w przedwojennej Polsce, wie że właśnie Szef Sztabu Głównego administrował budżetem mob. i budżetem rezerwy zaopatrzenia. Tylko gen. Stachiewicz wydawał szczegółowe zezwolenia na każde angażowanie kredytów tego typu. Realizował pożyczkę Minister Skarbu, dysponować pożyczką mógł tylko Szef Sztabu Głównego.

Pożyczka lotnicza subskrybowana była przez naród na dozbrojenie lotnicze Polski i tylko na ten cel. Grube tomy dzieła pt. „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej" nie wymawiają nawet słów „pożyczka lotnicza". Widocznie to temat zarezerwowany dla byłego Szefa Sztabu Głównego. Słusznie. Autorytatywne sprawozdanie należy się wszystkim Polakom.

Ta prosta sprawa staje się sprawą skomplikowaną, jeśli się o niej milczy przez 20 lat.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

L. RAYSKI

•

Londyn, 5 listopada 1959 r.

W liście do redakcji („Kultura" nr 145) pan Adam Czerniawski poddaje krótkiej, ale dewastującej krytyce tygodnik „Wiadomości", tudzież jego czytelników. Jak na jeden, niewielki rozmiarami liścik zasięg niebagatelny.

Będąc tylko poetą, a nie krytykiem literackim (pan Czerniawski uprawia podobno oba te, źle się z sobą zazwyczaj żeniące rodzaje) i licząc sobie lat zaledwie 40, nie czuję się na siłach, by podnieść tę, rzuconą i pod moje nogi rękawicę (jestem czytelnikiem „Wiadomości").

Ponieważ jednak list pana Czerniawskiego sprowokowałem ja, nieopatrznie igrając z jego mistrzem Gombrowiczem, gdy ten poigrał w swoim *Dzienniku* z Grydzewskim i „Wiadomościami" (igraszki, drogi panie Adamie, a nie „ciężkie zarzuty" — na floret nie odpowiada się maczugą) i ponieważ z listu pana Czerniawskiego czytelnik ma prawo wnioskować, że stanowisko moje jest niejako stanowiskiem oficjalnym, że otrzymałem sacrę, że występuję „w imieniu", uważam za konieczne sprostować to nieporozumienie:

W zakonie opata Grydzewskiego (jeśli taki zakon istnieje) nie jestem jednym z ojców. Ślubów nie składałem, regułę znam po łebkach. Urodzony z ojca Endeka, w okresie 20-lecia o „Wiadomościach" wiedziałem tyle, ile karmelitanka bosa wie o pryncypalnym grzechu miasta Sodomy. Dziś oczywiście wiem więcej od karmelitanki, ale grubo chyba mniej od p. Czerniawskiego, gdyż nie wątpię, że jego atak na „Wiadomości" i ich czytelników bazowany jest na głębokiej i rozległej znajomości pisma

przeprowadzony po solidnym przestudiowaniu umysłowego stanu posiadania kilku tysięcy „czynnych" inteligentów, którzy ten emigracyjny tygodnik czytają.

Jestem poetą i piszę wiersze, z których część (te które mu się podobają) Grydzewski drukuje. I to niestety wszystko.

Kończąc pragnę jeszcze wyjaśnić namarszczonemu groźnie i pryncypialnie koledze (mam chyba prawo tak Pana nazywać) Czerniawskiemu, że Reymont pisze się przez „Y" a nie przez „J", a Rostworowski zawsze przez „S". Dramaturg Karol Hubert także.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

Jan ROSTWOROWSKI
Paryż, 12 listopada 1959



OŚWIADCZENIE STOWARZYSZENIA LOTNIKÓW POLSKICH

W związku z ukazaniem się II tomu wydawnictwa „Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej" (1) Stowarzyszenie Lotników Polskich — jedyna ogólna organizacja lotnicza, reprezentująca większość lotników, którzy brali czynny udział w działaniach Polskich Sił Powietrznych w II-ej wojnie światowej — poczuwa się do obowiązku powiadomienia społeczeństwa polskiego o swoim stosunku do tego wydawnictwa.

Stowarzyszenie Lotników Polskich, ani jego członkowie nie brali żadnego udziału w opracowaniu powyższego wydawnictwa, a współpraca ofiarowana Komisji Historycznej nie została przyjęta. Nie zostały również uwzględnione zasadnicze uwagi Stowarzyszenia, przedstawione Komisji Historycznej przed ukazaniem się wydawnictwa.

Wobec powyższego naczelne władze Stowarzyszenia (Rada i Walne Zebranie S.L.P.) z przykrością powzięły uchwałę, stwierdzając, że:

„Część dotycząca Lotnictwa Polskiego w opracowaniu Komisji historyczno-wojskowej, w ramach wydawnictwa „Polskie Siły Zbrojne w II wojnie światowej" nie jest historycznie obiektywna i nie odzwierciadla w sposób właściwy życia, prac i walk Polskich Sił Powietrznych".

Ten krytyczny stosunek do wydawnictwa, którego potrzebę i znaczenie historyczne Stowarzyszenie w pełni docenia, jest oparty na następujących przesłankach:

1) Materiały do wydawnictwa „Polskie Siły Zbrojne w II wojnie światowej" były zbierane w czasie i po zakończeniu działań wojennych przez oddzielne Komisje Historyczne poszczególnych Sił, wchodzących w skład Polskich Sił Zbrojnych. Jeszcze przed rozpoczęciem prac zostało ustalone pomiędzy przedstawicielem Polskich Sił Powietrznych (płk. obs. O. Tuskiewiczem) i przewodniczącym Komisji Historycznej M.O.N., że historia lotnictwa zostanie opracowana jako oddzielny tom, bez ograniczenia z góry objętości i bez narzucenia układu i podziału na okresy, przyjęte dla działalności Sił Lądowych. Polskie Siły Powietrzne uważały powyższe postulaty za zasadnicze, dla przedstawienia prawdziwego obrazu samoistnej działalności Sił Powietrznych.

---

(1) *Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej.* Tom II. Kampanie na obczyźnie. Część I-a. Nakładem Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego, Londyn 1959.

Komisja historyczna, odpowiedzialna za obecne wydawnictwo, nie dotrzymała powyższego porozumienia.

2) W wyniku nieuwzględnienia powyższych postulatów powstały w II tomie historycznie nieuzasadnione dysproporcje pomiędzy ilością materiału poświęconego Siłom Lądowym, a Siłom Powietrznym. Po kampanii francuskiej Siły Lądowe przechodziły długi okres reorganizacji i przygotowań do przyszłych akcji, podczas gdy Siły Powietrzne bezpośrednio po działaniach bojowych w kampanii francuskiej, wzięły intensywny udział w Bitwie o W. Brytanię i w okresie tzw. ofensywy powietrznej na Francję.

3) Jaskrawe dysproporcje zaistniały również wewnątrz materiału dotyczącego lotnictwa, w którym około 3/4 treści poświęcono opisowi tła i warunków pracy, kosztem zobrazowania samych walk i osiągnięć Polskich Sił Powietrznych. Po przytoczeniu tekstów umów lotniczych i protokółów oraz przedstawieniu ogólnego położenia, po obszernym omówieniu organizacji i rozwoju lotnictwa francuskiego i brytyjskiego i po opisaniu przebiegu organizowania się jednostek polskich, łacznie z drobiazgowym uwzględnieniem nieporozumień wewnętrzno-polskich i polsko-brytyjskich, istotna działalność Polskich Sił Powietrznych, z braku miejsca, została ograniczona niemal do przedstawienia przykładów i podania nielicznych zestawień. W takim świetle doniosłość osiągnięć i wysiłku tak personelu latającego, jak i technicznego niezmiernie zmalała. A przecież jeśli chodzi o Bitwę o Wielką Brytanię, zaliczoną do rzedu decydujących bitew świata, to słynne powiedzenie Churchill'a, że ,,Nigdy w historii ludzkich zmagań tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak nielicznym" — odnosi się również i do lotników polskich. Wśród tej garstki ,,nielicznych" co 7-my pilot był Polakiem.

4) Jakkolwiek w przedmowie do drugiego tomu Redakcja podkreśla, że celem jej jest podanie tylko bezspornie stwierdzonych faktów przy wstrzymaniu się od oceny wypadków i osób, to jednak w częściach dotyczących lotnictwa poświęcono wiele miejsca ocenom i opiniom, które często są wyrazem osobistych zapatrywań autora, a jednocześnie pominięto bardzo istotne zagadnienia lotnicze w zakresie działalności bojowej, technicznej, wyszkolenia itd., tworząc w ten sposób niedokładny i nieprawdziwy obraz wysiłku Polskich Sił Powietrznych.

5) Materiały zebrane przez Lotniczą Komisję Historyczną bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych nie mogły być ze zrozumiałych powodów kompletne. Źródła udostępnione od tego czasu i materiały będące w posiadaniu organizacji czy indywidualnych osób, wydaje się, że nie zostały wykorzystane przez autora części lotniczej. Ograniczył się on w dużej mierze do zrobienia wyciągów z opracowania przygotowanego przez Lotniczą Komisję Historyczną, opuszczając często sprawy istotne.

Współpraca z szerszym gronem lotników bez wątpienia pomogłaby autorowi do wzbogacenia treści i do uniknięcia niedokładności i błędów.



Osiągnięcia polskiego lotnictwa są dobrze znane społeczeństwu polskiemu. W stanowisku Stowarzyszenia nie należy dopatrywać się chęci gloryfikowania omawianych wydarzeń. Stowarzyszeniu Lotników Polskich chodzi tylko i wyłącznie o prawdę historyczną w wydawnictwie, która powinno być oficjalnym raportem złożonym przez Polskie Siły Zbrojne na obczyźnie — Narodowi Polskiemu.

Stowarzyszenie Lotników Polskich

SPROSTOWANIE

Do artykułu Z. Jordana „Kongres Socjologów w Stresie", zamieszczonego w nrze 10/45 *Kultury* wkradła się pomyłka. Na str. 133 ostatni paragraf od dołu winien brzmieć:

„W części teoretycznej punktem wyjścia było spostrzeżenie, iż planowania, ogólnej — racjonalnej kontroli społecznej, można analizować ograniczając się do celów i ich osiągnięć, tzn. do zamierzonych wyników planu. Wiele składa się na to przyczyn. Po pierwsze, zależność zamierzonych wyników planowania od wzorów lub przeważającego wzoru zachowania społecznego. Po wtóre, zależność techniki i wyników planowania od typu porządku społecznego. Po trzecie, zależność wyników planowania od niezamierzonych następstw tych środków, jakie zostały dobrane dla urzeczywistnienia planowanych celów".

"KULTURA" – QUARTERLY DIGEST

POLITICAL PROBLEMS

Kultura Nr. 7/141-8/142

Will Germans return to the East?

J. Mieroszewski in his monthly article considers the possibility o Germany's return to the East. As a result of the Second World Wa the notorious ,,Drang nad Osten" has been thrown back into the positio from which it started ten centuries ago.

The article's final conclusions are as follows:

,,...German revisionism in its present form is not only nonsensica but also quite harmful. Revisionist plans could be realised only if German won another war. If, however, the Germans relinquish the idea of usin force, they do in fact relinquish their territorial clams. On the other hand when they press those claims, even theoretically, they only succeed i fostering the bitter hatred of Germany which is still very much alive i Poland, and provide the Communists with a priceless argument in the policy of alliance with Russia. There is something false in the contemporar revisionist movement in Germany. I cannot help feeling that the Germa people have changed more thoroughly than most of the ,,Ost Institute' experts would be willing to admit. Revisionism is a form of propagand originated and distributed by the few on top and receiving only a lukewarm reception in the masses of West German population.

Is there a chance for the Germans to return East if war is to b excluded? The reconstruction of Germany's position vis a vis the Eas European countries would have to begin with a complete re-orientatio of German policy. Armed, atomic Germany has no chance whatever o destroying the thick wall of distrust and suspicion which stands betwee her and the rest of Eastern Europe. Such a Germany stands no chanc of changing anything in the present political system in Eastern Europe Should Germany however adopt a neutral position she might be able t loosen the Iron Courtain. One might also speculate on the possibility tha Russia might be willing to agree to the inclusion of Poland, Czechoslovaki and Hungary into the neutral zone in exchange for demilitarization o Germany. It is my conviction that if such a political structure could b established in Europe — in 10 or 15 years time we would have new an perfect neighbourly relations within the neutral zone. That new arrangeme would naturally, and automatically dissolve the complex of distrust an hatred of Germany.

Prussia, Junkers, and Prusso Silezian spring-board for agression wi exist no more. Military conception of German policy has lost for ever i foundations. After ten centuries of ,,Iron and blood" the Germans hav been thrown back to where they started from. It would be madness on the part if they should try to repeat their Eastern mistakes again.

There is a big future for Germany in Europe provided that the understand the lesson taught them by History. Neutralised frontiers

Eastern Europe will not bar neutral, demilitarized neighbourly Germans. There is no other way which would lead Germany back to the East.

Polish-German ,,Real-Politik"

From an article by ,,Londoner" come the following characteristic extractions:

,,...We must admit that in the most favourable period-that is, before the 20-th Congress of Soviet Communist Party — the emigrés have failed to turn the universal, although passive, anti-Communist feelings into an ideological movement which would form a background for active policy of liberation. That programme failed even on a much smaller scale. Anti-Communist solidarity was not even strong enough to unite emigrés anti-Communists — Ukrainians, Poles, Czechoslovakians and Hungarians — because our anti-Communists are very much against any form of anti-Communist ,,internationalism". On the contrary — they treat anti-Communism as an additional feature of nationalism and chauvinism. As far as I know, only *Kultura* attempted to try to bring closer the Polish and Ukrainian points of view on the question of Lwów. But that was an exceptional and very much isolated initiative.

The majority of Polish anti-Communists demand that Germany should give up Wrocław forever — and at the same time, they refuse the Ukrainians the right to any claims as regards Lwów. In that particular brand of anti-Communism which we have produced in our emigré world — anti-Communism and nationalism have become one and the same thing.

Khrushchev was quick to notice the danger which threatened world Communism from the outbreak of national Communisms. We have neither noticed nor understood that danger and, as a result of that, there is no international anti-Communist movement. There are only isolated national anti-Communist groups whose political importance is exactly nil.

In some of my previous articles I have been considering the question of why there was no open pro-German orientation in exile. One should have thought that anti-Communist Polish emigration would have no difficulties in finding a common language with the representatives of Bonn — one of the most anti-Communist governments in the world. In reality however, there is not one politician, not one group or institution in the whole of Germany which could and would foster Polish pro-German feelings, if such existed. The reason why there are no pro-Germans amongst us is because they would have to be Polish Quislings. German conditions offered to Poland are similar to those stated by Soviet Russia. They demand the return of one third of Polish territory and they would like a friendly government in Warsaw. When we compare the ,,General Gouvernement" of Hitler's time with the People's Poland of today, we must admit that the satellite state of the Russian type is easier to bear and leaves a bigger margin of personal freedom.

Personally, I see no reason why the anti-Communist programme should mean the return to the status of a big power with pre-war frontiers for the Germans and for the Poles it should mean a loss of one third of

their territory. In my private and personal opinion — it would be much better if Gomułka continued to rule Poland for the next twenty years than for us to pay for „liberation" with the loss of Gdańsk, Szczecin, Silesia and the recovered territories. Those who maintain that freedom is more important than frontiers, should be told that freedom cannot be of much use to people who have been robbed of all means to a reasonable life and free development.

Recognition of the Oder-Nysse frontier by the Bonn Government would have an immediate influence on Polish-Soviet relations. The Soviet guarantee and protection would cease to be a vital necessity. There would be no political differences between Poland and the West and a way towards a peaceful change of situation in the Middle and East European Zone would be opened. These changes would not follow immediately but they would certainly come. Nobody realizes that better than the Communists.

The majority of Polish Communists are, in the first place, Poles and nobody can tell me otherwise. On this point I am in agreement with an opinion expressed by Stalin: „Once a Pole — always a Pole" But this is only one side of the question. The other side is the position of the Communist Party as the ruling class. The Communists, as Poles, would like to have all the guarantees of the Oder-Nysse frontier that they could get. As Communist, however, they would not like it if these guarantees did anything to lessen the position of the Party. And that is why every initiative which aims at the improvement of Polish-German relations worries them quite openly. They are obviously frightened of losing a position which permits the identification of Party interests with basic national postulates. On the question of the Oder-Nysse frontier, we have General Anders and Mr. Gomułka as well as Mr. Cyrankiewicz and Mr. August Zaleski in harmonious agreement. If the Bonn Government recognized that frontier this extraordinary national front would collapse the same day, and matters would go back to more natural proportions.

From the international point of view the question of the Oder-Nysse frontier has already been lost for Germany. The Bonn Government refuses to recognise this fact for internal polital reasons. For the sake of prestige, the Germans dismiss an initiative which could mark the beginning of a new era in post-war Europe.

If that recognition came today it could mean an opening of a new chapter in German Eastern policy. It would be a spontaneous act of German good will. In a year's time the same act will be no more than a passive acceptance of an accomplished fact, legalized by the decision of the big powers.

Kultura Nr. 11/145

In the trap of co-existence

Political essayist of *Kultura* presents a theory that there is a basic contradiction between the Communist doctrine and the policy of peaceful co-existence. Here are some extracts from the final part of his article:

„Personally I am inclined to believe that even Krushchev must feel, sometimes, that history in the making departs more and more from the letter of classical Marxist-Leninist textbooks. From the moment when it became clear that neither English nor American working classes were going to accept Communism — victorious war remained as the last and only hope for world revolution.

Dismissing war as a tool of revolution, the Communists dismiss revolution itself, on a world-wide scale, and accept the permanent co-existence of different social and political systems. All recently popular slogans, refering to peaceful evolution towards Communism through peaceful and friendly co-existence with Capitalism, must sound heretical to a true Communist. Classics of Marxism have never said anything about evolution although they said plenty about revolution. Neither Marx nor Lenin has ever said a word about permanent peaceful co-existence with Capitalism.

Communism lives and dies by its universal character. As soon, however, as it becomes obvious that it might be easier to land on the moon than to destroy capitalism in the biggest industrial centres of the world — peaceful co-existence will, in fact, mean doctrinal capitulation and a tolerant acceptance of various ways of living.

Communist revolutionaries will always loathe to draw the obvious conclusion from obvious facts. Krushchev, to his dying day, will try to convince Americans that Communism will catch up with their grandchildren.

Facts, however, speak for themselves. Co-existence in its further stages of development will make the universal ideology of Communism obsolete. Communism will cease to exist as an ideology and at best will evolve into a social and economical system — one of many.

The fathers and founders of Marxism-Leninism devising the rigid laws which were to govern the historical process had not foreseen our atomic times. Newtonian mechanism of social and economic life fails to operate in the atomic era. Historical process as it appeared to Marx, was controlled by periodical wars, and wars in their turn served as big opportunities for revolution. According to Lenin — imperialism was the last stage of capitalism, and imperialistic wars the inevitable consequence of the capitalist system. That simple scheme (which took, however, thousands of volumes to explain and to theorise upon) becomes obsolete today. For today one must choose. One must either declare that the marxist theory of historical process is true — and in logical consequence accept atomic war — or, one must admit that in our atomic times war has ceased to be instrument of politics leading towards revolution. But if we accept that second view, we must consequently add that if we remove war from the picture of our times we shall no longer be able to use the marxist method of historical analysis. Because the Marxist set of rules can no longer apply in our changed world.

Undoubtedly, the world without wars will differ vastly from the one which erupted into wars at 20 years intervals. Removal of war as a history-making element will certainly give the historical process a new shape. In that new shape, new sets of rules will crystallize in time, rules which Marx could not have forseen or perceived.

As long as Marxists will refuse to draw logical conclusions from those facts, they will remain entangled in sad and embarassing contradictions. Mr. Krushchev's series of talks in America can serve as an example of that ideological entanglement.

What I would like to stress, in this article, is the opinion that co-existence and the preservation of peace will, in the long range, have a bigger formative influence on the Communist world than on the Western democracies. America could enter the war-less epoch with all her traditional heritage, but Russia could not do so. And that is why peaceful reconstruction and revision of Communism will take a long time to complete. And before its completion we can expect the possibility of many surprising movements on the part of Moscow. One should also remember that the ideological universalism of Communism is not only a mainspring of their agressive foreign policy but it is also a source of their internal dynamical growth. Can you imagine Krushchev telling his Soviet people: ,,there will be no more wars, no world revolution, Communism will not make its universal mythical vision come true, not ever'' ?

In this process of the co-ordination of two systems and two worlds Poland could play an important part. The cliché about a ,,bridge between East and West'' could mean a political programme, provided it was properly understood. In the present situation, Poland could help a great deal in easing the international tension and at the same time her influence on the countries of the Eastern bloc could and should grow.

If, indeed, world wars are to become things of the past, if really East and West should work out a peaceful policy of civilized co-existence, then it could only be possible through the evolution of the entire Eastern bloc on the lines of the Polish pattern. We should exclude from these speculations China because it is a problem of its own. Important changes are already taking place in the Eastern bloc. The main question seems to be two-fold: the full reconstruction of ,,October'' and the general acceptance of the Polish model in all countries of the Soviet bloc.

I repeat: if there is to be no world war — the evolution of Communism is a foreclosed matter. Of all the countries of the Eastern bloc Poland has the greatest possibilities of exerting a decisive and formative influence on the shaping of that evolution. But to make this idea at all feasible or even popular, there would have to be a general change in Poland's internal situation. First of all the grave-diggers who buried Polish ,,October'' will have to go. Let us make ourselves perfectly clear: we are not instigating any activities which would lead to the formation of the so called ,,second stage''. All attempts of this kind would, at the present moment, end in disaster. However, we feel strongly that certain loosening of international tension, which has come into view, must be made use of for the purpose of liberalization of the Polish model. If that liberalization would prove a success, the Polish system might become a guiding pattern for the process of change in the whole of the Eastern bloc.

Millions of poeple, on both sides of the barricade treat co-existence as one more fancy catch-word of our times. We believe that it is possible to obtain co-existence and at the same time, permanent peace — but for a price. And the price seems to be the reconstruction of Communism.

Co-existence with stalinist or neo-stalinist system would not be possible at all. Perspectives of peace grow in proportion to the potentialities of changes within the Communist systems.

Polish „October" which became a legend in the West made us believe that Communism is capable of evolution. But, important as it was, „October" was only an isolated experiment. Now is the time to restore its full value and to give it the character of universal evolutional movement within the Communist world.

That sounds a difficult and ambitious programme — but was our situation ever easy?".

LITERATURE, ART, SOCIAL SCIENCES

Kultura Nr. 7/8, *July-August*, 1959

An article translated from the Czech, *Literature of present day Czechoslovakia* by Jaroslaw Dresler, analyses the relations between the writers and the Party in the period 1956-1959. The Western part of the world knows practically nothing about those involved matters: „Czechoslovakia is like a sick man in whom a doctor upon examining him superficially finds no illness". Yet since the writers' congress of 1956, at which several writers formulated demands of liberalization, a tension persists. The Party offers more freedom to writers in some strictly professional fields as it hopes that purely literary discussions would divert attention from hot political issues. A relative „rehabilitation" of Franz Kafka can be quoted as an example of a basic ambiguity: the Party feels it is advisable to let writers quarrel about some aspects of „difficult" literature less accessible to the large public; on the other hand, writers profit from such a state of things to approach political questions in a veiled way. The atmosphere is, however, far from liberal, hopes of a real exchange with the West are frowned upon. „Fear is, as before, the greatest censor in the C.S.R.". Yet, new anti-dogmatic tendencies among the intellectuals are clearly visible and a return to mass terror as a means to stiffle them does not seem probable.

Andrzej Chciuk (Australia), in a brilliant essay, characterizes Bruno Schulz, once his high school teacher. Bruno Schulz, an eminent Polish vanguard writer and painter, was born in 1892, died, murdered by the Nazis, in 1942. His person was somewhat fabulous, probably because of his books, in which he presented in a fantastic transformation (some critics compare him to Kafka) his native Galician town, Drohobycz. Under the Nazi occupation Schulz was protected for a time by a local Gestapo chief who appreciated his drawings. Another Gestapo man profited from the absence of his superior and shot the writer, just to even the accounts with the chief: „You killed my Jew, so I killed your Jew". Books of Schulz were forbidden in Poland during the stalinist period and branded

as ,,decadent art". Chciuk portrays Schulz as a man of great personal charm, integrity and modesty. Loved by his pupils (he was teaching drawing) he was leading in his small town a quiet existence. One interesting detail, not mentioned by other biographers: a few years before the war Schulz became a Roman-Catholic, not it seems, for any external reasons, since his wife's non-Jewish family was religiously indifferent and had not exerted any pressure.

Witold Gombrowicz (Argentina) in his *Fragments of a Diary* defines his attitude towards a country in which he has been living since 1939. He says: ,,I am a friend of the natural, simple, earthy people's Argentina. I am in war with the higher Argentina, concocted already — and badly concocted". Gombrowicz, ,,enfant terrible" of Polish literature (his books are highly esteemed by the young generation in Poland) directs his sarcastic notes against the Argentinian high life, art, literature and politics. He observes a strange mixture of half-digested European traditions, of snobbery and of a specific Latin-American bathos. This is a key to the understanding of the Argentinian marxists too: ,,The world, outside of concrete things like family, home, friends, a job, is for them arbitrary. It does not present resistence. It does not punish for a mistake, so a mistake is permitted". ,,In conversations they are Sybarites, they prefer what is pleasant to say to what is true".

Józef Łobodowski (Spain) dedicates an article to the poetry of a known Ukrainian poet, Jawhen Małaniuk, living in New York, especially to his new book of poems, *The Last Spring*. Łobodowski is undoubtedly the best specialist among the Poles of Ukrainian literature. His article is competent and concise, illustrated with many poems which, in his translation, read as if they were written originally in Polish.

A passage through the Red Sea is a long short story by Zofia Romanowicz (France). Mrs. Romanowicz is the author of a book on the problem of bi-lingual, Polish-French, children in France, *Baśka and Barbara*, which has appeared in two editions, in Paris and in Poland.

A sociological study on Poles in Great Britain who work in agriculture by Bohdan Czaykowski and Bolesław Sulik (England) constitutes a part of a book in progress dealing with the life of Polish post-war immigrants. The authors belong to the young generation of the Poles who settled on the British island. They came to that country as children yet they write in Polish, in spite of the fact that they went through English schools and universities.

Notes by J. Cz. (Józef Czapski) on contemporary painting are in the form of a dialogue between a painter and his friend who has described in a letter pleasures he has had in Italy, looking again at the old masters: ,,...this is evidently but the result of a long abstract fasting, a joy to see things after the years of a fare consisting in dreams and detached constructions".

An article on the exhibit of Polish painting in Brussels by Rémy Celis, translated from the French, completes the fine arts division in this issue.

In *Literature of anti-values* Jan Brzękowski (France) attempts to establish new laws in modern poetry, especially poetry making use of

formal contradictions between a ,,value" and its opposite, closely connected with that ,,value" (for instance the element of ,,beautiful" and of ,,ugly").

Criticism of books is represented by a few long articles. Zbigniew Jordan reviews Leszek Kołakowski's *Individual and infinity — freedom and the antinomies of freedom in the philosophy of Spinoza*, Warsaw, 1958. T. Toruńczyk comments upon *Notes of a Prague prisoner* by Mordechai Oren, a member of the leftist Israel party ,,Mapam", who spent four and half years in Czechoslovak prisons. An article by Bobkowski has for the subject ,,paciencia de nuestra provincia" i. e. the Latin America (he lives in Guatemala). He uses as a pretext for this article a novel by a Polish author, Michał Choromański, *Prolegomena to all the hermetic sciences*, Warsaw, 1958, as the action of the novel is placed in one of the Latin American countries. *On pornographic-loliterary themes* writes Gustaw Herling-Grudziński who returns, upon the occasion of Wladimir Nabokow's *Lolita*, to a much more joyous sex novel: John Cleland's *Memoirs of Fanny Hill, a woman of pleasure*, a pornographic classic of the XVIIIth c.

Kultura Nr. 9, Semptember 1959

Lights and miseries of exile by Józef Wittlin (USA) is a text of a lecture delivered in English at the Congress of the PEN Clubs in Exile. Wittlin, poet, novelist and translator of *The Odyssey* into Polish, is fully aware of dangers threatening a writer who lives outside his country. Yet he finds in that situation many good sides and expresses the opinion that anonymity, solitude, detachment from internal struggles of a literary milieu and from its gossips can be a source of wisdom. ,,It was not the speaker who was in the beginning, but the Word", he quotes. His deep essay ends by an optimistic note. It does not matter if a writer in exile suffers when people unaware of his work ask him: ,,how do you spell your name?". After all, it is not the direct response which is important but a message that we leave for those who will be able to grasp its meaning.

Our people and the strangers is the first part of a study by Alexander Hertz (USA). The thorny and extremely involved problem of group behavior towards people looked at as ,,strangers" — for instance Jews in Poland — receives here a sociological treatment. In fact, the whole question in Poland has been much more difficult to disentangle than many observers from abroad believed, and not the least because of what is called in America ,,passing" i. e. numerous cases of a blurred limit between ,,jewishness" and ,,non-jewishness". Hertz uses a comparative material — from the history of Poland and from the history of inter-group tensions in the United States.

Witold Gombrowicz in *Fragments of a diary* this time directs his attacks against his critics. He treats with sympathy a young critic who has written in Poland an analysis of one of his plays, but discovers in contemporary Polish criticism many flaws, among others a tendency to read into a work of art profundities which do not exist there. ,,Metaphysics,

yes, but you should start with physics" — he says. ,,Try to grasp a work in its connection with the past, with a more classic literature, since after all every, even the most revolutionary, novelty grows out of old forms to which a reader is accustomed". Vanguard critics in Poland like to make a show of a high sounding terminology full of ,,isms" but rarely are capable of constructing a correct sentence. ,,Magnificent tie, dirty shirt". Gombrowicz does not spare some peculiarities of the way of thinking typical of emigrés either. He indulges in cruel jokes on Polish periodicals of London.

A trip to Portugal by Tadeusz Nowakowski (Germany) deceives by its title. In reality the person who tells the story is a tourist in Portugal in body only, while his memory makes a parallel trip through his native province of East Prussia. Nowakowski comes from mixed, Polish-German, territories where an acute conflict divided the two national groups and the German ,,Drang nach Osten" was particularly strong. The Polish (Mazur) minority was cruelly persecuted (now those territories belong to Poland). The story of Nowakowski, a gifted writer of the younger generation, is a moving diary of an imaginary journey to the land of one's childhood.

Voice of America by W.A. Zbyszewski (England) could be ranged among the political articles of *Kultura*, if not for its literary qualities, a sort of ,,tour de force" in crisp maliciousness of style. This is a severe but objective indictment of American bureaucracy and of errors committed in such agencies as the radio ,,Voice of America". The good principles: ,,same work, same pay", ,,give everybody a chance" and ,,no discrimination on account of race, origin, religion (and passport)" have not been applied and American officials have been creating a chasm between themselves and Europeans (,,locals"). The article should be read by anyone who wants to understand the causes of anti-American feelings in Europe.

An essay by Józef Czapski (France), *A dervish*, was written upon the ocasion of the exhibition of Soutine's paintings in Paris. Czapski sees in Soutine, inspired by Rembrandt and Greco, one of the greatest artists of our century. Another immigrant from Eastern Europe, Chagall, whose exhibit Czapski wisited at the same time, ,,is a poet, an authentic though uneven painter — Soutine was a genius".

Whoever has been acquainted with the Slavonic Division of the New York Public Library will read with pleasure an article by Józef Wittlin in praise of a librarian who worked there for eighteen years, Dr. Alfred Berlstein, now retired. ,,On the second or third day after my coming to New York I went to the Public Library and thanks to Berlstein I felt immediately at home". This was the experience of many Poles.

Kultura Nr. 10, 1959

Czesław Miłosz (France) in *Lagging processes* makes reflexions upon literature in Poland after 1956. Poland has today excellent poetry, highly refined and somewhat similar by its atmosphere to such works of modern art as the films of Ingmar Bergman. In a way, that poetry, through its

historical meditation and a certain salutary brutality, is more interesting than poetry of Western countries. Yet it would be a mistake, as some repentant emigrés are inclined to do, to dismiss literature created in exile as less „avantgarde". Literature in Poland, some poets excepted, bears traces of a serious sickness, it suffers from external as well as internal censorship. Polish literature should be double — in Poland and abroad — and both domains of it should enrich themselves mutually.

In the second part of his article Miłosz establishes a parallel between the works of St. Ign. Witkiewicz — on the one hand, and Aldous Huxley's *The New Brave World*, Zamiatin's *We*, Orwell's 1984, on the other. St. Ign. Witkiewicz is a Polish author whose two books on the future, published in 1927 and 1931, proved to be prophetic. Miłosz also makes a resume of an essay by Jack Jones *To the end of thought* to be found in a little known mimeographed intellectuals' periodical of New York, called simply *newspaper*.

Alexander Hertz's *Our people and the strangers* is the second part of his sociological study on the Jews in Poland.

W.A. Zbyszewski (England) in his souvenirs from the past of *Kultura* — as *Kultura* has been appearing for twelve years it has already a tradition of its own — draws a slightly malicious but admiring picture of the *Lost romantics*, a small group who succeeded, in extremely hard conditions, to create an independent Polish periodical in France. Many enterprises of that sort, often backed by Americans and subsidized, failed, while *Kultura* is still alive and has now a publishing house. This is for him, a partisan of liberal economy, a proof that big bureaucratic machines are unwieldy while individual energy can make miracles. Zbyszewski presents himself as an outsider, „hardly tolerated by the editor". He gives vivid images of post-war France as well as Maisons-Laffitte, a town of the Parisian „banlieue" where the group established themeselves in 1947.

Canadian Poles by Benedykt Heydenkorn (Canada) belongs to the series of articles on life and achievements of Polish immigrants in various parts of the world. A solid documentation and sociological insight change that study into a chapter from the history of Canada after 1945. The post-war Polish immigration to Canada has been less numerous than Dutch, German or Italian. According to the official statistics in the years 1946-1957 hardly 66,756 Poles came to that country. In general their story is that of success. The quickest promotion was achieved by engineers and technicians, many of whom hold high positions today. There is a merging of the old immigration, mostly of the peasant origin, with the „newcomers", considerably urbanized.

Florian Śmieja (England), a young scholar-hispanologist, continues reviewing *New translations from Spanish* into Polish. In this issue he examines what was published in Poland in the years 1956-1958, particularly from old Spanish literature: Bartolomé de las Casas, Francisco de Vitoria, Baltasar Gracian, Pedro de Alarcon. Also new versions of Federico Garcia Lorca's poems.

M. K. Dziewanowski (USA) gives a silhouette of a *Friend of Poland*, American writer William Henry Chamberlin. Chamberlin, the author of *The Evolution of a Conservative*, had spent twelve years in Moscow as a foreign correspondent (being at first an enthusiastic fellow-traveller).

There are few American journalists who could compete with Chamberlin in the knowledge of the Eastern part of Europe — concludes Dziewanowski.

Kultura Nr. 11, November, 1959

On the juvenile delinquency in the USA is a first hand testimony by Danuta Mostwin (USA). The author, a social worker, also includes many details on special training of social workers in America. During two years of studies and three years of practice in social agencies „I had the impression that I was being prepared to enter a convent. If I liked it, it was only because there was no talk about money and business... Americans consider social work as a kind of vocation".

Jézef Czapski (France) in his essay *My London* does not speak about London at all: he tries to describe a „shock of recognition" when one discovers suddenly a palpable secret of painting, which happened to him years ago in the London Tate Gallery before a canvass by Corot. Confessions of a painter who hopes to convey his belief that „no difficulties, no impossibility should be considered as an absolute obstacle as long as we preserve a feeling of necessity to express ourselves in painting" — one day, a moment of revelation, as that before Corot in London, may happen and it repays then for many efforts and struggles. The recompense of the painter is not a result bat work itself — Corot knew that better than anybody else.

Adolf Sowiński (Austria), one of the best translators of German poetry into Polish, publishes several pages of Gottfried Benn's poems, preceeded by an introductory essay. Gottfried Benn today, shortly after his death in 1956, is justly ranked among the greatest European poets of the last few decades, and translations of his works into Polish were long overdue.

The black sand, a three act play by Andrzej Bobkowski (Guatemala) can be looked at from many angles and is curious not only for its literary values. Bobkowski is an enemy of nostalgic poses and he enjoys his Latin America. His tragi-comedy or comic tragedy is based upon human conflicts of characters who are not „exiles", on the contrary, well adapted or being adapted to the new surroundings. The action takes place in a small village on the Pacific coast, in one of the Latin American countries. All the characters — very international — speak Polish — and a good, idiomatic Polish. This is not an invention of the author. After all, the knowledge of Polish is today quite widespread, to mention only Balts, Bielorussians, Ukrainians, Jews (probably the second language in Israel). The figures of the play: Herman Rosenberg, ex-prisoner of Nazi camps where he was tortured as a Jew (yet his white man's superiority revolts against his daughter's love affair with a Negro); his daughter Iza who recently came from Poland; Jan Węglewski, owner of a small factory; Gaston Mery, a Frenchman of mixed origin who went to school in Poland; Maria, a Polish woman, ex-prisoner of Nazi camps; her husband, a Latvian, Karol

Dormans, ex-SS (he had saved her life in a Nazi camp). As it is easy to guess, such a company is quite sufficient to provide a highly dramatic plot.

A congress of sociologists in Stresa (September 8.15.1958) is reviewed in detail by one of the participants, Zbigniew Jordan (England). He underlines a reasonable and sincere approach of Soviet scholars and notes with satisfaction a great success of the delegation from Poland. The Poles brought a serious contribution to the congress. Professor Ossowski was particularly applauded. „The author does not remember — writes Jordan — such an ovation at an international meeting as the ovation given to Ossowski by the audience in recognition of his speach".

A new Schweik? asks Jarosław Dresler telling the readers about a scandal in Czechoslovakia provoked by a novel of Joseph Skworecky, *The Cowards*. It is difficult to say why that novel so infuriated the Party and was immediately forbidden, with unpleasant consequences for the writer and his publishers. Probably artistic qualities of that not anti-Communist but a-Communist work bring prejudice to the official virtuous and tedious literature. Besides, the philosophy of the novel is a bit suspect: „The capitulation of Danny (the hero) is less dangerous for the conquered than for the conquerors. It is a capitulation of the brave soldier Schweik who from all the battles and war tribulations emerges whole and sound".

Londyński korespondent ,,Kultury'' : Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Cena ogłoszeń : cała strona 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs.
(*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

Wydawca : Edition et Librairie ,,LIBELLA'',
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal : 4 *trimestre* 1959

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », rano 2076, Buenos Aires	55 pesos	330 pesos	660 pesos
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking use, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-ky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr ita pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia tlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Jadwiga wirska,** rua Maranhao 213, Sao Paulo............		4 dol. am.	6 dol. am
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Ugan-, Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Ile, Paris-4	250 fr.	1.300 fr.	2.600 fr.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5, sterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., onto 3, Ont. lub c/o **Polish Voice,** 1089 Queen St. Toronto Ont.; **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Av., D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; **H.R. Ra-nski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-29; **Vatra Trade,** 273 1/2 Selkirk Av., Winnipeg 4, n.; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, ., Tél. : LE 1-2491; **Roman J. Sas-Babczynski,** 64 ian Rd., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 4-1407	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, . 1, Guadalajara, Jal. Tél : 49855.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablon-str. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh. 9 d	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, nève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV ckholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan , Albany, N.Y.; **S. Dobczynski, Alma Shipping Co,** St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew etynski,** 670-47 street, Brooklyn 20, N.Y.; **S. arczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; **K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, ss.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, o. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robin-od Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford race, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book Co,** 6 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **The Polish Book orting Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 9 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **K. Trojanowski** 32 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T W 2.0890.	75 cent.	4 dol.	6 dol
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, tersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 200 frs półrocznie i 400 frs rocznie Przesyłka pojedyńczego numeru : 35 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 250 frs.